

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW
LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

LITERATURA WŁOSKA.

M-109630

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów“).

1887.

JAKÓB LEOPARDI.

3857

WYBÓR PISM

W WERSZEM I PROZA.

W PRZEKŁADZIE

Edwarda Porębowicza.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

NOWY-ŚWIAT Nr. 41 (NOWY).

1887.

Nr. 331

WARSZAWSKIE
TOWARZYSTWO FILOZOFICZNE

<http://rcin.org.pl>



T.3857



29003857000000

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Ноября 1886 г.

WSTĘP.

Kiedy w r. 1826 księgarz Stella przygotowywał w Medyolanie edycją dzieł Leopardiego i żądał jego biografii, poeta przesłał mu skreślony własną ręką szkic następujący ¹⁾:

„(Hr. Jakób Leopardi) urodził się z ojca Monalda hr. Leopardiego i margrabinicy Adelaidy Antici, w Rekanatach, mieście Marchii ankońskiej, d. 29 czerwca 1798. Przebywał w rodzinnym miejscu do 24 lat życia. Nauczycieli nie miał prócz do początkowych nauk, których udzielali mu pedagogowie trzymani ku temu celowi w domu rodzicielskim. Za to korzystał z bogatej biblioteki ojca, lubownika umiejętności. W téj bibliotece spędził większą część życia, ile i póki pozwalało mu zdrowie zniszczone studjami, które rozpoczął, niezależnie od nauczycieli, dziesięcioletniem dzieckiem i wiódł nieustannie, mając w nich jedynie zajęcie. Przystawiając sobie bez nauczyciela język grecki, oddał się poważnym badaniom filologicznym i wytrwał w nich przez lat 7, aż zerwawszy oczy, zmuszony przepędzić rok (1819) cały bez książek, zwrócił się naturalną koleją na pole dociekań filozoficznych i nimi, oraz literaturą piękną zajmował się aż do téj chwili. W 24 latach udał się do Rzymu, gdzie odrzucił godność prałata ofiarowaną mu przez kardynała Consalvi za poparciem rady Nieubra, wówczas nadzwyczajnego posła dworu pruskiego w Rzymie. Po powrocie zamieszkał w Bolonii”.

Ta sucha zapiska, niecierpliwiąca stylem sprawozdawczym, odkrywa przecież między wierszami tragiczną dolę tego nieszczęśliwego życia; ukazuje wyobraźni czytelnika skulone nad zapyłonemi manuskryptami garbate dziecko, przewracające ruchem machinalnym karty słowni-

¹⁾ *Epistolario* l. 301,

ka, a czasem tylko podnoszące blade-niebieskie oczy na odgłos dziecinnych w ulicy okrzyków, aby wzrok gdzieś na niewidzialnym punkcie w przestrzeni zawiesić. „W tej bibliotece spędził większą część życia“ — strasza męczarnia, przypominająca żywcem zakopanych w grobie. Tam młody samotnik nauczył się sam języków: greckiego, hebrajskiego, hiszpańskiego, niemieckiego i angielskiego; przeczytał całą bibliotekę autorów klasycznych, a niezadowolony biernymi studjami, wkroczył na pole krytyki filologicznej i w r. 1814, ofiarował zdumionemu ojcu nowe grecko-łacińskie wydanie „Życia Plotyna“ przez Porfiryusza; wydanie, z którego korzystał później filolog niemiecki Creuzer — dowód najlepszy jego wartości. Przekłady fragmentów Odyssei, Eneidy, Batrachomiomachii w sekstynach ukazywały się w Spektatorze medyolańskim i Bibliotece włoskiej; między temi filologicznymi pracami prawdziwem arcydziełem jest „Szkic przesądów ludowych starożytności“. Z pomocą starannie zestawionych tekstów, odsłania autor cały świat bogów pogańskich, olbrzymów, karłów, tajemnice magii, wyroczni, snów i widzeń, zabobony i wierzenia. Nie burzy on tém pięknego greckiego Olimpu; zanadto go ukochał; ale piętnuje wszystko, co brzydkie i niskie; dzieło to jest równocześnie wyrazem tryumfu wiedzy i wiary chrześcijanina nad poganizmem. Leopardi był w młodości głęboko religijny; jako romantyk i wierny uczeń Chateaubrianda, wielbi on chrystyanizm dlatego, że piękny; jako nieszczęśliwy czepia się go, bo mu daje otuchę przyszłej odpłaty; trwa w nim wreszcie jako dziecko w religijnym wychowane domu. Ale budzi się w nim fatalne człowieka dziedzictwo: myśl sceptyczna i już w tém dziele obok wykrzyków religijnego, prawie mistycznego uniesienia słyszy się sądy mogące doprowadzić wprost do odszczepieństwa.

Tak np. dopatrując w Keplerze ostatnich śladów starożytnego zabobonu, woła: „Straszny przykład? Każe nam wierzyć, że błędy jak komety mają swoje drogi i że z końcem kilku wieków, gdy przeciw nim kazać się przestało, zjawiają się na scenie pod nową postacią... To spostrzeżenie prowadzi na domysł, że duch ludzki nie przebiega linii prostej, ciągnącej się w nieskończoność, lecz linią zamkniętą w sobie; musi więc od czasu do czasu w to samo powracać miejsce. Każe ono równocześnie uważać codzienny postęp ducha ludzkiego za złudny; zawiesza nad każdym dniem życia to często powtarzane zdanie najmędrszego z królów: Nie nowego pod słońcem; zmusza uznać rzeczywisty wzrost sumy ludzkiego poznania za niemożliwy i zdolne jest doprowadzić filozofów prostą drogą do rozpaczki“. Młody marzyciel, dumny i szczęśliwy ze zwycięstwa wiedzy i rozumu nad

zabobonem, a równocześnie czujący się błogo pod skrzyłdami wiary, pragnąłby w naiwnym liberalizmie pojednać te dwie potęgi; równocześnie wielbi Woltera, „ten sztandar myślicieli, tego człowieka mądrego, nieprzyjaciela przesądów“, i zaleca poddanie się kościołowi, „jedynęj przeciw błędom ucieczkę“.

Zakopany w małej mieścinie, znający jasny, uczony świat z opisów tylko, poddany surowemu rygorowi rządzącego w domu na sposób feudalny ojca, zrezygnowany na myśl bolesną, że nigdy w kobiecej istocie czulszego nie obudzi uczucia, a sam ku miłości tęskniący; świadom wreszcie, że go wczesny grób czeka, Giacomo czuł się bardzo pogwałconym, pokrzywdzonym przez naturę. Przyjaciół nie miał; czulsze stosunki wiązały go z bratem Karolem i siostrą Pauliną; w 1817 r. dopiero poznał Giordaniego i przywiązał się do niego prawie niewolniczo. Piotr Giordani, powaga w świecie uczonym, znakomity stylistą, gorący patriota wiódł młodego poetę w literackim świecie do sławy, przeczuwszy w nim wielkość i z jego pomocą marzył urzeczywistnić posłannictwo odrodzenia; niestety część zwątpień przeszła potem z mistrza na ucznia, skoro wszystkie nadzieje zawiodły; Giordani sam zdany był kilkakroć na łaskę losu, musiał się tulać, uciekać do Genui, do Genewy. Pewien czas spędził w więzieniu, a przeżywszy ukochanego przyjaciela, napis grobowy dla niego ułożył.

Zaród pesymizmu Leopardiego leżał w chorém jego ciele bez wątpienia, choć sam w liście do Sinnera ¹⁾ z oburzeniem przypuszczenie takie zbija. Co nas w *Dzielnkach moralnych* zwłaszcza zadziwia, to to, że poeta nie rzuca się, nie jęczy, przekleństw nie miota; rozpacz jego jest spokojna, skamieniała. Długo na to skamienienie silnym pracował umysłem; w poezjach usta jego otwarte laokoonowym krzykiem bóleści; później przybrał niemą twarz Nioby, aż wreszcie znikła mu z czoła przerażająca fałda tamowanej rozpacz i uśmiechnęły się usta uśmiechem ironii. Takim pozostał na zawsze, takim widzimy go w ostatnim wierszu poematu: „Aspazya“.

Jakby zapowiedzią źródła przyszłych natchnień był tytuł pierwszego poematu: „Śmierć“ (r. 1817), niby nagrobek położony pierwszej miłości, którą jeszcze później pod imieniem Neryny lub Sylwii w smutnych przypomina elegiach. Była to wiejska dziewczyna, którą poeta w sąsiedztwie w okienku śpiewającą codziennie widywał, i przywiązał się do niej, lecz niestety, stracił prędko i do wczesnego odprowadził grobu. Pofolgowałszy na rozkaz lekarza

1) z dnia 24 maja 1832.

i prośby Giordaniego zabijającym studjom, umiał sobie chwile strasznej nudy, którą „męczarnią myśli“ nazywa i której w systemie swym filozoficznym tak kardynalne przydziela miejsce, — mistyfikowaniem uczonych. Jak Michał Anioł oczarował niegdyś archeologów swoim „Kupidynem“, tak Leopardi poruszył filologiczne sfery sławnym „przekładem świeżo odkrytego“: „Hymnu do Neptuna“ i dwu anakreontyków: „Do Miłości“ i „Do Księżycy“, z „oryginalnym“ tekstem greckim, zaopatrzoną w konjektury i hermeneutyczne uwagi.

Mystyfikacja była tak zupełna, że konserwator biblioteki watykańskiej zaczął z całą gorliwością poszukiwać sprawcy kradzieży rzekomego rękopismu, o którym sam nie wiedział. Nie dziw, że tak oswojony z poezją grecką, przejął się Leopardi dostojnym wzorem Symnidesa i w odzie do Italii i w reszcie poezyj z urzeczywistego greckiego śpiewu koturnu. Były to czasy, kiedy Alfieci, Ugo Foscolo podnieśli się przeciw niesprawiedliwości i tyranii; były to czasy po kongresie wiedeńskim, kiedy Włochy, wedle słów Metternicha, stały się „pojęciem geograficznym“: Wiktor Emanuel I wszedł do Turynu, Ferdynand IV do Neapolu, Pius VII do Rzymu, księżęta austriacyczy za iedli we Florencyi i Modenie; a Lombardya i Wenecya stały się prowincjami austriackimi. Ody: *Do Italii; Na posąg Dantego stawiany we Florencyi; Do kardynała Angeła Mai z okazji odkrycia rękop. Rzeczypospolitej Cycerona; Na ślub siostry Paoliny; Do zwycięzcy w turnieju*, są wyrazem tego gorącego patriotyzmu, energii i nadziei, które ożywiały wówczas piersi wszystkich szlachetnych; ale skoro ideały odrodzenia rzymskiej cnoty i jedności stłukły głowę o interesa państw sąsiednich i egoizm własnych książąt, Leopardi był pierwszy z tych, którzy zrozpaczyli; *Brutus młodszy* pozostał do śmierci wyrazem jego przekonania o przyszłość, a polityczną religią—rezygnacją, pociecha słabych. I oto zbladła druga wstęga jego tęczy, wiara w przyszłość narodu.

Pierwsze ody ukazały się w r. 1819, reszta później w zbiorowym wydaniu; nie zrobiły wielkiego wrażenia, jak nie robiły wtedy wrażenia najwspanialsze zjawiska literackie, z wyjątkiem „Naręczonych“ Manzonięgo. Skryty pod pseudonimem Leopardi, taki o nich napisał krytyczny artykuł ¹⁾, chłoszcząc przytęm niemiłosierne ignorancją rodaków:

„Oto dziesięć ód i więcej niż dziesięć wybryków.

1) Między dziesięcioma odami żadnej miłosnej. 2) Nie wszystkie i nie zupełnie pisane w stylu Petrarcki. 3) Styl w nich nie arkadyjski; nie znajdziesz w nich ani stylu Chiabrery, ani Testi'ęgo,

¹⁾ Nuovo Ricoglitore 1825.

ani Filikai, ani Guidi'ego, ani Manfrediego, ani Pariniego, ani Monti'ego; słowem, nie podobne są do żadnej lirycznej włoskiej poezji. 4) Nikt nie odgadnie ich treści z tytułów; często nawet od pierwszego wiersza przybiera poeta kierunek najmniej oczekiwany. Naprzykład oda na ślub, ani o łożu małżeńskim, ani o pasku, ani o Alfrodycie, ani nie mówi o Hymenie. Oda do A. Mai mówi o wszystkiém, jeno nie o manuskryptach. Oda do zwycięscy w turnieju nie jest naśladowaniem Pindara; inna do wiosny nie opisuje ani łąk, ani krzaczków, ani kwiatów, ani gazonów, ani liści. 5) Motywy opracowane w nich nie mniej są nadzwyczajne. Jedna nosząca tytuł: „Ostatni śpiew Safony“, ma odmalować nieszczęścia duszy subtelnej, czulej, szlachetnej i kochającej, umieszczonej w ciele razem brzydkim i młodem; przedmiot takie nastęrczający trudności, że nie przypominam sobie sławnego autora w starożytności lub naszych czasach, któryby się zużyć go ośmielił, z wyjątkiem pani Staël, która traktuje go we wstępie do Delfiny, ale w odmienny sposób. Inna oda zatytułowana: „Hymn do Patryarchów“, zawiera panegiryk obyczajów Kalifornii i twierdzi, że wiek złoty nie jest bajką. 6) Wszystkie pełne są lamentu i melancholii, jakby świat i ludzie byli czémś smutnym i jakby życie ludzkie było nieszczęśliwe. 7) Nie czytając ich z uwagą, nie rozumie się nie; tak, jak gdyby Włosi czytali z uwagą. 8) Zda się, jakoby poeta pisząc je, postawił sobie za zadanie zmusić czytelników do myślenia,—tak jak gdyby powinno coś zostać w głowie, gdy się włoską książkę czyta“ etc.

Zdaje się, że system filozoficzny, złożony później w *Dziękach moralnych*, uformował się w umyśle Leopardiego już przed r. 1818, w czasie owego kilkomiesięcznego odpoczynku, poleconego mu przez lekarzy; w czasie owych błędnych przechadzek i dumań, w chwilach zatapiania się w nieskończoną cichość natury południową letnią porą nad jeziorem, których pamięć zachowała się w poematach: *Życie samotne*, lub *Nieskończoność*. Rezultaty tej filozofii bowiem są przewodnią myślą wszystkich elegij; dość zacytować wierz z *Śpiewu pasterza koczującego po Azji*: „...dla mnie złem jest życie, lub z elegiji *Do siebie*: „Wzgardę ci sędzi Brutalna moc, co z cienia Tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi...“; że to przejście z wiary do zwątpienia dokonało się bardzo wczesnie, dowodem tego jeszcze ustęp z *Ody: Na posąg Dantego*, gdzie zawleczonym w szeregiach Napoleona i pogrzebanym w śniegach Rosyi, włoskim żołnierzom taki żalobny posyła śpiew: „Drogie dusze, choć niedola wasza nieskończona, pocieszcie się i uspokójcie myślą, że nie znajdziecie pociechy ani w tém, ani w przyszłym życiu.“ Zdawało-by się, że na zboląłą duszę nie ma skuteczniejszego nad chrystyanizm balsamu, lecz nie; Leopardi dał po-

blednąć i tój ostatniej barwie swojej tęczy, skoro fatalną koniecznością sceptycyzmu party odrzucił zasadniczy jego dogmat: we wszystkich jego utworach nie znajdziesz imienia Boga. Za to wiara jego przybiera zupełne kształty indyjskiego buddyzmu: sławny jest wiersz z poematu „Nieskończoność”: I słodkie mi jest w morzu tём rozbić (E il naufragar m'è dolce in questo mare); niezmiernie charakterystyczny ustęp z listu do Giordaniego (19 listopada 1819): „Jestem tak ubezwładniony nicością, która mnie otacza, że nie wiem, skąd mam siłę wziąć do ręki pióro, by ci przesłać odpowiedź. Gdybym w tój chwili oszalał, zdaje mi się, że szal mój polegałby na ustawiczném siedzeniu z zamkniętymi oczyma, w ślup, z otwartymi usty, z rękoma na kolanach, bez śmiechu, bez płaczu, bez ruchu.” Dopatrywać w tём przesady nikt się nie ośmieli; pesymizm Leopardiego szerszy jest i szlachetniejszy od zniechęceń Renego, Werthera, bohaterów Byrona; posągowa jego boleść pozostanie smutna na wieki, bo jój źródłem prawdziwe, dotykalne nieszczęście, wielkie jak Prometeuszowa męczarnia.

Najciężej dolegał pocie pobyt w Rekanatach, zaostrzony despotyzmem ojca, który nawet w listy jego i manuskrypty wglądać sądził się uprawniony i w wydaniach dzieł nielojalnie wykreślał ustępy. Widząc nareszcie, że w murach domowych więzi przyszłość syna, pozwolił mu wyjechać do Rzymu r. 1822. Rozczarował się poeta, sądząc, że wielkie miasto, do którego od dzieciństwa wzdychał, zadowoli go i uspokoi; powiózł tam z sobą zniechęcenia i rozpaczę, w najświetniejszych kołach nie znajdował nic prócz głupstwa i ignorancji, i śród tłumu czuł się bardziej niż śród ksiąg swoich samotny. Prace filologiczne zwróciły nań uwagę Niebuhra; ofiarowano mu sekretaryat państwowy, z warunkiem, aby przywdział suknię duchowną;—był to wówczas konieczny warunek dla dostąpienia urzędu w państwie kościelném;—Leopardi oczywiście sumienia obarczać nie chciał. Pracował w bibliotece *Barberini*, gdzie ułożył katalog rękopismów greckich; kończył roboty filologiczne, wreszcie powrócił do Rekanat. Zawiódłby się ktoś, szukając w listach jego tak zwanych „wrażeń podróży”; listy jego do ojca, siostry i brata pisane są stylem sprawozdawczym. Stojący prawie po za światem, samotnik, nie umiał równie wydać zdania o ludziach i książkach; sądy jego zadziwiają częstokroć spolsiocią. I tak o Byronie umie powiedzieć tylko tyle, że: „jest to jeden z niewielu ludzi godnych swego wieku”; najwniej jeszcze wypada sąd o pamiętnikach Goethego: „Zawierają one wiele rzeczy nowych i *zrecznych*, jak wszystkie dzieła tego autora i większa część innych dzieł niemieckich, ale pisane są z taką

dziką niejasnością, zawierają niektóre myśli i zasady tak dziwne, mistyczne, szalone, że aby prawdę wyznać, nie podobają mi się nadzwyczajnie." Zakosztowawszy raz swobody, Leopardi o pozostaniu w Rekanatach słyszeć niechciał; ponieważ ojciec wspierać go pieniężnie nie mógł, czy sobie nie życzył, poeta ratował się własnymi, śmiesznie skromnymi dochodami. Kapryśna natura hipochondryka zmuszała go zmieniać miejsce pobytu i chronić się na zimę w najłagodniejsze okolice Włoch. Przebywa czas jakiś w Bolonii i Medyolanie, gdzie pracuje dla Spektatora za 10 talarów miesięcznie i przygotowuje (1823 r.) wydanie swoich dzieł poetyckich; ofiarują mu katedrę filologii w Bonn i Berlinie; słabe zdrowie o narażaniu się na klimat północy myśleć mu nie pozwala. Zawijazuje w Bolonii (1826 r.) stosunek z hrabiną Malvezzi, po za granice serdecznej przyjaźni zresztą nie wychodzący; wreszcie wydaje w całości rozproszone po różnych przeglądach „Dzielka moralne” (r. 1827).

W tej epoce Leopardi zerwał już z poezją; zdawało się mu, że przyszłość literatury włoskiej na silnych oprzeć się powinna podstawach, na surowych studyach filozoficznych, na stworzeniu stylu filozoficznego. „Europa żąda rzeczy mocniejszych i realniejszych niż poezya. Goniąc za wierszami i błahostkami, oddajemy wyraźną usługę naszym tyranom; zamieniamy na cacko literaturę, która sama jedynie winna być podstawą odrodzenia ojczyzny.” Istotnie styl dzieł prozaicznych Leopardiego, stworzony w czasie, kiedy język włoski wyłuskiwał się dopiero z gramatycznych powijków, kiedy narzecze toskańskie i *akademia della Crusca* zdawały się gotować językowi włoskiemu z łaski purystów los języków martwych, wyrzucając ze swego słownika wszystkie wyrazy, których Dante i Petrarca nie użył; — styl ten śmiały, szerokokresowy z lekką przymieszką Cyceronowego pedantyzmu, nie znajdzie równego sobie w literaturze włoskiej od czasów Machiavella. Francuz się nim nie zachwyca — to prawda, nadto znać na nim hebel i dluto; ale filozoficzna jasność, ścisłość, dokładność nie wyszła chyba nigdy szczęśliwiej jak z pod tego narzędzia. Leopardi dał rozprawkom tym formę Lucyanowych dyalogów; próbował nawet tu i owdzie zabarwić je wesołym humorem; nie dziw, że wesołości udzielić im nie mógł, jest w nich humor, ale smutny, nieraz grobowy, jak np. w zakończeniu *Rozmowy natury z Islandczykiem*. Ciekawe przedstawia się pytanie uważnemu badaczowi: Czy tworząc swój system filozoficzny, Leopardi oparł się na jakimś istniejącym systemie, czy uwzględnił wyniki szkoły niemieckiej? Ze zdumieniem zaznaczyć potrzeba, że całokształt tej filozofii wysoczył z głowy jego jak Minerwa z głowy Jowisza; matki jego nie

szukać. Schopenhauer wziął za punkt wyjścia idealizm Kanta; zdawałoby się, że filozof-pessimista w tej samej sferze obracać się musi, że zna co najmniej epokowe dzieło: *Świat jako wola i wyobrażenie* wyszłe w r. 1819. Bynajmniej; nie znalazłem ni jednego śladu — (biografowie o ważnej tej sprawie milczą) — aby Leopardi znał dzieło filozofa niemieckiego, mimo-to obaj w niejednej kwestyi do tego samego dochodzą rezultatu. Tylko Leopardi w metafizykę się nie zapuszcza, na czele systemu stawia z powietrza zachwycony dogmat: „Brutalną moc, co z cienia Tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi,” — a żadne ogniwo nie wiąże go z łańcuchem następnych spostrzeżeń, których źródło jest zupełnie fizyczne. Schopenhauer robiąc świat i życie objawem *woli*, stawia teorią zbawienia przez *ascezę*, to jest zniszczenie woli; Leopardi zławienia nie zna, a lekarstwo na cierpienia znajduje jedynie w znieszczeniu, śnie bez marzeń, śmierci bez nadziei przyszedłego życia. Obaj zatrzymują się przed problemem celowości bytu i przyczyny nieszczęścia; hipotezę nieświadomości woli przyszło stworzyć dopiero następcom Schopenhauera. Teoria Leopardiego wyłania się z dzieł jego niejasno z przyczyny niesystematycznego ułożenia dyalogów; przestawiwszy je można odtworzyć ów system, zresztą nadzwyczaj jasny i prosty. Cytujemy poniżej kilka zdań z IV części Schopenhauerowego dzieła, noszący tytuł: *Po osiągnięciu samowiedzy przyzwoleń i zaprzeczeń woli życia* (Bei erreichter Selbsterkenntniss Bejahung und Verneinung des Willens zum Leben), aby okazać, jak uderzająco niektórzy twierdzenia obu filozofów są sobie podobne: „Jak dowiedzieliśmy się z II części, świat i życie, — nie wyłączając śmierci, która jest tylko formą ostatniego — są objawami woli, tak, że mówiąc *wola życia*, popełnia się pleonazm. — Życie jest ciągłą zmianą materji, obok trwania formy, t. j. znikaniem indywiduum obok trwania gatunku. Stąd indywiduum nie ma wartości dla natury; stąd i samobójstwo okazuje się daremne i nierozumne, bo niszczy jedynie życie indywiduum. Jest ono raczej silnym potwierdzeniem woli życia, które nie cierpi bólu i chce się przed nim schronić. Nie boimy się go w śmierci, w śmierci boimy się jedynie zaguby indywiduum. Zatomowanie woli zowie my cierpieniem, folgowanie woli zadowoleniem, szczęściem. Ale żadne zadowolenie nie może być trwałe; jest ono punktem wyjścia dla innych pożądań. Pożądanie zaś z natury swojej jest cierpieniem. Z zadowoleniem ustaje życzenie, a więc i uciecha. Podstawą wszelkiej woli jest potrzeba, brak, — a gdzie brak, tam ból. Więc póki trwa wola życia, to jest życie, trwa ból. Jeżeli woli brak przedmiotu, t. j. jeżeli łatwe zaspokojenie ją ucisza, ogarnia ją nuda. Stąd życie buja między cierpieniem a nudą. Zródła

egoizmu trzeba szukać w tém, że każde indywiduum stawia siebie jako całą wolę, stąd chce być środkiem wszechświata. Tajemnicę pierwszego grzechu przedstawiać sobie można jako przyzwolenie woli, tajemnicę odkupienia jako zaprzeczenie woli. Przez zniszczenie woli, t. j. przez ascezę wchodzi się do Nirwany; dla tych, którzy zniszczyli w sobie wolę, już ten świat jest zbawczą Niścią.

Wzięliśmy pod uwagę jedynie część *praktyczną* systemu Schopenhauera; reszta oczywiście z Leopardim nie ma nic wspólnego, jak i cały system niemieckiego filozofa jest nieporównanie głębszy i ucześniejszy.

Oto jak układają się twierdzenia Leopardiego.

„Brutalną ową mocą” jest natura, mająca własne, nieznanne człowiekowi cele i dlatego często nieświadomie szczęśliwość jego niwecząca. Życie wszechświata jest ustawicznym procesem tworzenia i burzenia, tak, że jedno służy drugiemu a równocześnie utrzymuje byt świata. Stąd wyszłoby to na jego szkodę, gdyby w nim było coś, wolne od cierpienia („Rozmowa Natury z Islandczykiem“). Przyczyną nieszczęśliwości jest egoizm, czyli chęć samozachowawcza. Kochając się najbardziej, pożąda człowiek dla się szczęśliwości najwyższej; pojęcie to nieskończone suponuje nieskończoność pożądania, więc cierpienia. („Malabruno i Farfarello“). Egoizm sprawia, że człowiek robi się środkiem wszechświata, podobnie, jak inne indywidua, stąd walka i nienawiść. („Rozm. Gnoma z Koboltem“). Rozkosz jest pojęciem spekulacyi nie rzeczywistej, pożądaniem nie czynem, pojęciem nie uczuciem. Niezadowolenie sprawia, że nie może ona nigdy być obecna, ale przeszła lub przyszła, to jest żadna. Jeżeli cierpi się życie, to aby cieszyć się rozkoszą przyszłą, a raczej jój nadzieją. Kiedy życiu brak cierpienia, zastępuje je nuda, tak że życie buja między tymi dwoma rodzajami męki i nie może wyjść z jednej, aby nie wpaść w drugą. („Rozm. Tassa z Gen.“).—Życie nie jest dobre samo przez się, ani przez się samo pożądane. Pożądane jest o tyle, o ile szczęśliwe. Tém szczęśliwsze życie, im krótsze, bo wtedy suma wrażeń napełnia je szczylniej, nie dając przystępu nudzie („Rozm. Przyrod. z filoz.“).—Śmierć nie jest bólem, bo ból uchodzi przed skoniem; jest raczej rozkoszą, jak każde omdlenie zmysłów („Ruysch i jego Mumie“).—Po tém wszystkiém samobójstwo jest usprawiedliwione i racjonalne, powstrzymać je mogą jedynie względy pietyzmu i przyjaźni dla tych, których ono zasmucić może („Rozm. Plotyna z Porfiryszem“).—Zasady etyki przybrały równie smutne piętno; najjaśniejsz przedstawiają się one w *Mysłach*, które napisane zostały kilka lat przed śmiercią poety w Neapolu. Zamknęły się one

w spostrzeżeniach, których pozytywną wartość oceniać do nas nie należy; według Leopardiego „świat jest sprzysiężeniem lotrów przeciw uczciwym”, a „każdy jest tyle zły, ile mu potrzeba“.

Na *Dzielnkach moralnych* założył poeta wielkie nadzieje; ależ równocześnie z nimi otrzymał świat włoski *Narzeczonej Manzonięgo*. Wybór między pierwszymi, co druzgotwały wszystkie złudzenia życia, odbierały mu wartość nawet pod gorącym niebem południowym, a drugimi, gdzie rozerwani tak długo tyrańską przemocą książątka-rozbójnika kochankowie, wiążąc się pożądanym ślubem, przedstawiają jakby symbolicznie oderwanie ziemi od narodu i okazują przyszłości jaśniejsze słońce — łatwy był dla entuzjastycznych Włoch. Do końca życia zachował Leopardi dla Manzonięgo wyraźną niechęć.

Zdrowie pochylające się coraz niżej ku skłonowi (suchoty skomplikowane z wodną puchliną) zmuszało go szukać ratunku w łagodniejszym klimacie Florencyi i Pizy. Otrzymał wreszcie od ojca pensyą wynoszącą 12 skudów miesięcznie! a za to jeszcze skazany był na bolesną powinność zadania mu publicznie fałszu. Hr. Monaldi chcąc zrównoważyć podejrzaną lojalność dzieł syna, wydał pod bardzo głośnym już imieniem Leopardiego *Dyalogi*¹⁾. Uważano je powszechnie za dzieło Jakóba, aż po czteromiesięcznym milezeniu musiał zaprzeczyć tym uwłaczającym nieskazitelnosci jego zasad pogłoskom, ostrzegając przytém hrabiego ojca, w pełnym uniesienia liście. Z tych czasów datuje się przesłiczna elegia: „Miłość i śmierć“, z której Musset brał pochop, zowiąc poetę „kochankiem śmierci“; oraz druga p. t.: „Aspazya“, każąca się domyślać jakiejś nieszczęśliwej miłości, której niektórzy biografowie błędnie w osobie Karoliny Bonaparte we Florencyi szukali.

Na ostatnie dni Leopardiego rzuca pogodny, szlachetny blask imię Antoniego Ranieri i siostry jego Paoliny, z którymi zamieszkał od października 1833 r. do końca życia w Neapolu na Capodimonte. Uspokoił się nieco; lubił poglądać ciepłemi wieczorami na ogień niespokojnego wówczas Wezuwiuszu; dokończył tam przebrabianych kilkakrotnie *Paralipomenów Batrachomiomachii*, poematu heroicznego w VI pieśniach, które aby pojąć, trzeba by znać bardzo dokładnie szczegóły i osobistości wypadków 1821 roku. Jedną rzecz jest wyraźną, że szczury przedstawiają Włochów, żaby stronictwo papieskie, raki Austryaków; wszystkie nazwiska, jak Gryzichlób I, Bezglów XIX etc., oraz przebieg walki bez rezultatu są bardzo nieraz sarkastycznemi aluzjami do zatargów polity-

¹⁾ Dialoghetti sulle materie correnti nell'anno 1831.

eznych, wstrząsających wówczas Włochy. Nie był też autor wolny od zatargów z cenzurą neapolitańską; jeszcze w r. 1837 wzbroniła ona najniespodziewaniej kompletnego wydania jego dzieł.

Umarł spokojnie i, jak twierdzi Ranieri, „z uśmiechem na ustach“ dnia 14 czerwca, 1837. Zachował dziewiczość do grobu, a podania o nawróceniu na łono wiary są zmyślane. Jest-że kto, coby ośmielił się odbierać konającemu to złudzenie, że po za grobem znajdzie nicosć, której pożądał, jedyne w niej widząc szczęście?...

W wyborze niniejszych przekładów tłumacz kierował się zasadą skupienia ich w liczbie jak najszczuplejszej; ponura fantazyja Leopardiego wracała upornie do tych samych myśli, tych samych obrazów, których jednostajnością czytelnik mógłby się uczuć znudzony. Posągowa wielkość poety nie na tém uszczupleniu — tu szymy — nie ucierpiała.

Kompletne wydanie dzieł Leopardiego, nie zawierające jednak licznych prac filologicznych, wyszło we Florencyi w 6 tomach, włączając w to 2 tomy listów. Nosi ono tytuł:

Opere di Giacomo Leopardi, edizione accresciuta, ordinata e corretta secondo l'ultimo intendimento dell'Autore da Antonio Ranieri. Firenze. Felice le Monnier. 1865.

Z dzieł i rozpraw traktujących o Leopardim najważniejsze są:

G. Montanari. Biografia del conte Leopardi. Roma 1838.

Sainte-Beuve. Leopardi. (Portraits contemporains. IV. p. 363—422). 1844.

Marc-Monnier. L'Italie est-elle la terre des morts? 1860.

A. Bouché-Leclercq. Giacomo Leopardi, sa vie et ses oeuvres. Paris 1874 ¹⁾.

Edward Porębowicz.

Montpellier, w kwietniu 1886 r.

¹⁾ U nas pisali o Leopardim: 1) W. M. w „Bibliotece Warszawskiej“ r. 1860 (t. I) w artykule p. n.: „Literatura włoska. Rzut oka na obecne piśmiennictwo“.—2) Tomasz Zawadyński w „Niwie“ 1873 p. n. „Dwaj poeci włoscy“.—3) M. T. S. w „Niwie“ 1881 (tom I) p. n. „Pessimizm i jego poeci“.

(Przyp. Red.)

POEZYE.



1. DO ITALII.

Ojczyzno moja! Widzę mury, łuki,
Widzę kolumny, posągi i wieże
Samotne dziadów naszych,
Lecz próżno szukam, gdzie laur i pancerze
Co ich stroiły. Dzisiaj rozstrojoną
Z lauru skroń nosisz i odkryte łono.
Ha! jakiż widok krwawy!
Ile leż, potu!... Tak-że, piękna pani,
Tak-że cię widzę? W niebo ręce wznoszę,
Ziemi pytając proszę:
Kto ją ku temu przywiódł? I to boli,
Że łańcuchami ma skute ramiona...
Tak bez zasłony, z włosy rozdartemi,
W mdłym opuszczeniu usiadła na ziemi,
Skloniła na kolana
Twarz swą i płacze...
Płacz, bo masz czego, Italio, przez losy
Na zwycięstwa wskazana
Czyli cię pieszczą, czy zadają ciosy.

Choćby twe oczy były dwie krynice
Żywe, nie mógłby płacz twój
Wyrównać nędzy twój i pohańbieniu;
Ty, pani, wzięta dziś na niewolnicę!
Kto cię wspomni? Kto ważąc
Dawną twą wielkość, nie rzecze w zdumieniu:
Wszak była wielką, przecz nią być przestała?
Przez cóż-że, przez co?... Gdzie twa dawna chwała,
I moc prastara, i hardość, i bronie?

Gdzie wróg, co miecz ci strzaskał,
 Albo kto-ć zdrajcą był? Gdzie kunszt orężny,
 Gdzie taki gwałt potężny,
 Co z szat twe barki, z wieńca odarł skronie?
 Jak upadłaś i kiedy
 Z takiej wyżyny w tak głęboką nicość?
 Nikt-że nie pomści cię, nikt nie osłoni
 Z pośród twych dzieci?... Hej! broni tu, broni!
 Sam ja bój stoczę, sam nadstawię ciała.
 Dajcie niebiosa, proszę, by krew moja
 Zniczem dla piersi italskich się stała.

Gdzie twoje dzieci? Słyszę broni szcękę,
 Turkoty wozów, huk bębnow, trąb jęki;
 Gdzieś na obce dziedziny
 Wiodą boje twe syny.
 Słyszysz, Italio, słyszysz? Co się toczy,
 Niby wezbrane fale ludzi, koni.
 W tumanach kurzu lśnią poblyski broni,
 Jak gwiazdy w chmurach.
 I nie pocieszasz się? I drżące oczy
 Spuszczasz, na koniec zalekła niepewny?
 Zaczóż tam wiedzie boje
 Italska młodzież?... O bogi, o bogi!
 Kruszą się za kraj obcy nasze zbroje.
 Nieszczęsny, komu trzeba w walk zagubę
 Iść nie za żonę, nie za dzieci lube,
 Nie za swe brzegi, lecz za brzegi cudze
 Bić się wrogom w usługę,
 Zwalczać i nie móż westchnąć przy skonaniu:
 O, kraju mój rodzinny,
 Oto-ć oddają życie, com ci winny.

Szczęśne i drogie i błogosławione
 Wieki, gdy to biegały
 W bój za ojczyznę wojska, naród cały.
 Wy szanowane zawsze i sławione
 Tessalskie nieśmiertelne
 Błonia, gdzie Persya i los nie starczyły
 Na duchy liczbą szczupłe, siłą dzielne.
 A wasze bory i wody i skały
 Dziś jeszcze muszą podróżnym powiadać
 Tajemniczemi szeptami,

Jak wzdłuż morskiego wybrzeża leżały
 Niezwalczonych pokosy
 Ciał, co za Grecyą poszły życia stradać.
 Jak barbarzyńców trzody
 Przyszłym się wiekom pośmiewiskiem stając
 Za Hellespontu uciekały wody,
 A na antolskie wzgórze, gdzie konając
 Śmierć samę święte zwyciężyło plemię,
 Symonides krok zwraca,
 Patrzy na niebo i morze i ziemię.

Łzę ma zroszone lica palające,
 Pierś mu faluje, wzruszeniem drży noga.
 I lirę w dłonie chwyta:
 O, wy wiecznie szczęśliwi,
 Coście podali pierś na włócznie wroga,
 Za ziemię, gdzie wam pierwsze błysło słońce,
 Których czei Grecya, którym świat się dziwi.
 Czyjaż na bój i zgubę
 Miłość was wiodła? Dusze młodociane,
 Jakąż widziały w czarnym losie chlubę?
 Przech się wam lubą zdała,
 Dzieci, ostatnia chwila, że z uśmiechem
 Garstka was w wąż okropny bieżała,
 Jakby nie na śmierć, lecz na taniec dziarski,
 A tam was belt tatarski,
 Martwa czekała woda.
 Na nagim brzegu głowy wam nie wsparli
 Ni syn, ni żona młoda,
 Gdyście bez płaczu, bez uścisku marli.

Lecz marli w Persów straszliwym pogromie,
 I nieśmiertelnej trwodze.
 Jak lew, gdy wpadnie na gromadę byków,
 Jednemu na kark skacze i łakomie
 Kłami się wpija;
 Drugiemu szponem bok rozdziera srodze:
 Tak pośród perskich miotały się szyków
 Gniew greckich piersi i rycerskie enoty. —
 Widziałem jeźdźców pobitych i konie
 I wozy i namioty
 Spłoszonej rzeszy stojące zawadą;
 I jak ku morskiej stronie

Biegł pierwszy król ów wściekły, z twarzą błądą
 A przesiąkły, zbroczeni
 Krwią barbarzyńców greccy bohaterzy,
 Sprawcy bezdennej wojsk perskich sromoty,
 Przyparci w końcu masą dzikiej roty
 Jedni na drugich padli, ale przecie
 Żyją błogosławieni,
 Póki się śpiewa i pisze na świecie.

Przedźj wydarte z nieba, wpadłszy w morze
 Zasyczą gwiazdy gasnące w głębinie,
 Niżeli zaszczyt wieczny
 I pamięć o was zginie.
 Grób wasz ołtarzem będzie: tu niewiasty
 Przychodząc, dzieciom będą ukazować
 Ślady krwi waszej; tu ja się położę
 O, moi święci, i będę całować
 Ten oto głaz, murawę,
 Co od krańca do krańca
 Ziemi przywodzi w pamięć waszą sławę.
 Gdybym tam z wami był! gdyby i moja
 Krwią święta matka ziemia zwilgotniała!
 Lecz skoro wzbrania mi losów zesłanie,
 Abym za Grecją zemdleła powieki
 Zamknął gdzieś na majdanie,
 Niechaj z bożej opieki
 Przetrwa czcigodnej sławy panowanie
 Krainy waszej wieszczą
 Na przyszłe wieki, póki waszej stanie.

2. NA ŚLUB SIOSTRY PAOLINY.

Gdy ojcowskiego gniazda
 Spokój rzucając i niebios największą
 Łaskę, dziecinne złudzenia i mary,
 Co pusty morza brzeg twym oczom piększą,
 Porwana losem wpadasz w życia gwary
 I zawieruchę; strasznych czasów plaga,
 Którą na kark nam srogie niebo wali,

Siostró moja, wymaga
 W dniach zapasów i walki,
 Byś nieszczęśliwój nieszczęsną Italię
 Rodziną wzrosła. Dzielniemi przykłady
 Krew twą zapłodnij. Łagodnych powiewów
 Los zimny, pełen zdrady
 Szlachetnym nie przywionie,
 Ni się duch czysty w wiotkiem kryje łonie.

Nieszczęsne albo niecne
 Porodzisz dzieci: wybieraj nieszczęsne.
 Między zasługą a szczęściem obecne
 Wykopało zepsucie
 Głęb' czarną. Ledwo dziś o życia zmierzchu
 Zdobywa człowiek dzielność i uczucie.
 Ty bierz je z nieba; niech w tobie postanie
 To nadwszystko staranie,
 By nie weszły twe dzieci
 W przyjaźń z fortuną, by nie rzucił niemi
 Strach ni nadzieja; tak będą szczęsnemi
 Dla idących stuleci;
 Bo w tak bezecnój porze
 Wzrosliśmy liche karły,
 Że gardzim żywą cnotą, klaszczem zmarlęj.

Niewiasty! Żąda wiele
 Po was ojczyzna. Nie na wstyd i szkodę
 Ludzkości żrenie waszych słodkim czarom
 Dano panować mieczom i pożarom.
 Skinienie wasze twórcę krzepi w dziele,
 Mędra w zadumie; a gdy słońce koni
 Rozpuszcza zaprząg, przed wami się kłoni.
 Nieszczęść naszych przyczyny
 U was ja szukam: Świętęj
 Młodości znicze waszą poszły w szczyty
 Sprawą? Padła w ruiny
 Rodzima cnota? A myśl rozwiązana,
 Dzielność woli stargana,
 A nerwów moc i ciała
 Wrodzona waszą-ż winą zubożała?

·Czynów dzielnych ostrogą
 ·Jest miłość, kto ją umie czcić, a piękno

Mistrzynią cnych zapalów. Wytrzebiony
 Z miłości duch tych, co się wnet zalękną,
 Gdy wiatry wstaną na klótni tencony,
 Gdy się rozhuczą góry huraganem.
 Od was, młode niewiasty,
 Od was, oblubienice,
 Kto się, niegodny kraju, na hazardy
 Pierś podać boi, kto przedmiot swój cześci
 I cel pożądań w podłych rzeczach mieści
 Wstydu dozna i wzgardy,
 Jeśli ta, w której świta
 Miłość, nie dziewczę jest mdle, lecz kobieta.

Matkami niewojenną
 Niech wam wstyd będzie zwać się generacyi.
 Niech się nauczy znosić szcep wasz hardy
 Cnót poniewierkę, a co wiek wstydlivy
 Wielbi, niechaj wam godne będzie wzgardy,
 Niech dla ojczyzny rosnąć i do czynów,
 Dba, co się dziadom należy od synów.
 Tak prastarych rycerzy
 Wspomnieniami i hasły
 Rośli spartańskim niwom bohaterzy.
 Tam młoda żona bez lży jednej w oku
 Do mężowskiego przypinała boku
 Miecz, a potem na zgasły
 Trup zarzucała włosów płaszcz puszczoney,
 Kiedy na tarczy wrócił ocalonój.

Wirginio! Twe jagody
 Niebiańską dłonią pieścił czar przemożny,
 A dumą twoją rozszalał niezbożny
 Pan Rzymu. Pięknaś była, w życia porze,
 Co młode dusze na sny wabi hoże,
 Gdy ci twarda stal ojcowskiego miecza
 Pierś otworzyła śnieżną
 I chętna na bezbrzeżną
 Zesłaś Erebu błoń. „Starość odkwieca —
 Mówiłaś — członki me, ojczy, grób patrzy
 Na mnie od chwili, gdy miala porwana
 Łoże dzielić tyrana.
 Więc tu wytoż krew moję,
 Niech Rzym na życie i dzielność napoję“.

O szlachetna! Że przytym
 Piękniej świeciło za dni twoich słońce
 Niż dziś, spleacony jest dankiem sowitym
 Grób, który drzewy zaszczyca i stroi
 Ziemia ojezysta. Już oto się roi
 Wkoło twych świętych zwłok Romula plemię
 Gniewem zagrżane; już tyran na ziemię
 Padłszy, kurz głową ścięra,
 I już wolność rozpiera
 Każdą zazięblą pierś; na ujarzmionej
 Dziedzinie huczy Mars gromkimi tony...
 Wnet niemi zagrżmi Tule ostateczna.
 — Tak wtedy Roma wieczna,
 Co w twardym grobie spała,
 Z niewieściej doli fatów zmartwychwstała.

3. BRUTUS MŁODSZY.

Gdy rozwiązana w trackim prochu legła
 Bezgraniczna ruina
 Italskiej cnoty; kiedy na Hesperyi
 Zielone wzgórza i na Tybru brzegi
 Już chmara koni barbarzyńskich biegła
 Tratować; kiedy z lasów, które ścina
 Białemi sroga Niedźwiedzica śniegi,
 Na sławnych rzymskich murów roztrącenie
 Gockie wypadły miecze, —
 Znojonny cały, krwią przesiąkły bratnią
 Siedział samotny w czarną noc ostatnią
 Brutus, już umrzeć gotów; kłął niebiosą
 I piekielne kłął cienie
 A w dal wzgardliwe wargi
 Senną miotały bezlitośne skargi:

Szalona cnoto! Przestronne chmurzyska,
 Przybłądnych mar siedliska
 Są twoją szkołą, a w trop twój się wlecze
 Rozczarowanie. Wam bogi z marmuru,
 Jeżeli jest coś nad sklepem lazuru

Lub w flegietońskiej ciemni,—wam w pogardzie
 Biedne plemię człowiecze
 Co wam świątynie stawia, a bezwładnej
 Ludzkości prawem los uraga zdradny.
 Tak-że więc modły zmięczyły człowiecze
 Bogów nienawiść? Tak-że na nieprawych
 Obronę siedzi Jowisz i gdy siecze
 Deszczem powietrze, kiedy
 Gromów śle huki i płomieni żywych
 Pęk, to katuje zacnych i cnotliwych?

Uciska fatum niezgięte i przymus
 Żelazny niewolników
 Śmierci, a gdy te folgować niezdolne,
 Tłum się pociesza w klęsk nieuniknieniu
 Ich koniecznością. Czy mniej jest mozolne
 Zło, co trwać musi? Lub jest-że w cierpieniu
 Ulgą nadziei strata?
 Walką śmiertelną, wieczną z wrogim losem
 Dzielny wraźo się splata,
 Ani się cofnie; a gdy ten zwycięską
 Stopą rubasznie ku ziemi go stłoczy,
 Szarpie się dumnie niezgnębiony klęską;
 A choć ranami broczy,
 Wpychając głębiej grot, co z boku sterczy,
 Czarnym się cieniom uśmiecha szyderczy.

Nie miły bogom, kto gwałtem, jak wdzierca
 Wkracza do Hału, bowiem
 Nie kryją takiej ich nieharde serca
 Odwagi. Może téż troski i męki
 I szaly nasze, rozpacze i jęki
 Niebo stworzyło sobie na zabawę?...
 Nie na mozól wieczysty,
 Lecz lasom na byt swobodny i czysty
 Stworzyła nas natura,
 Niegdyś królowa i pani. A dzisiaj,
 Gdy złote rządy starł obyczaj niecny,
 I nędza stała się ery obecnej
 Prawem, kiedy niedola
 Jest dzielnej duszy wstrętna,
 Natura na śmierć ludzką obojętna?

Zła nieświadome i własnej niedoli
 Sześcieliwe polne bestye
 Błogo dochodzą do nieprzewidzi anej
 Mety; lecz gdyby o pień strzaskać czaszkę
 Albo ze skalnej ściany
 W przepaść się rzucić wiatrom na igraszkę
 Uparcie ból ich wodził,
 Żaden-by smutnej woli
 Tajemny nie przeszkodził
 Zakaz. Wam jednym z tuziemskiego zwierza,
 Który na światło spłodziły niebiosą,
 Prometeusza dzieci, życie brzydnie.
 Na Styksowe wybrzeża
 Gdy śmierć z nadejściem żmudzi,
 Dopuścić chętnych nie chce Jowisz ludzi.

Ty z morza, co się krwią farbuje naszą,
 Wstajesz, miesiącu czysty,
 A niespokojna noc i to grobowe
 Dla cnót auzońskich pole wzrok twój straszą.
 Zwycięzca bratnią pierś wziął pod podkowę,
 Wzgórza w posadach drżą, a z siedmiu szczytów
 Rzym prastary się wali.
 Ty się nie wzruszasz? Ty lawińskie plemię
 W poczęciu, dni weselsze
 I nieśmiertelne widziałeś wawrzyny.
 Ty ponad góry, tak samo z błękitów
 Milczący świecić będziesz, gdy w ruiny
 Padnie imię Italii
 A pod najeżdżcy piętę
 Powróci miejsce to, cichością święte.

Oto śród nagich skał i drzew zieleni
 Dziki zwierz i ptaszyna
 W piersi wczorajszych już nie pomni strachów,
 Że wielkość padła i że się odmieni
 Świat—nie wie. Ledwo rumienić zaczyna
 Poranna zorza szczyty chłopskich dachów,
 Już ona dniowi rada
 Budzi doliny, a on lotem strzały
 Pogania między skały
 Drobniejszych stworzeń stada.
 O losy! Biedne ty plemię, wszechświata

Jesteś odrzutkiem. Gleby nie odezerni
 Nie odzwierciedli morza
 Ból nasz; nad dołą biedną
 Na niebie jasne gwiazdy nie pobledną.

Ja ni Olimpu, ni głuchych Kocytu
 Dziedzin, ni ziemi podłój,
 Ni czarnej nocy nie wzywam, konając,
 Ni chmurnej śmierci ostatniego świtu:
 Widzeń przyszłości. Czy wżgardliwe groby
 Zdoła ozdobić cień gminnej żałoby,
 Szlochy, ofiary, modły?...
 Ku złemu chyli się świat. Nie postoi
 W wnuków spróchniałych duszy
 Zaszczytów żądza, ani się poruszy
 Zemsta skrzywdzonych. Niech wkoło méj głowy
 Krąży ptak czarny; niech grom, dzikie zwierzę
 Członki moje rozbierze;
 Niech się moje na wietrze
 Imię i pamięć imienia rozetrze.

4. DO WIOSNY

albo

STAROŻYTNE BAJKI.

Gdy elementów kłęski
 Zatarło słońce, bezsilne powietrze
 Zefir ożywił a z pod mgieł odpartych
 I chmur wyłonił się promień zwycięski,
 Ptaszę na wiatr powierza
 Bezbronne łono; z światła rozpostartych
 Miłości żądza i nadzieja świeża
 Pośród ziół bujnych, lasów pełnych cienia
 W pierś wzruszonego powraca stworzenia
 Lecz martwe, głazem stłoczone boleści
 Ludzkie czyliż popieści
 Dusze radosna pora? Gdy je ścięła
 Mrozem zimy pochodnia

Czarna, promieni błyszczącego Feba
 Nieszczęśliwemu z pogodnego nieba
 Czy na wieki nie wzięła?
 I jeszcze, wonna wiosno, jeszcze kusisz
 To zimne serce, co nim zazna twojej
 Słodocy, już je gorzka starość poi?

Żyjesz że, żyjesz, święta
 Naturo? Na twój głos odwyklém uchem
 Znowu jak gdyby pieśń słyszę matczyną?
 Ongi rzek brzegi barwnym słane puchem
 Były czystych dziedziną
 Nimf, a zwierciadłem źródła tajemnicze.
 Brzmiały uciechy i niebianek śpiewnych
 Tańce po lasach — (dziś tam gniazda puste
 Burzowych wichrów). Pasterz, co w niepewnych
 Cieniach południa nad kwietny brzeg rzeki
 Spragnione pędził trzody
 Poić, uczonój głos słyszał daleki
 Pieśni leśnego Fauna
 I truchlał, drżące widząc kręgi wodne,
 By nie ujrzały źrenice niegodne
 Olimpijskiej łowczyni,
 Jak chiton zzuwszy schodzi w fale chłodne
 Zmyć kurzem łowów krwawych oprószone
 Dziewicze piersi i śnieżne ramiona.

Żyły ziola i kwiaty
 I żyły niegdyś bory. O ludzkości
 Istnieniu wiedział miękki wiatr i chmury
 I zapalona wysoko nad światy
 Lampa Tytana. A gdy ponad góry
 Weszła cypryńską kulę, naga całą
 W noc pustą oko pielgrzyma ścigało,
 On towarzyszkę w niej o ludzi dbała
 W fantazyi widział; lub gdy miejską brudną
 Społeczność, hańbę rzucając i złości
 Cisnął do piersi ciernie krzów i drzewa,
 W puszcze zaszedłszy bezludną,
 Czuł, jak się w drzewnych żyłach krew rozgrzewa,
 Liście wzdychają, a w pustkowiu leśnym
 Drży w uścisku boleśnym
 Dafne i smutna Filis i Klimeny

Ród oplakuje łkaniem z głębi łona
Utopionego w Padzie Faetona.

Dawniej przepaści górskie pełne były
Człowieczych jęków i skargi z nich były
Żalodne, kiedy po ścianach jaskińczych
Nie wiatr się tulał błędny,
Lecz biednej nimfy westchnienia się snuły,
Którą los srogi i miłość wyzuły,
Z kobiecych członków. Ona z skał ku skałom
Z pieczar w pieczary, z załomu na załom
Swoje niedole, ludzkie rozżalone
Jęki w niebo sklepione
Słała. Wypadków ludzkich doświadczyłeś,
Jak wieść prastara niesie,
Lotny pieśniarzu, co w cienistym lesie
Hymnem zesłanie wiosny zapowiadasz
I wśród pól śpiących biadasz
Czasu głuchej i szarzej
Nocy na dawne bóle, wzgardy, zdrady
I dzień rozpaczą i litością blady.

Dziś rodzaj twój nie krewny
Naszemu; ten śpiew uczony i rzewny
Nie płynie z bólu, a wolnego winy
Mniej czule ciemne chowają doliny.
Ach! odkąd opróżniony
Pałac Olimpu i na odgłos gromu,
Co się wytoczył przez niebios opony
Równie zbrodniarza się pierś, jak niewinna
Zimnym przejmuje strachem; gdy rodzinna
Ziemia nieznana dzieciom i nikomu
Wzajem nie sprzyjająca, —
Ty na żal ludzki i fortuny ciosy
Uważne ucho podaj,
Piękna naturo, i dawnych odgłosy
Wierzeń zbudź w duszy mój, jeżeliś żywa,
Jeśli jest w niebie bodaj
Istota, co nasz ból i płacz odkrywa.

5. OSTATNI ŚPIEW SAFONY.

Spokojna nocy, wstydlivy promieniu
 Schodzącój w morze Djany i ty, który
 Tak świetnie wszedłeś nad las, na lazury,
 Zorzy zwiastunie, wy memu spojzeniu,
 Pókim nie znała Eryny i fatów,
 Lube zjawiska. Dzisiaj nam z bławatów
 Nieba na rozpacz pociecha nie zleci
 Dziś w łonie radość zaziemską nam nieci
 Huragan wichrów, gdy po czarnej fali
 Idzie, po polach tumanem się wali
 Kurzu; lub kiedy skryty w obłok siny
 Ciężki nam Zewsą rydwan ponad głową
 Grzmi, rozdzierając chmurę piorunową.
 Nam jest lubością pomiędzy doliny
 Przepastne płynąć, w fal wezbranej wody
 Uciekające i struchlałe trzody
 Widzieć i nad pól rozwalonych klęski
 Słyszeć powodzi gniew i huk zwycięski.

Piękny jest twój płaszcz, niebieskie sklepienie,
 Pięknaś ty, rośna ziemio. W niezgłębionej
 Twojej skarbnicy złota dla Safony
 Brakło; skąpi go srogie przeznaczenie
 I twarde bogi. W przestrzeń, gdzie stolica
 Twoja, naturo, ja licha pątnica
 Widząca miłość swoją w poniewierce
 Ku twoim kształtom cudnym wzrok i serce
 Błagalne zsyłam. Do mnie się nie śmieje
 Słonecznie rąbek nieba, ani dnieje
 Poranna zorza; uciechy nie sprawia
 Szezebiot ptaszęcy, ni szmerem pozdrawia
 Zatoka; a gdzie pod wierzb nachylonym
 Dachem lśni potok kryształowém łonem,
 Pod moją ślizką stopą, wzgardy pełny,
 Jakby cofając miękkich wrzosów welny
 Brzeg przystępu mi broni
 I mimo kwiatów wonne tehnienia roni.

Jakaż zbrodnią straszna, jaką winą
 W dniu się splamiłam urodzin, że losy
 I bogi takie gotują mi ciosy?
 Może co małą zbroiłam dzieciną
 Nie wiedząc, co grzech i życie, że młodo,
 Nie pocieszywszy się nawet urodą,
 Już nie pod Parki nożyce przemożne
 Wpadła nić mocna jeszcze?... Nieostrożne
 Wymawiasz słowa: Przyszłości dni ciemne
 Tajemny dzierży rząd; wszystko tajemne
 Prócz cierpień. Plemię natury wzgardzone
 Na płacz się rodzim — czemu?... to złożone
 W bogów rozumie. O żądze, o troski
 Zieleńszéj pory! Złudzeniom zdał boski
 Nasz ojciec władzę na wieków szeregi,
 Uroczym marom. Przez męskie zabiegi
 Przez pieśni wdzięk i czary
 Cnota nie przelśni z pod szpetnéj maskary.

Umrzemy; podła zasłona się zwlecze
 I duch rozkuty do Hadu uciecze.
 Tam ślepy za grzech nie zażąda kary
 Win odpuściciel. Ty, któremu wiary
 I dochowałam miłości daremnie,
 Żyj szczęśny, gdy na ziemi
 Szczęśnym być można. Nektaru słodkiemi
 Soki mnie Jowisz ze skapéj amfory
 Nie poił, odkąd młodocianéj pory
 Straciłam złudy i sny. Życia hoży
 Dzień ulatuje pierwszy, co najskorzéj;
 Zostaje niemoc i starość i chłodnéj
 Cień śmierci. Oto zamiast czary miodnéj
 Lubyh złud, zamiast nadziei zwycięstwa
 Tartar mię czeka i podziemne księstwa.
 Na tenaryjskie ¹⁾ błonie
 Spłynę, na czarną noc i ciche tonie.

¹⁾ *Tenaron*, przylądek lakoński, gdzie miało być wejście do Hadesu.

6. PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Dzień przypominam pierwszej mej niedoli,
 Gdy pierwszą poczuł miłość i syknąłem ...
 Jeśli to miłość ma być, jakże boli!

I ja, z tém wiecznie pochyłoném czołem
 Spojrzałem na nią, co przyjęła w gości
 Serce me, i być mogła mu aniołem.

O jakże źle mną rządziłaś, miłości!
 Czemu uczucie tak luběj natury
 Wiodło tęsknicy tyle i żalości?

Czemu nie czysty, jasny jak lazury,
 Ale się w serce czar ten boski wkrađał
 Pośród boleści i pośród tortury?

Powiedz mi myśli, jaki cię napadał
 Lęk wynurzony z myśli w tym momencie
 Rozkoszy, że cię nagle ból owładał?

Myśli w śródnoenych zeszlėj mar poczęcie,
 Gdy wszechstworzenie spało ukojone
 Ciszą na ziemi i na firmamencie,—

Że niespokojne, nędzne, przelęknione
 Tłukłoś w mej piersi wnątrze, jak kowadło,
 W którą-bądź łoża rzuciłem się stronę;

I gdy znękany, smutny, z twarzą zbladła
 Snem chciałem oczy ukoić febryczne,
 Rozmajaczenie nerwów-sen mi kradło.

A w cieniach widmo jawiło się śliczne,
 Na które oczy moje z pod zboląłych
 Patrzyły powiek. Jakie chaotyczne

Pelzły mi wtedy po członkach omdlałych
 Ale lubieżne i rozkoszne mary;
 Ile rozpierchłych, niechwytnych, nieśmiałych

Myśli się snuło! Tak gdy przez konary
Wiatr zaszeleszcze prastarego boru,
Długo w nich szumią niewyraźne gwary...

A gdym bezsilny zaprzestał oporu,
Ktoś doniósł, serce, że już ta, dla którejś
Bijesz, ujeżdża z ojcowskiego dworu?

Nie wprzód miłosne poczułem tortury,
Aż wiatr, co w piersi mojej tę ogniową
Wzdął lunę, precz uleciał lekkopióry.

Żeby mi jedno rzekli byli słowo!...
A już przed gankiem czekające konie
Uwieść ją, ziemię grzebały podkową.

Ja cichy, złękły stałem na balkonie
I próżno w ciemność przeżyłem źrenice
I wyteżałem wzrok ku owjej stronie,

Czy choć jednego słowa nie zachwycę;
Głos jej na serce nie spuści mi rosy
Gdy mi odbiera raj. Włupstą ulicę

Mieszczkańskich rozmów doszły mię odgłosy:
Cierpiałem nagle, jakby mrozem ścięty,
Serce mi jak młot zadawało ciosy.

Gdym w końcu schwytał głosu jej zakłęty
W moc czarodziejską dźwięk, i kiedy cwałem
Puszezonych koni doszły mię tętenty

I gdy zostałem sam,—drgający ciałem
W łóżka cisnąłem się ką w tej katuszy
I serce ręką ścisnąwszy, jęczałem.

A potem ciężko, jak hydłę bez duszy
Po pustej izbie nogi włócząc chore —
„Jest-że co jeszcze”—pytam—„co mię wzruszy?”

I każdym razem czułem wspomnień zmore
Jak pierś mą gryzła, ledwo mi zadzwonił
Taki głos, błysła twarz jak w owę porę.

I długo ból ten odetchnąć mi bronił
Siekąc jak chłodny deszcz siecze w dolinie
Gdy się złośliwie na pola wyronił.

Jeszczez cię nieznał, chłopcze, w téj godzinie,
Innych mieszkańcze światów niełaskawy,
Gdym pierwszych zaznał żarów—Kupidynie!

Już ja unikam uciechy i wrzawy
Gwiazd niemych rzeszy, zorzy, co się śmiała
Dawniej tak mile; zieleni, murawy;

Już mię przestaje kusić nawet chwała,
Którą kochałem przedtém najgoręcej...
W piersi méj jedna piękność zamieszkała.

Już mię najmiłszych widok ksiąg nie nęci
I nadaremny zda się trud codzienny,
Próżnemi wszystkie² wydają się chęci.

Jakże od siebie stałem się odmienny!
Wyparłem miłość miłości widziadłem
I pytam: Czémże jest nasz żywot senny?

Więc zatém w miłość samolubną wpadłem
I z sercem w wiecznej rozprawie na straży
Własnej boleści zrozpaczony siadłem.

Wzrok mój ku ziemi wbity, ni się waży
Wzniesić, by go cudze nie zeszło wejrzenie;
Brzydkiej czy pięknej nienawistny twarzy;

I by się pod niém to cudne widzenie
Nie zamąciło, jak się mąci lono
Wód, kiedy po nich przejdzie wiatru tchnienie.

I myśl mię ciśnie, żem uciechy pono
Nie zażył w pełni; więc serce mi pęka
W jad przemieniając uciechę minioną.

To znowu druga pierś mą dławi męka,
Zgryzoty klując żądłem niespokojnym,
Że już wstyd serca mojego nie nęka.

Wam, o niebiosa, wam, duchom dostojnym
Przysięgam, że mię nie splamiła niska
Chuć nigdy; ogniem żem gorzał przystojnym.

Żyje uczucie to i ogień błyska
I trwa w mych myślach ta uroczą postać,
Po której nie mię w świecie nie pozyska,

I z którą pragnę na wieki sam zostać.

7. NIESKOŃCZONOŚĆ.

Lubiłem zawsze to samotne wzgórze
I ten drzew szpaler, co nie daje oczom
W widnokręgowym utonąć lazurze.
Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy
Świat nowy: pustych, milczących przestworzy
I marzy owę uroczystą ciszę,
Gdzie nie nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę
W dole huczący wiatr, tę nieskończoną
Cichość i ten głos, a potem ich sprzeczność
W myśli méj ważę, i czuję w nich wieczność,
Epokę zmarłą dawno i minioną
I terażniejszość, w której tętni życie.
Tak w nieskończoność myśli moje toną;
— I słodkie mi jest w morzu tém rozbitcie.

8. Wieczór świąteczny.

Cicha i jasna noc; wiatr się nie zrywa;
Spokojnie ponad dachy, ponad sady
Podniósł się księżyc i w dali odkrywa
Pogodne szczyty sinych gór. — O Pani!
Ścichły ulice miejskie, lampki błądy
Promyk z balkonów gdzieniegdzie zabłyśnie,

Ty śpisz; sen miękkim ramieniem cię ciśnie
W cichéj komnatce; ty troski ni cienia
Nie zaznasz, ani przez myśl ci przeleci,
Jakie w mém sercu zbudziłaś cierpienia.
Ty śpisz; ja niebo, co tak zda się świeci
Łaskawie, w oknie stanawszy, pozdrawiam
I tę wszechmocną, prastarą naturę,
Co mię skrzywdziła tyle. „Jać odmawiam
Nadziei nawet” — rzekła mi — „nadziei;
Nie błysną nigdy twe oczy, prócz łzami.”
Dzień był świąteczny; potrzebują młode
Członki spoczynku; kiedy sen ci sklei
Oczy, widziane przyśnisz może twarze
Komuś ty była rada, kto był rady
Tobie; ja znowu — ja nawet nie marzę
Postać w twój myśli. Ja tymczasem liczę,
Ile zostaje mi dni życia; blady
Na ziemię rzucam się i drzę i krzyczę...
O straszne dni tak zielonego lata! —
Sza; słyszę śpiewkę urwaną od strony
Uliczki: to drwal wraca zapóźniony
Po poczęstunku do swój nędznej nory.
I serce mi się wielkim bólem zwija
Na myśl, jak wszystko na świecie przemija,
Nie zostawiając nic. Ot, przeszedł świętny
Dzień, po nim przyjdzie obojętny
Tydzień roboczy. Czas jak falą niesie
Precz, w przyszłość ludzkie wypadki. Hej! gdzie się
Podziały ludów prastarych rozdźwięki
I pradziadowe nasze mieczów szczęki,
To Rzymu wielkie państwo, zawierucha,
Co na pustynie gnała swe rozpędy
I oceany? — Pokój, cisza głucha,
A o nich nawet zamilkły gawędy.
W chłopcym wieku, co tak tęskno czeka
Święta,—pamiętam: zaledwo przeminie,
Ja smutku pełen, o późnej godzinie
Brałem za pióro; a taka piosenka
Co się z uliczki ku mnie zabłąkała
Miejskiej i cichnąc ginęła zdaleka,
Już mię podobnie za serce ścisnęła.

9. ŻYCIE SAMOTNE.

Samym zaraniem, gdy kogut z kurnika
 Bijąc skrzydłami na dzień jasny pieje
 I okiennice balkonów odmyka
 Wieśniak w swój willi; — kiedy z góry słońce
 Zmartwychpowstawszy promienie swe drżące
 Na ziemię z wody kropelkami sieje,
 Drobny deszcz w okno pukając mię budzi.
 Więc wstaję, ptasząt rozśpiewanych wrzawie,
 Powietrzu, chmurom na lazuru toni,
 I uśmiechnionym brzegom błogosławię,
 Ciebie-bo miasto, tę fatalną ludzi
 Siedzibę, nadto znam; w twych murach goni
 Nawet za nędzą zawieść. Tam boleśnie
 Żyję i umrę, — ha! umrę tak weześnie...
 Tu mi litości, naturo bogata,
 Udzielisz, chociaż szczupło, w młode lata
 Tak dla mnie czuła! Twarz swą od niedoli
 I ty odwracasz; gardzisz tém, co boli
 I płacze; nie znasz dla nędzy litości,
 Królowej jednej służysz — szczęśliwości.
 Ani na ziemi ni na niebie siostry
 Biedny nie znajdzie; jeno w stali ostrój.

Na wzgórzu siadam południową porą
 Samotny, z okiem utkwioném w jezioro
 Cichemi drzewy ukoronowane.
 Gdy załsnia fale słońca złotem tkane,
 Południe na strop nieba się zatoczy,
 Jednym się kręgiem cicha toń nie zmroczy,
 Nie zadrży trawka, nie mrugnie liść róży,
 Świerasz nie zaćwierka, ptak nie drgnie z gałęzi,
 Motyl nie frunie. W jednostajnej ciszy
 Oko nie widzi nic, ucho nie słyszy;
 Spokój wybrzeże całe w bezruch więzi;
 Wtedy ja siebie zapomnę i świata,
 Jakowaś niemoc członki mi rozplata
 Ubez władnione; dech zamiera w łonie,

Prastary spokój schodzi w to ustronie
I w ciszy miejsca uszpiętego tonie.

Miłości! długoś ty w mój piersi żyła
I pierś ma trwałym niegdyś się żarzyła
Ogniem. Niedola swoją dłonią skrzepla
Tknęła mię, — w lód się przemieniło ciepło
Kwiatu lat moich. Pomnę ja czas drogi,
Gdyś mi w serdeczne wstępowała progi.
Był to ów słodki czas, a niepowrotny
Gdy się młodości otwiera okrutny
Świat, ale rajskim śmiechem uśmiechniony:
Młodzieńczyk słyży w sercu żądy dzwony,
Uczuwa szczęścia dziewicze nadzieje
I opasuje się jak na turnieje,
Na te żywota zapasy mozolne.
Lecz ledwom poczuł cię, miłości, w sobie,
Już moje życie los pograżył w grobie
I oczy moje tylko płakać zdolne.
A przecież, gdy na darń skwarnych wybrzeży,
Kiedy ją rzeźkość jutrzeńki wyświeży,
Lub gdy już błysną pola, wzgórze, dachy,
Wyszędlszy, spotkam miłą twarz dziewczęcą;
Albo gdy nocy mię letniej zapachy
W ciszy rozlane na przechadzkę znęca
I kiedy kroki wstrzymując w powrocie
Błędne przed miastem poglądam na ziemię
Pustą i w chwili téj, gdy wszystko drzemie
Śpiew opóźnionej przy pilnej robocie
Niewiasty słyżę: na chwilę zagada
Do mnie serca głaz...; i znowu popada
W żelazną drzemkę, bo piersi mój głuchéj
Dziwem się zdają wszystkie miłsze ruchy.

Luby księżycu, w którego poblasku
Zające wodzą tan na leśnym piasku,
A potém rano gniewają się strzelce,
Że odkrywają trop splątany wielce,
Który odwodzi ich od legowiska:
Witaj, łagodna pani nocy. Promień
Twojego światła niemile się ciska
Na stal bladego zbrodniarza, co w skały
Skrity framudze, w krzakach, lub za murem

Samotnym w słuchu pochylony cały
 Słyszając kół turkot lub koni galopy
 Albo pieszego podróżnego stopy
 Odgłos daleki, nagle broni chrzęstem,
 Szorstkim, chrapliwym głosem i ponurym
 Zgrzytem paszczęki pielgrzyma zamraża
 O dwagę, potem obdartego w gęstym
 Porzucą boru. Tak samo przeraża
 Blade twe światło gdzieś w miejskiej ulicy
 Wzrok rozpustnika, co pod mury domów
 Czółga się, szuka cienia i załomów
 Osłony, kroki wstrzymuje na świecy
 Błysk, co z balkonu przedziera się w cienie:
 Krzywo cię widzi każde złe sumienie. —
 Na tém wybrzeżu dla mnie jeno drogi
 Będzie twój widok; mnie on jawił zawsze
 Wesołe wzgórza, szerokie rozłogi,
 A przecież, czasy gdy znałem łaskawsze,
 W nieświadomości méj jam blask twój winił,
 Kiedy nad tłumy rozpostarł się mrowiem,
 Że widowisko ze mnie ludziom czynił
 A mnie nawzajem z ludzi. Dziś nie powiem
 Tak, ale wielbić będę czy w obłoki
 Spowitą, czyli panią na szerokiej
 Dziedzinie na ród nieszczęśny otwartym
 Okiem patrzącą. Często mnie w samotnych
 Ujrzysz przechadzkach, milejącym, zapartym
 W sobie, czy w lesie, czyli na wilgotnych
 Brzegów murawie, dość zadowolonym,
 Że serce mi drga, że oddycham łonem.

10. DO SWÉJ PANI.

Czarodziejko, co z dawna
 Miłość techniesz we mnie, czyli śród bezsennéj
 Nocy, gdy wzrok przysłonię,
 Boski cień ku mnie wionie,
 Czy na polach, gdy dzienny

Blask i natury śmieje się pieszczota.
Czyś ty sobą stroiła
Szczęsny wiek, który imię wziął od złota?
Lekkim się unosiła
Duchem nad światy, albo losów zmowa
Zawistna dla nas przyszłości cię chowa?...

Oglądać cię na jawie
Żywą nie mam nadziei,
Chyba że kiedy bezcielesny, czysty
W obce dziedziny, na pobyt wieczysty
Duch mój uleci. Już w pierwszej kolei
Młodzieńczej doli mojej mdlęj i szaręj
Tak spływającą na suche obszary
Ziemi marzyłem. Nie ma rzeczy w świecie
Podobnej tobie; choćby była, przecie
Nosząc twarz twoją i głos i spojrzenie,
Czarem byłaby niższa nieskończenie.

Gdyby śród ciągłych cierpień
Jakie ludzkości wir losu zgotował,
Taką jaką cię duch mój odmalował
Ktoś śmiał pokochać, jużby był na ziemi
Pomiędzy szczęśliwemi.
Sam ja spostrzegam, że twą rozszalały
Miłością dziś-bym jeszcze się ośmielił
Jak za młodych lat szukać enoty, chwały.
Lecz los pociechy bólowi nie udzielił,
A gdybym w życiu tym posiadał ciebie,
Byłoby błogo mi, jak w przyszłym niebie!

W dolinie, gdzie oracza
Śród pracy pieśń się rozlega wieśniacza,
Siedzę smutny i jęczę,
Że znikły dla mnie te złud jasne tęcze;
A na pagórku, gdzie mi wzdyma łono
Zal nad nadzieją uciechy straconą
I nad straconą tęsknotą, — o tobie
Myśląc wstrząsam się i drzę. Gdybym jeno
Nad tą czarnego wieku krwawą sceną
Dumną mógł nosić twarz, zdołałbym za tę
Cenę oplakać prawd i złudzeń stratę.

Jeśli z idej nadziemskich
 Jedyna jesteś, co zmysł nieśmiertelny
 Wzdragasz się zamknąć w cielesnej odzieży,
 I w znikomym łachmanie
 Doświadczyć, czém jest człowiecze konanie;
 Jeśli cię inna ziemia, co w subtelnej
 Przestrzeni, śród mas niezliczonych bieży
 Trzyma, lub słońca najbliższe promienie
 Grzeją; eteru świeższe powietnienie,
 Stąd kędy w cieśni mieszka dusza branka,
 Hymn nieznanego racz przyjąć kochanka.

11. ŚPIEW KOCZUJĄCEGO

po Azyi pasterza.

Co robisz, cichy na niebie księżycu,
 Co robisz, niema gwiazdo?
 Wieczornym wstawszy mrokiem
 Płyniesz i w puszcze patrzysz dużém okiem
 I znów zapadasz. Jazda!
 Po nad górami jeszcze-żeś nie syty?
 Jeszcze-ć doliny zielenią spowitéj
 Jednostajność nie nudzi?
 Podobne twoje życie
 Smutkiem pasterza życiu:
 Przed wschodem już się budzi,
 Wygania trzodę na góry o świcie,
 Na owce, źródła, trawę
 Pogląda, zmierzchem głowę na murawę
 Sklania, — więcej nie marzy.
 Powiedz: Życie pasterza
 Jemu nędzne co waży?
 Co twoje waży tobie i gdzie zmierza
 Moja pielgrzymka krótka
 I twój bieg nieśmiertelny?
 Staruszek siwy, drzący,
 Bosy, w zdartej odzieży
 Z nielitościwym na plecach ciężarem
 Przez góry i doliny,
 Po ostrych skałach, po piaskach i krzakach,

Po burzy, wietrze, raz palony żarem,
Raz chłodem siny
Pnie się strudzony, bieży,
Po grzązkich brodzi młakach,
Upada, wstaje i znów śpieszy prędjéj,
Ni raz się nie pokrzepi,
Ni raz nie spoćźnie; — aż gdy się dobije,
Gdzie ta przemożna męka
Kończyć się zdaje i już piąć się lepiej,
U nóg mu się odkryje
Przepaść; w nią wpadłszy, zapomina nędzy.
Taka, miesiącu, czeka
Marność życie człowieka.

Z trudem się człowiek rodzi,
Już urodzeniem często śmierć przywodzi.
Pierwszém, które poznaje,
Uczuciem jest ból; ledwo dojrzał świata,
Już-ci matka i ociec
Muszą pocieszać go, że się urodził.
Gdy w starsze wzrośnie lata,
To musi często pot im z czoła pociec;
A czy czynem, czy słowy
Mają ciągle na pieczy
Cieszyć go, stan mu osładzać człowieczy
Czulszój pieczy dowodu
Zjawić nie zdolni dla własnego płodu,
Więc na co na świat rodzić,
Na co z niebytu skrzeszać,
Gdy za byt potem potrzeba pocieszać?
Gdy życie jest katusza,
Kto nas je cierpieć zmusza?
Dziewicza gwiazdo, patrz — ot, tak się wlecze
Marne życie człowiecze!

Lecz ty, smutna i wieczna pątnico,
Ty wiedzieć musisz, taka zamysłona,
Żywot ziemski co znaczy
I czém jest boleść i czém jest westchnienie,
Czém jest owa śmierć, owo ostateczne
Martwych lic odbarwienie,
To zejście z ziemi, to zniknięcie wieczne
Z przyjacielskiego i swojskiego grona?...

Ty rozumiesz, — o! pewnie —
 Przyczynę zjawisk; ty widzisz owoce
 Które przynosi dzień i długie noce
 I nieskończony, cichy obieg czasu,
 Ty wiedziéć musisz, na co w śmiech miłosny
 Śmieją się usta wiosny,
 Na co skwar lata, ile ludziom zysku
 Z zimy płynie ucisku.
 Tysiąc ty rzeczy wiesz, tysiąc odkrywasz
 Oczom prostego zakrytych pasterza.
 Często, gdy patrzę na cię,
 Jak tkwi na niebie w ciszy majestacie
 Nad wielką puszcza, co k'niebu przymierza
 Tam w dali; lub gdy płynie
 Oko twe krok w krok za mną i mą trzoda,
 Gdy wzrok ku gwiazdom ślę w niebios głębinie;
 — Myśli me takie wiodą
 Gwary: Na co te świecezki,
 Na co powietrza bezdeń i ten czysty,
 Głęboki lazur i na co w obszarze
 Tak wielkim pusto tak.... a ja czém jestem?—
 Oto tak z sobą w własnych myślach gwarzę,
 Na ten sklep patrzę dumny
 I na korowód gwiazd błyszczących tłumny,
 I myślę: Na co ten trud i wieczysty
 Pęd wszystkich ziemskich i niebieskich tworów,
 Na co krążą te bryły,
 Kiedy wracają zawsze, skąd ruszyły?
 Ja żadnej nie znajduję
 Z ich dróg korzyści;— lecz ty znajdziesz pewno,
 Nocy dziewicza, wieczysta królewno!
 Ja wiem tylko i czuję,
 Że jeśli wieczne ruchy,
 Jeżeli byt mój kruchy
 Niosą zysk komu,—dla mnie złem jest życie.

Ot, trzoda moja, co w cieniu spoczywa
 Szczęsna, bo nie zna swój, sądzę, niedoli.
 Jak ci zazdroścę, trzodo,
 Nie, że cię nic nie holi,
 Że się przelotną szkoda
 Nie strapisz, wnet zapomnisz bólu, strachu,
 Ale że nigdy nie zaznałaś nudy.

Kiedy tam leżysz w cieniu, w ziół zapachu
 Szczęsna jesteś, spokojna
 I całe lato boże
 Wesola będziesz i błoga, jak wprzódy.
 Ja także leżę pośród ziół i w cieniu
 A nuda myśl mi porze,
 Że się nie czuję sam w tém zniechęceniu
 I że nie mogę sobie w duszy znoju
 Miejsca znaleźć spokoju.
 Przecież nie znam, co chuci,
 I przyczyn dotąd nie znałem żalobie.
 Co tak być może tobie
 Ucieszne, — nie wiem; dość, że cię nie smuci.
 Ja znów mam uciech mało
 I nie na jedno tylko to się skarżę.
 Moje jagniątko! Gdybyś ty umiało
 Mówić, spytałbym, dlaczego stworzenie,
 Gdy mu swobodne dadzą odpocznienie,
 Już się bytem zachwyca,
 A mię, gdy spocznę, porywa tęsknica?

Może, gdybym miał skrzydła
 I wzleciéć mógł na chmury
 Rachować gwiazdy, co się wiankiem wiodą,
 Albo piorunem mógł nawiedzać góry,
 Szczęśliwszy byłbym, o światło ty jasne,
 Szczęśliwszy byłbym, luba moja trzodo.
 A może iście błdzi
 Duch mój, że patrzy w drugich i z nich sądzi.
 Może to prawo wszystkim tworom własne,
 Że w każdéj formie, z kolebki na groby,
 Dzień urodzenia ma być dniem żaloby?...

12. Cisza po burzy.

Minęła nawałnica;
 Słyszę ptaszęce ucieszne śpiewania,
 Kwoka na drogę wraca
 Z starém gderaniem; trzoda chmur ucieka,
 Od wschodu w górach niebo się rozświeca,

Łąka z mgieł się wylania,
 W dole znów jasno połyskuje rzeka.
 Drgnie każde serce na nowo uciechą,
 W pierś szczęścia schodzi echo,
 Wszędzie przerwana w ruch się wprawia praca.
 Rzemieślnik patrzeć na wilgotne niebo
 Z narzędziem w rękę i na ustach śpiewką
 Staje w progu; z konewką
 Śpieszy kobieta po wodę deszczową.
 Z ulicy na ulicę
 Wysławia na nowo
 Jarzynniki swoje zwrotkę;
 Oto uśmiecha się słoneczne lice
 Na wieś i wzgórze; otwiera balkony,
 Otwiera dachów terasy rodzina.
 Na drodze słyszę dzwonek oddalony
 Brzęk, — to podróżny po skończonej burzy
 Odjeżdża wózkiem dobieć swęj podróży.

Serce się każde śmieje. —
 Kiedyż w takim rozkwicie
 Jak dziś jaśniało życie?
 Kiedyż z zapalem takim
 Człowiek swoich szedł szlakiem
 Zając, nowo zaczął?
 Kiedy tak skoro o złem zapominał?
 Ojcem rozkoszy — smutek.
 Co jest uciecha? Skutek
 Minionej trwogi, kiedy wprzód wypadła
 I straszyla śmierć naga,
 Której życie się wzdraga.
 Gdy wprzód w zimnym struchleniu,
 Lęku, dreszczu, milczeniu
 Człowiecza rzesza kurczyła się, bladła
 Pod szumem wichrów i hukami piorunów,
 Co na nią z nieba runęły całunów.

O naturo uprzejma,
 Oto dary twój ręki.
 Łaski, które odnoszą
 Z ciebie śmiertelni; na chwilę zbyć męki
 Jest już dla nas rozkoszą.
 Klęski ty szczerą rozsypujesz dłonią;

Ból się sam z siebie rodzi, a uciechy
Jeśli się cudem z boleści wyłonią,
To już zysk wielki. Ukochana bogom
Ludzkości! Szczęśnaś, jeśli ci pomogą
Odetchnąć chwilkę w bólu,
A ubłogosławiona,
Kiedy uciszysz się, śmiercią zdławiona.

13. SOBOTA NA WSI.

Z pól oddalonych wracają dziewczęta
Do wsi o słońca skłonie;
Niosą traw wiązki, a w ręku bukciek
Polnych róż i fiołków,
By w świeże, wonne kwiatki
Jutro w niedzielę, jak zwyczajnie w święto
Ubrać gorset i skronie.
Na progu siadła staruszka z kądzielą,
Wkoło siadły sąsiadki
Zwrócone wszystkie tam, gdzie dzień zapada.
Więc im o dawnych czasach opowiada:
Jak to stroiła się bożą niedzielą,
Potém żwawa jak lania
W on czas piękny i młody
Tańcem z młodzieżą wodzić korowody. —
Już się mrokim osłania
Dzień, niebo ciemny ma kolor lazuru,
A długi cień rzucają
Pod blask miesięczny dachy i pagórki.
Dzwony na hasło grają
Nadchodzącego święta:
Rzekłbyś, że gwoli wtóru
Każde się serce cieszy.
Tam w uliczce chłopięta
Krzykają w licznój rzeszy,
Tańczą, śmieją się, skaczą;
Pełno gwaru, hałasu.
A ku domowi gwizdząc rybak zmierza,
Gdzie go skromna wieczera
I folga czeka jutrzejszego wczasu.

A gdy już wszystko utonęło w ciszę
 I spoczęła wieś niema,
 Krajanie piły długo jeszcze słyszę
 I młot cieśli, co czuwa
 Przy mdłym świetelku w zamkniętym warsztacie
 I roboty dokuwa,
 Nim świtem rannym zaszarzeje w chacie.

Z dni siedmiu jest to dzień najbardziej ważny,
 Pelen uciech otuchy.
 Jutro znów smutek głuchy
 Obejmie rządy i uczucie nudy;
 I na codzienne myśl się zwróci trudy.

Chłopcze rozweselony!
 Wiek twój, kwieciem majony
 Jest jak dzień pełen radosnej ochoty,
 Wesoly, jasny, złoty,
 Który poprzedza życia późne święto.
 Raduj się dzisiaj, jest to czas wesela,
 Jest to czas szczęśnej doli.
 Więcej rzeć nie chcę; lecz jeśli niedziela
 Dni twych opóźnia się — niech cię nie boli.

14. MYŚL DOMINUJĄCA.

O słodka, o potężna
 Władczyni duszy mojej wszystkosiężna;
 Straszny a pożądany
 Darze nieba; towarzysko
 Mych smutnych dni bez słońca,
 Myśli, upornie ku mnie wracająca!

O twój naturze tajnej
 Kto nie rozprawia? Jój władzy kto w świecie
 Na sobie nie zna? Przecie,
 Gdy działań twych istotę
 Serdeczny popęd przyoblecze w słowa,
 Zawsze się nową wydaje twa mowa.

Jaką samotną postać
 Ma dusza ma od chwili,
 Gdyś raz ostatni raczyła w niej postać!
 Jedne po drugich jak blask pory zmierzchłej
 Myśli się z duszy mojej
 Na wsze strony rozpierzchły,
 Jak na samotném polu cicha wieża
 Jeden w niej kształt twój gigantyczny stoi.

Czém mi są wobec ciebie, poza tobą
 Światowe blahe sprawy,
 Człeczego życia powszednie przejawy?
 Jak męczące, nieznośne
 Rozterki, gwary głośnie
 I marnéj marna nadzieja uciechy
 Wobec owéj rozkoszy,
 Jaka mi z twemi przylata uśmiechy.

Jak z granitowych szczytów
 Nagiego Apeninu
 Na łąk dalekich kobierzec zielony
 Obraca oczy pielgrzym utrudzony,
 Tak od świeckiego gminu
 I od parnego odwrócony świata
 Ku twym ja cieniom niby w ogród bieże
 I zmysł mi chłodzą tve oddechy świeże.

Jakże mi dziwném zda się,
 Że ten świat głupi i świata niedolę
 Bez ciebie znosić mogłem.
 I pojąć się mozolę,
 Jak mi stało ochoty
 Na inne żądze i inne tęsknoty.

Ledwie pojął w wyświecie
 Poznania, czém jest to doczesne życie,
 Nigdy mi strachem śmierci pierś nie drgnęła.
 Uciechą owszem tchnęła
 Ta twarda ostateczność,
 Którą czasem świat głupi
 Chwali, lecz na myśl mróz uczuwa trupi.
 Więc gdy wyciąga zguba ku mnie szpony,
 Na jój pogrożki patrzę uśmiechniony.

Tehórzliwą, podłą duszą
 Zawszem się brzydził, święty
 Gniew do niej czując. Każdy czyn bewstydnę
 Zmysłom mym był katuszą.
 A każdy ludzkiej przykład
 Podłości duszy mojej był ohydny.

Nad ten wiek pychą wzdęty
 Co się próznemi nadziejami żywi,
 Marnością cieszy, wartości przeciwi,
 Głupi, bo szuka celu
 Życia, wiedząc, że wiecznie
 Trwało daremnie i niepożytecznie,
 Wyższym się czuję. W wzgardzie
 Mam ludzkie sądy. Pospolite tłumy,
 Wobec piękności ślepe,
 Tu ja wzgardziiciel powołany depcę.

Tę siłę, co cię pędzi,
 Jakie uczucie zmoże?
 Jaka myśl inna może
 Hardziej wśród ziemskich wytrzymać krawędzi?
 Gdy gra w człowieku zawiść, wzgarda, pycha,
 Gdy go władzy popycha
 Żądza, — czémże są niżli
 Chęcią popędy te? Jedno uczucie
 Ma być w nas; tego jeno
 Przepotężnego pana
 Słucha pierś, wiecznym mu prawem poddana.

Ile jest w życiu wagi, celowości,
 To przez nią; ona wszystkiem dla ludzkości;
 Jedyna przeznaczenia
 Wymówka, że nas w świecie
 Na bezcelowe umieszcza cierpienia.
 Jedna ona stanowi,
 Że szlachetnemu, dostojnemu łonu
 Milsze się czasem życie zda od skonu.

By zaznać, myśli moja, twych słodyczy,
 Przez bór się porać ciemny,
 Śród puszez okropnej dzieczy
 Życie — nie byłby mozół nadaremny.

I zezwolilibym rady,
 Choć doświadczyłem, jak na ziemi chmurnie,
 Z takim warunkiem przebyć je powtórnie.
 Bo między ciernie i żmijowe jady
 Nigdy tyle strudzony
 Przez te żywota piaski
 Nie doszedł do cię, by w takięj podzięce
 Pociecha mojęj nie spłynęła męce.

Jak nieznane obszary,
 Jaki mi nowy otwiera się Eden,
 Tam gdzie mię często wdzięków twoich czary
 Wciągać się zdają?
 Gdzie mię nowych słońce promienie witają,
 Gdzie nieszczęśliwęj doli,
 Rzeczywistości zapominam bieden.
 Takie chyba być muszą
 Sny nieśmiertelnych, bo niczém, snem jeno,
 O ile piękno w twych kształtach się krésli
 Jesteś, urocza myśli;
 Snem i złudzeniem; ale z przyrodzenia
 Między ziemskie złudzenia
 Boskie masz znamię, bo silna i trwała
 Rzeczywistości zawsze się ostała;
 Często ją nosisz w sobie
 I nie utracisz, aż złożona w grobie.

Myśli ty moja, podnieto jedyna
 Pracy mego żywota,
 Luba przyczyno ustawnej katuszy,
 Nie ujdiesz ze mnie, aż zamknę powieki;
 Bowiem po znakach poznaję męj duszy,
 Żeś mi jest panią nadana na wieki.
 Inne szczęścia złudzenia
 Rzeczywistość w nie zmienia;
 Ale gdy owo w duszy męj zabłyśnie,
 Na które czyham chciwie,
 O którém z tobą rozmawiając, — żyję;
 Rośnie ten wielki szal, którym oddycham,
 Rosną rozkosze owe, co zeń piję. —
 O czarodziejska twarzy!
 Gdy mi się kiedy cudowne oblicze
 Spostrzedz przypadkiem zdarzy,

Ciebie w niém widzę. Wdzięku
 Jesteś krynica żywa,
 Tyś sama piękność jedynie prawdziwa.

Odkąd raz cię ujrzałem,
 Czyliż przestałaś marzeń mych i troski
 Być celem? Czy choć jeden dzień przemiął
 Bym cię nie wspomniał? Czyliż kiedy zginął
 Twój wizerunek boski
 Z snów moich? Pięknaś jak senne zjawiska,
 O anielska postaci!
 Ni na globie szerokim,
 Ni pośród światów leących koliska
 Nic nie szukam, nie życzę,
 Jak częściej spotkać się z lubym twym wzrokiem.
 Sąż ponętniejsze nad tę myśl słodycze?

15. MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ.

‘Ον οἱ θεοὶ φιλοῦσιν, ἀποθνήσκει νέος.
 Pieszchochy bogów umierają młodzi.
 Menander.

W jeden dzień siostry z losu się poczęły,
 Miłość i śmierć.
 Obie tak cudnej twarzy,
 Że o piękniejszych świata się nie marzy.
 W jednej wieczne się dobro,
 Najwyższa rozkosz mieści,
 Druga wszystkie boleści,
 Mozół nieszczęść uśmierza.
 W trop dziewczeczki uroczej
 Tak pięknej, że nią warto napaść oczy,
 Młody Amor — jak młodzi,
 Rad i często zachodzi.
 I oblatują razem ziemskie niwy,
 Obie pociechy serc wypróbowanych.
 Wypróbowanszych nie ma serc, jak które
 Miłosna krwawi rana;

Ni śmielszych żywot strząsnąć nieszczęśliwy,
Ni dla innego pana
Iść, niż dla tego, skorszych na stracenie.
Komu miłość pomaga,
W tym się wnet budzi i krzepi odwaga;
A nie w myśli lecz w czynie
Mądry i świadom wszystkich ziemskich rzeczy
Staje się ród człowieczy.

Gdy czasu życia wiosny
W serca głębi się zrodzi
Czuły afekt miłosny,
Razem z nim smutno, ociążale schodzi
Na pierś śmierci zachcenie.
Jak — nie wiem; ale silnej
Miłości to jest pierwsze wyjawienie
Może się oczom brzydzi
Ziemskie pustkowie; a może téż widzi
Człowiek, że już nie zdoła
Bez téj jedynéj, nowéj, nieskończonéj,
W rozkołysaniu myśli wymarzonéj
Rozkoszy żyć na świecie?
Może w przeczuciu burzy
Serce spokoju woła,
Prędzéj do portu schronić-by się chciało
Przed żądź nawała,
Co huczy nad nim już i grozę wróży?...

A choć już się przetoczy
Orkanu moc straszliwa,
Jeszcze się bólem pierś osłabła mroczy.
Ileż razy przyzywa
Śmierć biedny kochanek!
Nie jeden wieczór, ranek,
Kiedy ku brzaskom zwiędłe ciało ślania,
Jakby czuł się szczęśliwy
Wiedząc, że jutro nie wstanie z posłania
I nigdy zorzy nie obaczy złotéj!
I często na głos żałobnego dzwonu,
Na głos śpiewu, co święci
Pochód na wiecznéj miejsce niepamięci,
Jakże serdecznie wzdychając zazdrości
Litościwego skonu

Temu, co idzie spać wśród martwe kości.
 A czy to człowiek z gminu
 Nieświadom mocy, co z wiedzy wypływa,
 Czy to dziewczeczka płocha i wstydliva,
 Którą na wzmiankę truny
 Na głowie włos się jeży,
 Śmie na grób i na śmiertelne całuny
 Patrząc i okiem spokojnym je mierzy,
 O truciźnie, sztylecie
 Myśli w długiej zadumie
 I duszą jeszcze dziecię
 Już całą śmierci łaskawość rozumie.
 Tak do śmierci kochania
 Miłość nakłania, a często z tej wdzięcznej
 Uciechy taki wstaje ból wewnętrzny,
 Że pada, bo sił nie ma, by wstrzymało
 Człowiecze kruche ciało
 Upornym ciosom — i tak Śmierć zwycięża
 Bratnią popartą władzą.
 To znów się Miłość tak w wnętrzu rozpręży,
 Że często wiejskie, nieuczzone chłopię
 Lub łagodna dziewica
 Własną gwałtowną ręką
 Młodemu ciału grób przedwczesny kopie.
 Świat się z ich męki śmieje
 Z wygody czerpiąc starości nadzieję.

Duchom dzielnym, ognistym,
 Duchom tkliwym a czystym
 Niech się dostanie jedno z was w udziale,
 Mistrze wy, przyjaciele
 Wierni ludzkiego rodu,
 Których przewagi żadna nie dosięga
 Moc w świecie, ni mu ułatwia pochodu,
 Jak druga jeszcze, przeznaczeń potęga.
 A ty, którą ja z młodu pelen cześci
 Nieustannie wzywałem,
 Piękna, litośna śmierci,
 Co jedna ziemskie uśmierzasz boleści:
 Jeślim cię słał kiedy
 I twą boskość za podstęp
 I za niewdzięcznej przekleństwa czeredy
 Kornie przebłagać chciałem,

Pokwap się skłonić ucho
 Na powtarzane modły;
 Przed światem, co mię rani,
 Przymknij te smutne oczy, wieków pani!
 Znajdziesz mię zawsze, o której bądź porze
 Skrzydła rozwiawszy na swe prośby korne
 Zlecisz,—wzniesionym przeciw przeznaczeniu,
 Co siekąc, rąk swych nie przestaje walać
 W źródle krwi méj niewinnéj.
 Ni go będę wychwalać,
 Ni dziękczynić w pokorze
 Podlój, jak niegdyś lud strachem dziecinny.
 Nigdy nadzieja prózna, która krzepi
 Świat ten i świata tego trwożne dzieci,
 Pocieszać mię nie zleci,
 Ni się mi głupia hardéj myśli czepi.
 Ciebie jednéj i owéj
 Pory czekam majowéj,
 Gdy mi dasz głowę pochylić uspioną
 Na twe dziewicze łono.

16. DO SIEBIE.

Spocznij teraz na wieki,
 Strudzone serce. Zamknąłem powieki
 Przed złudą, co trwać miała nieskończenie,
 A szczęścia lubéj mary
 Już nie nadzieja znikła, lecz pragnienie.
 Spocznij teraz na zawsze,
 Dostyc bolaloś. — Za nic się nie liczą
 Wzruszenia twoje, ani westchnień godna
 Ziemia. Męką, goryczą
 Jest życie, niczém nadto, a świat błotem.
 Uspokój się i zrozpacz
 Po raz ostatni. Jedna niezawodna
 Twemu plemieniu—śmierć. Wzgardę ci sądzi
 Brutalna moc, co z cienia
 Tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi
 I nieskończona nicość wszechstworzenia.

17. ASPAZYA.

Wraca mym myślom czasem niby żywa
 Twoja, Aspazyo, postać: Czy pierzechliwa
 Raz mi na miejscach uczęszczanych dawniej
 Mignie i błysnie; czy mi się ujawni
 Śród pól samotnych, jak w słońca uśmiechu
 W dzień jasny, albo w niemych gwiazd oddech
 Ziemi posłana. W błogiej zmartwychwstała
 Harmonii dusza moja jeszcze trwogi
 Pełna ogląda tę marę wspaniałą,
 Tak ukochaną niegdyś, wielkie bogi,
 Tak pożądaną niegdyś, o szatany!
 Ledwo od brzegu, co kwiatami płonie,
 Albo od miejskich zapach ku mnie wionie
 Ogrodów, zaraz przed oczyma znany
 Kształt twój maluje mi się, jak w dzień owy,
 Gdy w głębi miękkiej siedząca alkowy
 Wiosennych kwiatów napelnioną wonią,
 Sama w kolory przystrojona wiosny
 Ciemnych fiołków, ciała pochylenie
 Anielsko ku mnie zwracasz, jedną dłonią
 Na lśniącym wsparta futrze i miłosnej
 Żądzy owiana gorącym, uczenie
 Zalotna głośne składasz całowania
 Na dzieci twoich ślicznie wykrojone
 Wargi i szyję podnosząc, jak łania,
 Ciśniesz nieznana pieczęcią zdumione
 Do pożądlivej piersi. A mój duszy
 Jawił się nowy raj i ziemia nowa
 I nowe słońce. W piersi niebronionej
 Grot mi utkwiałś wtedy, co utkwiony
 W sercu do dziś dnia noszę śród katuszy...

Myśli mój boskim zdała się promieniem
 Postać twa, pani! Takiem upojeniem
 Czarują dźwięki tajemne i twarze,
 Które w misteryach elizejskich marzę.
 Wierzy śmiertelnik i tuli w zachwycie
 To urojone myśli swojej dziecię,

Owy miłosny ideał, co w treści
 Olimpu w sobie wszystkie czary mieści,
 Co wszystek z twarzy i ruchów i mowy
 Prawie podobny jest kobiecie owój,
 Którą szalony kochanek w zapale
 Sądzi, że kocha i uwielbia stale.
 Nie ją to kocha; zastępuję ona
 Fantazyi jego drugą, gdy w ramiona
 Porwaną k'sobie tuli. Aż błąd w porę
 Poznawszy, rzuca ją i winę zwalić
 Na nią gotowy zawsze. Taki wzniosły
 Stworzyć marzeniom obraz, niedorosły
 Kobiecy umysł; czém jój piękność własna
 Dostojną duszę kochanka zapalić
 Zdolna, kobieta nie zgadnie; jój ciasna
 Główka podobnych pojęć nie pomieści.
 Próżno się w oczu ktoś płomieniach żywych
 Gienialnie wielkiej dopatruje treści
 I myśli szuka świetnych, przenikliwych,
 Bardziej niż męskich u tój, której władze
 Natura męskiej poddała przewadze;
 Bo skądże dusza ma być w niej silniejsza,
 Gdy słabsze członki, cała postać mdlejsza?

Aniś ty dotąd pojąć była zdolna,
 Jak drogiej źródłem natchnień byłaś we mnie,
 Aspazyo; jaki w duszy mojej ciemnie
 Miłości wniosłaś blask; jaka mozolna
 Wstała mi w piersi namiętności zmora;
 I nigdy taka nie nadejdzie pora,
 Abyś pojęła! Tak mistrz nie odgadnie,
 Gdy w struny bije serdecznym zapalem,
 Jakie uczucia z dźwiękiem tonów kładnie
 W duszę słuchacza. Ta, którą kochałem,
 Aspazyo, gwiazda niegdyś mego życia,
 Umarła. Czasem jeszcze, jak z ukrycia
 Grobu jój mara wyszedłszy, odśłania
 Kształt swój mym oczom. Żyje ona jeszcze,
 Żyje tak piękna, że w stworzeniu całym
 Wszelka się piękność przed nią czołem kłania.
 Dziś żar, co z ciebie się poczał, zgasiłem:
 Ja-m w tobie owę ukochał boginią;
 I dawniej w sercu mém miałaś świątynią, —

Gdy dziś masz trumnę. Owę długo czciłem,
 Tak mię jęj boskiej owładnęła siła
 Piękności, że choć wiedziałem już przódy,
 Ile jest w tobie fałszu, zdrad i złudy,
 Szedłem za tobą, póki tamta żyła
 W méj duszy; świadom, ile zła się wszczyną;
 — Aż podobieństwa czarem opętany
 Okrutne znosić nawykłem kajdany.

Chęlp się, o! wolno ci. Mów, że jedyna
 Jesteś z płci twojéj, przed którą ja-m skłonił
 Wyniosłą głowę i serce niezlomne,
 Któregom dotąd nie poświęcił żadnéj.
 Mów, że raz pierwszy i ostatni pono
 Widziałś oczy me zamglone rzewną
 Prośbą; przed tobą zem trząś się i płonił
 (Z wstydu i gniewu goreję) — bezwładny:
 Zem na twój każdy ruch, słowo, skinienie
 Poddanieczko czekał; dostojnéj objawy
 Nudy zem witał bladością, że drzenie
 Uciechy budził we mnie giest laskawy,
 A wzrok twój skroś mię zmieniał. Dziś zakłęty
 Czar runął a z nim połamana w szczęty
 Zabawka. Tém się cieszę. Więc choć wstrętne
 Stały się długą niewolą i pustką
 Rozum i wolność, na ich uścisk chętnie
 Prężę ramiona. A jeżeli życie
 Prózne miłości i rozkosznych złudzeń
 Jest pośród zimy bez gwiazd nocą czarną,
 Już mi pociechę i zemstę nie marną
 Przynosi, że tu pośród traw i mięty
 Leżąc, po nieba, po morza błękiecie,
 Po ziemi wzrokiem krążę — uśmiechnięty.

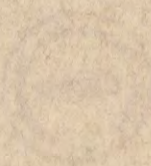
18. NAŚLADOWANIE.

(Z Fontanes'a.)

Od gałęzi oddarty
 Matczynéj, listku mały,
 Dokąd lecisz? Z bukówéj
 Szypułki wiatr mię porwał na rozłogi

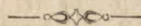
I przepędza uparty,
Z lasu goni na lany,
Z pola mię rzuca na wysokie skały.
I nie mam innej drogi
I cel mi inny prócz jego — nieznanym
Dążę, dokąd świat wszystkich;
Dokąd w wiecznej podróży
Lecić musi liść róży
I wawrzynowy listek.





PROZA.

I. Z DZIEŁEK MORALNYCH.



1. Historia rodu ludzkiego.



Opowiadają, że wszyscy ludzie zamieszkujący pierwotnie ziemię, stworzeni zostali na różnych miejscach w jednym czasie, a wszyscy dziećmi; że ich karmiły pszczoły i kozy i gołębie, podobnie jak poci bają o wychowaniu Jowisza; że ziemia była wiele mniejsza niż dziś, jej powierzchnia płaska, niebo bez gwiazd; że nie było morza i objawiał świat mniejszą różnorodność i wspaniałość, niż dziś objawia. Mimo to ludzie rozkosz znajdując niewymowną w przyglądaniu się niebu i ziemi, dziwiąc się im niezmiernie i sądząc pięknymi bardzo i nie już ogromnymi ale nieznającymi granic tak co do wielkości, jak przepychu i wdzięku, karmiąc się przytém najslodszy nadziejami i zyskując z wszystkich wrażeń życia niewypowiedzianą uciechę, rośli w pełni zadowolenia i prawie z uczuciem szczęśliwości. Tak strawiwszy najrozkoszniej dziecięstwo i wiek młodzieńczy, i doszedłszy stateczniejszego wieku, zaczęli doświadczać pewnej odmiany. Bo kiedy nadzieje, których spełnienia oczekiwali z dnia na dzień, nie spełniły się, uznano je za niegodne wiary, a zadowalnianie się dotychczasowem dobrem, bez nadziei jego wzrostu, za rzecz niepodobną, zwłaszcza że przyjrawszy się przyrodzie i zjawiskom życia codziennego, czy to w skutek przywyknienia, czy że pierwotna żywość ich umysłu się zluźniła, zaczęli je postrzegać mniej wdzięcznymi i uciesznymi niż pierwotnie. Przechadzali się po ziemskiej dziedzinie, odwiedzając najodleglejsze okolice; — mogli to bowiem czynić łatwo dla równości gruntu, dla

braku morza i wszelkich przeszkód — a po kilku latach niektórzy z nich zauważyli, że ziemia choć wielka, miała przecież granice i to mniej rozległe, izby były niezmierzone; oraz że wszyscy ludzie, z małą różnicą byli podobni jedni do drugich. Z tej przyczyny rosło ich niezadowolenie tak, że nie wyszli jeszcze z lat młodzieńczych, a już uczuli ze swego istnienia wyraźną nudę. A potrosze, później, w wieku męskim, zwłaszcza zaś na skłonie lat, gdy przesyłt zmienił się w obrzydzenie, popadali niektórzy w taką rozpacz, że nie mogąc dłużej znosić światła i życia tak dawniej ukochanego, pozbawiali się go różnemi sposobami.

Straszne wydało się bogom, że stworzenia żywe przekładały śmierć nad życie, i że ono samo przez się, a nie z konieczności lub innych powodów stawało się temu i owemu narzędziem zniszczenia. Niełatwo rzec, jak się zdumiewali, że ich dary mógł ktoś uważać za tak podle i wstrętne, iż zmuszony był pozbyć się ich i precz odrzucić; mniemali bowiem, iż obdarzyli świat takim pięknem i takimi dobrymi, taki mu nadali układ i prawa, że siedzibę tę winny były nietylko znosić ale kochać nadewszystko stworzenia żywe, głównie zaś ludzie, który to rodzaj uformowali z szczególną pilnością i przedziwną doskonałością. Równocześnie obok pożałowania nędzy ludzkiej tak wielkiej, jaką okazywała się w skutkach, zaczęli uczuwać obawę, by snąc przez ponawianie się i mnożenie tych smutnych przykładów, przeciw porządkowi przeznaczenia nie wyginał ród ludzki, a świat nie stracił tego wyborczego kształtu, jaki mu nadawało plemię człowiecze, oni zaś tych zaszczytów, które odbierali od ludzi.

Zastanawiając się więc Jowisz nad naprawą — wydało mu się to koniecznym — ludzkiego stanu i nad doprowadzeniem go do szczęśliwości skuteczniejszemi posiłkami, wziął pod osobliwą uwagę skargi ludzi, że świat nie jest tak niezmiernie wielki, tak nieskończenie piękny, doskonały i urozmaicony jak pierwotnie mniemali, lecz przeciwnie maleńki, ułomny, a nadewszystko jednostajny, i że narzekając nie już na wiek sędziwy, ale nawet na męski i młodzieńczy i pożądamy słodczy pierwszych lat, modlili się gorąco, by ich wrócono dziecięctwu i pozostawiono w niem na całe życie, których żądań nie mógł Jowisz zaspokoić, była bowiem rzecz przeciwna powszechnym prawom natury i tym pożytkom i obowiązkom, jakie winni byli wedle zamiarów i dekretów boskich przynieść i wypełnić. Nie mógł też własnej nieskończoności podzielić z istotami śmiertelnymi, ani materją uczynić nieskończoną, nieskończonemi szczęście i doskonałość świata i ludzi. Zdało mu się jednak słusznym rozprzestrzenić granice stworzenia i jak najtroskliwiej ozdobić je i urozmaicić, a zamiar ten przedsięwziąwszy, rozsze-

rzył ziemię ze wszech stron i wlał w nią morze, aby wtargnąwszy między miejsca zamieszkałe, odmieniło podobieństwo rzeczy i nie dozwoliło z łatwością granic ziemi oenić, jak się działo, nim stare szlaki zostały przerwane; a prócz tego, aby oczom ludzkim przedstawiało żywy wizerunek nieskończoności. Ogarnęły wówczas nowe wody ziemię Atlantis, a z nią inne niezliczone i rozległe przestrzenie, tak, iż została o tém osobliwa pamiątka na przeżycie wielu wieków. Wiele miejsc przytłoczył, wiele wzwwyżyl, wywoławszys góry i pagórki; zasiał noc gwiazdami, wysubtylizował i przeczyścił naturę powietrza; wzmocnił dzień jasnością i światłem; ustalił i rozgraniczył wybitniej niż przedtém barwy nieba i pól; pomiesza pokolenia ludzkie w ten sposób, że starość jednych przypadła na innych lata młodzieńcze i dziecinne. A chcąc pomnożyć złudzenia téj nieskończoności, której ludzie nadewszystko pożąдали — (samój istoty tego dobra udzielić im nie mógł)—i pragnąc zabawić i napaść ich wyobraźnią, z której głównie — jak rozumiał—pochodziła owa szczęśliwość lat dziecięcych, między wieloma środkami obok morza stworzyszy echo, ukrył je w parowach i jaskiniach i posłał w lasy szum głuchy i głęboki w rozbujalém falowaniu wierzchołków. Stworzył także naród snów i rozkazał, aby oszukując pod wielu kształtami umysł ludzki, wywołały tę pełnią niepojętój szczęśliwości, której sam urzeczywistnić nie zdołał, te mary niejasne i nieokreślone, którym sam, choćby uczynić był pragnął, nie mógł podstawić realnego przedmiotu.

Przez te zabiegi Jowisza odrodził się i wzmógł duch człowieczego rodu i powróciła każdemu lubość i ochota do życia a z nią pojęcie piękności, rozkosz i zdumienie nad nią i nad bezmiarem świata. I trwał ten stan szczęśliwy dłużej niż pierwszy, głównie w skutek rozdzielenia czasu urodzin; teraz bowiem umysły oziębione i znudzone doświadczeniem pocieszały się; pogładając na zapaly i nadzieje zielonój pory. Lecz gdy z postępem lat zabrakło znów nowości; gdy wzmogło się i rozpowszechniło obrzydzenie i lekceważenie życia: popadli ludzie w taką niedolę, iż począł się wtedy, jak powiadają, zwyczaj praktykowany wedle historyi u niektórych ludów starożytnych, że gdy rodził się ktoś, schodzili się krewni i ich przyjaciele oplakiwać go; gdy zaś umierał, czczono dzień ten uroczystościami i rozprawami na powinszowanie nieboszczykowi. W końcu wszyscy śmiertelni zwrócili się ku bezbożności, czy że zdawało im się, że nie zostali wysłuchani przez Jowisza, czy, że jest naturą nieszczęścia zatwardzać i psuć nawet bogobojne umysły i odwozić od poczciwości i prawości. Bo mylą się ze wszem ci, co sądzą, iż poczęła się niedola ludzka z czynów

nieprawych i przeciwnych bogom, przeciwnie, nie z inąd pochodzi złość ludzkiego rodu, jak z jego klęsk i nędzy.

A teraz, gdy potopem Deukaliona pokarali bogowie grzechy człowiecze i pomścili się za bezprawia, dwoje ludzi, ocalonych z powszechnego rozbicia: Deukalion i Pirra siedli na wierzchołku góry i z gorącym pożądaniem wzywali śmierci, nie by obawiali się lub boleli nad wspólnym losem, ale iż rozumieli między sobą, że nie większej nie może ludzkiemu rodowi przynieść ulgi nad zupełną zagładę. Jednak po napomnieniu bogów, by wrócili na samotność ziemi, niezdolni, ile, że byli zniechęceni i gardzący życiem, przedsięwzięć nanowo czynności płodzenia, pozbierawszy na górach kamienie, jako im byli nakazali bogowie, i rzucając poza siebie, odnowili rodzaj ludzki. Ale Jowisz zrozumiawszy z wypadków minionych właściwą naturę ludzką, to jest, że nie wystarcza im, jak innym stworzeniom, żyć i być wolnymi od wszelkiego bólu i cielesnego cierpienia, potem, że pożądając zawsze i w każdym stanie niemożebności, témbardziej utrudzają się sami owém pragnieniem, im mniej inném złem są gnębieni, postanowił użyć nowych środków na zachowanie tego nędznego rodu, które były przede wszystkim dwa: naprzód wmieszać w ich żywot prawdziwe zło, następnie wpleść go w mnóstwo zajęć i trudów, a to dla rozerwania ich i przeszkodzenia ciągłemu obcowaniu z własnym duchem lub przynajmniej z ową marą nieznaną im a próżną szczęśliwości.

Dlatego rozsiał naprzód między niemi przeróżnych mnogość chorób i plag, już to chcąc przez zmianę warunków i kolei życia położyć tamę przesyтови i wzmódz kontrastem złego cenę dobrego, już téż, aby brak uciech stał się znośniejszy dla umysłów doświadczonych w nieszcześciu, wreszcie, aby zgnieść i okiełznać część zwierzęcą człowieka, przyuczyć do zginania szyi w jarzmo konieczności, skłonić do łatwiejszej zgody z własnym losem i przytępić w umysłach osłabionych niemniej dolegliwościami ciała, jak własnym mozołem bodziec i gwałtowność pożądania. Wiedział téż, że ludzie przyciśnieni chorobami i niedolą nie tak skoro podniosą na się rękę, potrożeni i ubez władnieni w sercu, czém zwyczajnie objawia się cierpienie. Które nawet rodzi przywiązanie do życia, torując drogę nadziei, co upewnia nieszczęśliwego, iż powrócą mu jeszcze dni szczęścia, skoro przebywszy cierpienia, siły odzyska, w co, zwążywszy naturę ludzką, nigdy wierzyć nie przestaje. Potem stworzył zawieruchę wiatrów i deszcze ulewne, uzbroidł się gromotem i błyskawicą, dał Neptunowi trójząb, pełną w ruch komety i oznaczył zaćmienia; temi i innymi groźnemi zjawiskami postanowił straszyc od czasu do czasu śmiertelnych, wiedząc, że strach i ustawiczne niebezpieczeństwo pogodzą z życiem, choćby na czas krótki,

nietylko nieszczęśliwych, lecz także tych, co je w największym będą mieli obrzydzeniu, i do pozbycia się go będą najskłonniejsi.

Aby usunąć dawną bezczynność, wpoił rodowi ludzkiemu chęć i potrzebę nowych pokarmów i nowych napojów, w które zaopatrywać się nie będą mogli bez wielkiego trudu; przed potopem bowiem ludzie zaspokajali pragnienie samą wodą i żywili się jedynie roślinami i owocami, które ziemia i drzewa same przez się wydawały, oraz innymi pokarmy podłemi i łatwemi do zdobycia, czém to dziś jeszcze utrzymują się przy życiu niektóre ludy, szczególnież zamieszkujące Kalifornią. Naznaczył dla różnych okolic ziemi różny klimat, podobnie dla części roku; dotąd bowiem był on na całej ziemi łagodny i przyjemny, tak, iż ludzie nie używali sukien, w które obecnie zaopatrzyć się musieli i z wielkim staraniem bronić niemi przeciw zmianom i niepogodom nieba. Polcił Merkuremu, aby założył pierwsze miasta i rozdzielił ród ludzki na szczepy, narody i języki, i zasiał między niemi spółzawodnictwo i niezgodę, aby nauczył ludzi śpiewu i tych sztuk, które tak z natury, jak pochodzenia swego nazywane były i są jeszcze nazywane boskimi. Nowym ludom nadał sam prawa, przepisy i porządek społeczny, a wreszcie chcąc ubłogosławić je nieporównanemi dary, zesłał między nich pewne istoty formy doskonalszej i nadludzkiej, którym w większej części nad ludami owemi zdał władzę; zwały się zaś imionami: Sprawiedliwość, Cnota, Sława, Miłość ojczyzny i innymi jeszcze. Miały te mary między sobą osobliwie jedną zowiącą się Miłość, która wtedy po raz pierwszy, tak jako i drugie, zstąpiła na ziemię; bo nim nastąpiło używanie sukien, nie miłość, ale popęd nie różny u ówczesnych ludzi od popędu, jaki zawsze objawiają zwierzęta, gnał jedną pleć przeciw drugiej podobnie, jak pociąg ku pokarmom i innym przedmiotom, których się nie kocha prawdziwie, lecz pożąda.

Cudo rzecz, jakie owoce wydały te boskie postanowienia i jak ten nowy stan, mimo mozoły, przestrach i dolegliwości nieznanne przedtém naszemu rodzajowi przewyższył wygodą i słodyczą stan przedpotopowy. A zjawiska tego przyczyną były głównie owe dziwne duchy, uważane raz za gieniusze, raz za bóstwa obserwowane i czczone z gorącym zapałem i pilną troskliwością przez bardzo długie wieki; do czego zachęcali ludzi śpiewem swym pełnym siły poeci i szlachetni mistrzowie, tak, iż wielu śmiertelnych nie wahało się, jedni téj, drudzy innéj marze poświęcać i ofiarować krew i życie własne. Co nietylko nie było niemile Jowiszowi, ale ówszem podobało mu się niezmiernie, dla różnych przyczyn; między innymi, iż uważał, że ludzie będą tém mniej pochopni do dobrowolnego szukania śmierci, im skorsi do szafowania niém za spr-

wy piękne i wzniosłe. Równie trwałością śliczny ten porządek nieskończenie przewyższał poprzednie, bo choć po wielu wiekach popadł w widoczne lekceważenie, nie mniej jednak raz upadając, raz podrywając się, ceniony był o tyle, że życie ludzkie, stawszy się siłą owego porządku przynajmniej na czas pewien, jakoby przyjemne, utrzymywało się w tym znośnym stanie aż do wieku niezbyt od nas odległego.

Przyczyną i formą ponownej zmiany były liczne kunszta wynalezione przez ludzi na zaspokajanie potrzeb swych sposobem łatwym i w jak najkrótszym czasie; olbrzymi wzrost nierówności warunków i obowiązków, któremi Jowisz ich obarczył, zakładając pierwsze rzeczypospolite; bezczynność i pustka, które z tych przyczyn po długowiecznym wygnaniu na nowo jęły trapić życie, zmniejszenie się nie tylko z natury rzeczy, lecz także w skutek lekceważenia, w jakie popadł u ludzi, wdzięku pochodzącego z różnorodności, co się zwykłą rzeczą koleją sprzykrzyła, a w końcu inne bardzo ważne przyczyny, które dziś, po tylu opisach i objaśnieniach, wyliczać rzecz jest zbyt ciężka. Dość, że odezwała się w ludziach nuda, dolegająca im przed potopem i wróciło gorzkie pożądanie szczęśliwości nieznaną i obcą naturze wszechświata.

Ale zupełny zwrot ich doli i ostateczny koniec tej epoki, którą my dziś zwykliśmy nazywać starożytnością, nastąpiły głównie z przyczyny różnej od wymienionych, a była ona następująca: Znajdowała się między owemi marami tak cenionemi u starożytnych jedna, zwana ich językiem Mądrość, która czczona powszechnie, jak jej towarzyszki, i naśladowana skwapliwie przyczyniła się w równej mierze co inne do pomyślności wieków minionych. Ona to nie już po wielekroć ale codziennie przyrzekała i przysięgała naśladowcom swoim pokazać Prawdę, która miała być, jak powiadała, gienuszem przemożnym, jej panią i mistrzynią, a nie zstąpiła dotąd na ziemię, zasiadając ciągle z bogami w niebie. Którą ona przyrzekała powagą swoją i łaską, jaką u niej posiada, sprowadzić i skłonić do przebywania czas jakiś między ludźmi; a jej obecność i obcowanie przywiedzie ród ludzki do takiego stanu, że stopniem poznania, doskonałością obyczajów i urzędzeń będą niemal przyrównani bogom. Ale jakże mógł błahy cień i wiotcha mara spełnić swoje przyrzeczenia: Prawdę sprowadzić na ziemię?

To też ludzie wierząc i ufając bardzo długo, poznali wkrótce nicość tych obietnic, a spragnieni zawsze odmiany, jako że nużyła ich beczynność — i polechtani już to ambicyą upodobnienia się bogom, już to posiadania tej szczęśliwości, jakiej, wedle słów owej mary, mogli, obcując z Prawdą, dostąpić, zwrócili się z gorącemi i upornemi prośbami do Jowisza, żądając, by użyzył ziemi na

czas pewien tego szlachetnego gieniuszu i wyrzucając mu, że zadrzości kreaturom ziemskim nieskończonych korzyści wynikających z jego towarzystwa; równocześnie wyrzekali znów przed nim na dolę człowieka, ponawiając stare i nienawistne skargi na biedotę świata. A że owe wyborne mary, twórczynie wszego dobra minionych lat, zaczęły przeważnie lekko być cenione, nie iżby już były w istocie swęj pojęte, ale iż powszechne upodlenie umysłów i gnusność obyczajów odwiodły od nich wierne dotąd sługi, więc téż ludzie, bluźniąc największemu darowi, jaki nieśmiertelni mogli udzielić i udzielili śmiertelnym, wolali, że ziemię pobytam swym zaszczytily tylko niższe duchy, wyższym zaś, ku którym ród człowieka chętniej-by się nakłonił, nie dozwolono postawić stopy na ten najpodlejszy kął wszechświata.

Wiele rzeczy od niejakięoś czasu odwręcało nanowo od ludzi przychylność Jowisza, między innemi niezliczone zbrodnie i występki, przewyższające o wiele liczbą i doniosłością grzechy pomuszczo e potopem. Psuła mu nadewszystko krew po tyłu próbach niespokojna, nienasycona, nieumiarkowana natura ludzka; widział teraz jasno, że ich żadne usiłowania nie nawrócą, żaden stan nie zadowolni, ni im najprzestrzenniejsze wystarczą obszary, więc choćby chciał tysięakroć powiększyć powierzchnią i rozkosze ziemi, oraz przestwór świata, wydałyby się one ludziom, zawsze nierozumnym i cheiwym nieskończoności, niezadługo ciasne, wstretne i marne. W końcu te głupie i dumne żądania wzburzyły do tyła gniew boga, że postanowił, zbywszy wszelkięj litości, ukarać ród ludzki na wieczność i przekląć nędzą sroższą niż dawniejsze. Umyślił więc posłać Prawdę między ludzi nie tylko na czas krótki, jak żądali, lecz dawszy jęj trwałe między niemi mieszkanie i usunąwszy z nięj te uroczę dawnięj tam przebywające mary, uczynić ją panią i kierowniczką ludzkości.

A gdy inni bogowie dziwili się temu postanowieniu, rozumiejąc, że zbyt wyniesiony zostanie stan nasz na szkodę ich wyższości, Jowisz uspokoił ich obawy, dowodząc, że nie wszystkie duchy dostojne są równocześnie dobroczynne i że inny wpływ wywrze Prawda na ludzi, niż wywiera na bogów. „Bo gdy bogom objawia nieustannie ich szczęśliwość, ludziom odkryje w całości i ciągle stawiać będzie przed oczy niedolę, ogłaszając ją nie za dzieło przypadku, ale za istotne złę, i niedające się odwrócić żadnym szczęśliwym trafem, wyleczyć żadném lekarstwem lub przetrwać, póki trwa życie. A że ich nieszczęścia są tęg natury, że o tyle są złę, o ile za złę uważa je ten, co cierpi, i mniej lub więcej ciężkie, według tego, jak się je ocenia, łatwo pojąć, ile szkody przyniesie ludziom obcowanie z tym gieniuszem. Odtąd

nie im nie okaże się prawdziwszém nad złudę wszystkich dóbr ziemskich, nie pewniejszém nad marność wszech rzeczy i własne cierpienia. Przez co pozbawi się ich nawet nadziei, którą od początku aż do tej pory skorzeź niż każdą inną rozrywką i pociechą podtrzymywali życie. A nie spodziewając się niczego i nie widząc usiłowaniom swoim i mozołom zaszczytnego końca, tak zozydzą i zbrzydzą sobie wszystkie dzieła przemysłu, nie mówiąc o dziełach sztuki, że powszechna dola żywych, niewiele się będzie różniła od doli umarłych. A w tém zwątpieniu i pogneźbieniu, nie unikną przecieź męczarni poźądania nieskończonęj szczęśliwości, wrodzonęgo ich duszom a większego niż przedtém, bo mniej zgłuszonego i roztargnionęgo różnolitością trosk i nawaleń zajęć. Równocześnie utracą siłę wyobraźni, która sama mogła choć w części zaspokoić ich tą szczęśliwością niemożliwą i niepojętą ani mnie, ani tym, co jęj poźądają. A złudzenia nieskończoności, które tak troskliwie rozmieściłem na ziemi, by się mamili i karmili niemi, każdy wedlug skłonności swęj, ideały wzniosłe i rozległe staną się niedostateczne w skutek nauk i nawyknień, jakie przejmą od owęj Prawdy. Tak, że ziemia i inne części wszechświata, jeźeli dawnięj wydawały się maleńkie, teraz wydadzą się jeszcze mniejsze, wytłómaczone i objaśnione prawami natury i wbrew oczekiwaniom przedstawiają się każdemu tém ciśniejsze, im większe o ich obszarze miał pojęcie. Ostatecznie, skoro uleczą z ziemi owe dostojne duchy i poznają ludzie za wskazówkami Prawdy ich istotę, zatraci się na świecie wszelka wartość i prawość tak myśli jak czynów, a nie tylko szacunek i miłość ale nawet imię narodów i ojczyzny zaginie, bo skupią się ludzie jako jeden naród i jedna ojczyzna (tak powiadać będą), na podobieństwo pierwotnego wieku i będą czynili wyznania miłości ku całemu rodzajowi, a właściwie rozpadnie się plemię ludzkie na tyle narodów, ile będzie ludzi. A gdy nie stanie ojczyzny, by ją szczególnie ukochać, ani obojęzny, by jęj niewidzieć, nienawidzieć będzie każdy każdego, kochając w całej społeczności siebie jedynie. Jakie stąd wynikną uciski, wypowiedzieć trudno. A śród tej rozpacznej niedoli nie będą śmiertelni pałać żądzą odebrania sobie samowolnie życia, bo władza owęgo ducha uczyni ich nie mniej niezgodnymi jak podłemi, a przyczyniwszy się nad wszelki wyraz do rozgoryczenia żywota, nie pozwoli im ocenić wartości samobójstwa“.

Po tych słowach Jowisza zdało się bogom, że los nasz stanie się zbyt srogi i bolesny, niż na to boskiej litości zgodzić się przystało. Lecz Jowisz ciągnął dalej, mówiąc: „Będzie im niejaka pociecha owa mara, którą nazwali Miłością, a którą samę zgadzam się, usunąwszy wszystkie inne, pozostawić ludzkości. Nie będzie

zaś dane Prawdzie, choć tak potężnej i w ciągłym z nią zostającą boju, ani wydziedziczyć ją z posiadania ziemi, ani zwyciężyć, chyba rzadko. Tak więc życie ludzkie podzielone równo między ubóstwanie owej mary i tego gieniuszu, rozpadnie się na dwie części: i oboje w sprawach i myślach ludzkich równe będą miały panowanie. Wobec nich wszystkie inne zajęcia, wyjąwszy błahocenne, nie ludziom znaczyć nie będą. W wieku sędziwym brak pociech miłosnych zrównoważony będzie dobrodziejstwem zadowolenia sprawionego życiem własnym i skwapliwą troską o nie, bynajmniej zaś jego rozkoszami i korzyścią“.

Usunąwszy zatem z ziemi błogosławione mary, pozostawiwszy jedynie szlachetną a wspólną wszystkim Miłość, zesłał Jowisz między ludzi Prawdę i dał jej wieczną między nimi siedzibę i panowanie. Z czego wyniknęły wszystkie, które był przepowiedział, żalosne skutki. I stała się rzecz bardzo dziwna, że podczas gdy przed zejściem swym, kiedy to jeszcze nie miał żadnej nad ludźmi władzy i wpływu, gieniusz ten czezony był wielką liczbą świątyń i ofiar, teraz skoro zszedł na ziemię za pozwoleniem swego władcy, i zaczął być poznawany, przeciwnie jak wszyscy inni nieśmiertelni, którzy im wyraźniej objawiają się, tém skwapliwsze odbierają hołdy, zasępił tak umysły ludzi i napenił takim przerażeniem, że choć zmuszeni byli słuchać go, przestali jednak cześć mu oddawać. A podczas, gdy inne duchy, im większą na umysł czyjś wywarły moc, tém większej zwykle doznawały miłości i honorów, ten przeciwnie odnosił najdziksze złorzeczenia i najczarniejszą nienawiść z pomiędzy tych, nad któremi najwyższą ustalił władzę. Nie mogąc jednak ani dobyć się z pod jego tyranii, ani jej zwalczyć, żyli śmiertelni w bezgranicznej niedoli, którą do dzisiaj cierpią, i wiecznie cierpieć będą.

Litość jednak nigdy z duszy bogów niewyparta wzruszyła niedawno zawziętość Jowisza nad takim cierpieniem, a głównie nad cierpieniem niektórych ludzi posiadających rozum subtelny, serce szlachetne i charakter nieskazitelny, widział bowiem, że uciska ich i boli bardziej niż drugich przewaga i twarde panowanie owego gieniuszu. Mieli zwyczaj bogowie w starożytności, kiedy Sprawiedliwość, Cnota i inne mary rządziły sprawami ludzi, odwiedzać czasem twory rąk własnych; schodzili też raz jedni raz drudzy na ziemię, naznaczając swą obecność różnymi sposobami, wychodzącami zawsze na błogosławieństwo wszystkich śmiertelnych, lub przynajmniej niektórych. Gdy nanowo spodiło się życie i popadło w grzechy i zbrodnie, obrzydili sobie na czas bardzo długi towarzystwo ludzkie. Jowisz zatem litując się strasznej naszej niedoli, zapytał bogów, który z nich zechce odwiedzić, jak się to da-

wniej działa, i pocieszyć w takiej potrzebie człowiecze z bogów pochodzące plemię, a zwłaszcza tych, co zdali się niezasłużenie cierpieć wspólną niedolę. Na co gdy wszyscy milczeli, Miłość, córka niebieskiej Wenery, mająca to samo nazwisko, co znany wam duch, ale z natury i zalet i czynów odmienna, ofiarowała się, jako że znana jest między bogami jej litość, spełnić poselstwo Jowisza i zstąpić z nieba, którego dotąd nigdy nie opuściła, bo nie mogło jej nieobecności ścierpieć grono bogów nawet przez małą chwilę. Chociaż od czasu do czasu starożytni, oszukiwani przeobrażeniami i złudą mary zwanąj tém samém imieniem, mniemali, że posiadają niewątpliwe dowody obecności najwyższego bóstwa. Nie wprzód ono jednak dało się skłonić do odwiedzenia śmiertelnych, aż zostali poddani panowaniu Prawdy. Poczém, nie zwykło było zstępować chyba rzadko i zawsze na czas krótki, jużto dla pogardy, jaką czuło ku ziemi, już téż, że bogowie z przykrością znosili jego oddalenie. Zstąpiwszy na ziemię obierało serea najwrażliwsze i najszlachetniejsze ludzi zacnych i wielkodusznych i pozostawiało w nich czas niejakiś, napełniając je tak obcą i dziwną słodyczą, budząc w nich uczucia takiej cnoty, wzniosłości i siły, że odtąd doświadczały—rzecz między ludźmi nowa — raczej rzeczywistość, niż rzekomej szczęśliwości. Rzadko spajał dwie dusze, obejmując obie na raz i rozniecając wzajemny zapał i tęsknotę, choć je blagają o to wszyscy, w których przemieszkować raczy Jowisz, nie pozwala na pofolgowanie ich życzeniom, wyjąwszy niewielu, bo szczęśliwość wynika z takiej łaski niewiele niższa staje się od doli bogów. Posiadanie zatem bóstwa tego w sobie przynosi błogość przewyższającą stopniem swym rozkosze najświetniejszych czasów. Gdzie się zatrzyma, wnet tam zamieszkują niewidzialne innym cudowne duchy, co wzięły rozbrat z ludzkością; sprowadza je zaś ów bóg na ziemię za pozwoleniem Jowisza i mimo niechęć Prawdy, bardzo nieprzychylną owym marom i ogromnie obrażonej ich powrotem; ale nie jest dane gieniuszom sprzeciwić się woli bogów. A że przeznaczenie wyposażyło je wieczną młodością, więc téż mocą swęj natury wypełnia poniekąd pierwsze życzenie ludzi, powrót do stanu dziecięctwa. Bowiem w duszach, które obiera na mieszkanie budzi i odświeża przez czas swego pobytu nieokreślone nadzieje, słodkie i czarowne marzenia młodocianych lat. Niektórzy nieświadomi i niepojmujący tego, co przyjemne, okazują mu pogardę i obrażają ustawicznie z najwyuzdańszą śmiałością, lecz ono nie słucha ich bluźnierstw, a choć i słyszy, nie mści się, tak jest z natury wspaniałomyślne i łagodne. Zresztą bogowie zadowoleni zemstą spełnioną na całym plemieniu i nawalem plag, które na świat zwałili, nie dbają o złorzeczenia ludzkie

i nie karzą oddzielnie wiarołomców, niesprawiedliwych, bluźnierców, jak tylko pozbawieniem ich swój łaski.

2. Rozmowa Herkulesa z Atlasem.

Herkules. Ojczy Atlasie, Zews każe pozdrowić cię od siebie, i jeżeli jesteś zmęczony, potrzymać brzemień twe czas jakiś na barkach, jak to uczyniłem — pomnisz — przed wiekami, gdyś odpoczywał i nabierał oddechu.

Atlas. Dzięki ci, luby Herkulesiku, i dzięki także majestatowi Zewsa. Ale świat stał się tak lekki, że ten oto płaszczyk, który wzięłem dla ochrony od śniegu, waży więcej i gdyby nie wola Zewsa nakazująca mi stać tu kamieniem i trzymać tę gałkę na plecach, wsunąłbym ją pod pachę, lub do kieszeni, albo zawiesił bując na włosku brody i poszedł za własnymi sprawami.

H. Czem się stało, iż straciła na wadze? Spozrzegam, że zmieniła formę, spłaszczyla się jak bochenek, i nie jest już tak okrągła jak za czasów, kiedy uczyłem się kosmografii, mając wziąć udział w wyprawie Argonautów; mimo to wszystko nie pojmuję, dlaczego miała ważyć mniej niż przedtém.

A. Przyczyny nie znam, ale o lekkości jój możesz się sam przekonać, wzięwszy ją na dłoń.

H. Na wiarę Heraklesa, gdybym nie doświadczył, nigdybym nie wierzył. Ale cóż to jeszcze odkrywam nowego? Kiedy ją pierwszy raz dźwigałem, pukała mi mocno na grzbiecie, jak pukają serca zwierząt, i czyniła zgielk ustawiczny, jakoby gniazdo szerszenie. Dzisiaj pukaniem swém przypomina zegar, co złamał sprężynę, a z dawnych zgielków nie słyszę ni szeptu.

A. I na to nie odpowiem ci nic innego, jak, że to już oddawna przestał objawiać świat wyraźny ruch i odgłosy, a ja sam podejrzewając mocno, że zamarł, czekałem z dnia na dzień, rychło mię zarazi zgnilizną, i myślałem, jak i gdzie go pogrzebię, i jaki mu położę nagrobek. Ale spostrzegłszy potem, że zepsuciem nie traci, pomyślałem, że ze zwierzęcia, jakim był przedtém, stał się rośliną jak Dafne i tyle innych; stał to musi pochodzić, że nie rusza się ani oddycha i jestem w strachu, aby mi wnet nie zapuścił korzeni w ramiona i tam się nie zasiadł.

H. Ja sędzę raczej, że śpi, i że sen ów jest z rodzaju Epi-
menidesowego, co trwał pół wieku, a nawet dłużej lub, jak to opo-
wiadają o Hermotymosie, że dusza wychodziła mu z ciała, kiedy
poczuła ochotę, i bujała po za niemi przez lat wiele, chodząc sobie
na rozrywki do innych krajów, poczem nie omieszkała nigdy po-
wrócić; aż dopiero przyjaciele, aby zakończyć te wycieczki, spalili
ciało; a tak duch powróciwszy, poznał, że dom jego zburzony, i że
jeżeli chce mieszkać w miejscu zamkniętym, musi wziąć inne ciało
w najem, albo iść do gospody. Toż nie życząc sobie, aby świat
spal wечно i aby przyjaciel jaki lub dobrodziej, myśląc, że jest
trupem, nie podłożył podni ognia, pragnę sposobem jakim rozru-
szać go.

A. Dobrze; lecz jakim?

H. Palnąć go może tą oto maczugą? Boję się jednak spła-
szyc go na oplątek; nie jestem też pewny, czy mając skorupę
wytartą niechybnie, kiedy tak lekki, nie roztrzaska mi się nad
głową jak jaje. Lęk mię też ogarnia, czy ludzie, co to dawniej
z lwami brali się za bary a dzisiaj pełnóm się bronią, nie po-
mdleją wszyscy razem od uderzenia. Lepiej złożę ja maczugę,
a ty swoją gunię i zagramy w piłkę tą maleńką kulą. Szkoda, że
nie zabrałem z sobą palcatów i rakiet, których używamy z Merku-
rym, grając w ogrodzie Zewsa; ale pięści wystarczą.

A. Zapewne! Może, aby ojciec twój widząc grę i mając ochotę
wejść jako trzeci, stracił nas swoją piłką rozpaloną nie wiem
gdzie, jak Faetona do Padu?

H. Stałoby się to, gdybym był jak Faeton, synem poety,
a nie jego własnym. Ale gdybym nawet nim nie był, to jeżeli
poeci zaludniają miasta dźwiękiem swęj liry, mnie wystarczy dmuch-
nąć, a wyludni się niebo i ziemia na huk méj maczugi. A jego
piłkę jedném uderzeniem pięty wyrzuciłbym stąd aż do szczytów
empirejskiego nieba. Bądź jednak pewny, że gdyby nawet przy-
szła mi fantazyja wyjąć gwiazd kilka z nieba, żeby niemi domki
z kart ozdobić, albo strzelać do celu z komety jak z procy, wziąw-
szy ją za ogon, a nawet zabawić się słońcem jak dyskusem, mój
ojciec udalby, że nie widzi. Zresztą, zamiarem naszym jest, w téj
grze dopomódz światu, nie jak Faeton, co chciał pochwalić się
lekkością skoku przed Horami trzymającemi mu stopień, gdy na
wóz swój wsiadał i wyrobić sobie sławę dobrego woźnicy u An-
dromedy, Kallisty i innych pięknych konstellacyj, którym, jak po-
dają, rzucał w przebiegu bukieciki promieni i karmelki z smażone-
go światła, oraz zrobić z siebie pyszne widowisko bogom niebies-
kim na promenadzie owego dnia, który był świętem. Słowem, nie
rób sobie nic z gniewu mego ojca, bo w każdym razie, ja się obowią-

zuje nagrodzić ci straty; dalej, nie ociągając się, zdejm kapotę i podawaj piłkę.

A. Tak dla twego stopnia jak siły, muszę tańczyć, jak mi zasługasz, bo ty jesteś krzepki, uzbrojony, ja stary i bezbrony. Uważaj przynajmniej, aby nie upadła i nie nabrała guzów, albo aby jakaś część nie pękła i nie odłupała się, jak się stało, kiedy Sycylia odprysła od Włoch, a Afryka od Hiszpanii, lub nie odskoczyła jaka drzazga, jakoby rzecz prowincya albo królestwo, z czego mogłoby powstać wojna.

H. O mnie bądź spokojny.

A. Na ciebie kolój, chwytaj! Patrz, krzywo leci, bo ma splecione policzki.

H. Nuże! dodaj jej ducha, bo nie dolatuje.

A. Uderzenie nie pomoże; wiatr wieje od południowego zachodu, a piłka leci z wiatrem, bo lekka.

H. To jej stary grzech, że się zawsze z wiatrem kręci.

A. Nieźle doprawdy byłoby, abyśmy ją nadęli, bo widzę, że odskakuje od pięści, tak miękka, jak melon.

H. To nowa wada, bo dawniej skakała i podrygała jak koza.

A. Hej! biegaj za nią, biegaj prędko na Boga, pilnuj, żeby nie upadła...; przekłeta chwila, co cię tu przywiodła.

H. Tak mi ją rzuciłeś źle i tak nisko, że nie mogłem podbiec na czas, gdyby miała zamiar grzbiet mi poturbować. Pokaż się, biedaczko... Cóż? nigdzie nie boli? Nie słyhać ani oddechu, nie widać żywej duszy; pewno wszyscy śpią, jak przedtem.

A. Dawaj ją tu, na wszystkie rogi Styksa, niech ją sobie umieścę na grzbiecie; ty zaś sam zabieraj swoją maczugę i wracaj prędko do nieba, wytłómaczyć mnie przed Zewsem z tego wypadku, którego jesteś przyczyną.

H. Tak uczynię. Kilka już wieków, jak w domu ojca mego mieszka pewien poeta, nazwiskiem Horacy, zainstalowany tam jako poeta dworski, za wstawieniem się Augusta, ubóstwionego przez Zewsa za to, iż powiększył potęgę Rzymian. Ten poeta śpiewa niektóre piosneczki, między innymi jedną, w której mówi, że sprawiedliwość nie zachwieje się, choćby nawet świat runął. Myślę, że dziś wszyscy ludzie sprawiedliwi, bo świat runął, a nikt się nie zachwiał.

A. Któż wątpi o sprawiedliwości ludzi? Lecz ty nie trać czasu na staniu, ale wracaj prędko usprawiedliwić mię przed ojcem, bo drzę, czekając, rychło-li mię piorun z Atlasa przemieni w Etnę.

3, Konkurs ogłoszony przez Akademią Ksylografów.

Akademia Ksylografów dbała zawsze według swego programu o popieranie powszechniej korzyści i uważająca, że nie snadniej celów tych nie wspiera, jak wspomaganie i popychanie ruchu i skłonności

Szczęsnego wieku, co nas życiem darzy,

jak mówi sławny poeta, zaczęła rozbierać pilnie istotę i zdolności naszej ery i po długim dojrzałym badaniu przysłała do przekonania, że ją nazwać można erą machin, nie tylko, że ludzie dzisiejsi rosną i żyją może bardziej machinalnie niż w przeszłych wiekach, lecz także ze względu na ogromną ilość machin wynalezionych świeżo i zastosowanych albo wynajdywanych codziennie i zastosowanych do tak różnorodnych czynności, że dziś nie ludzie, ale — można rzec — maszyny załatwiają sprawy ludzkie i wykonywają funkcje życiowe. Czem Akademia ucieszyła się bardzo, nie tyle dla wyraźnych wpływających stąd korzyści, ile dla dwu względów, które uważała za bardzo doniosłe, choć powszechnie nie spostrzegane. Z jednej strony miała nadzieję, że z biegiem czasu użytek i działalność machin obejmą po-za sferą materialną także duchową, tak, że jak dziś już jesteśmy wolni i bezpieczni od klęsk piorunu lub gradu i od wielu innych nieszczęść i groźnych zjawisk, podobnie zwolna wynajdzie się naprzykład (darujcie wyrażenie) jakieś przeciw-zawiści, przeciw-kalumnie, przeciw-falsze i przeciw-zdrady; jakieś przedzalne zdrowia lub narzędzia wykonywające z nas egoizm, usuwające panowanie mierności, szczęśliwość głupców, lotrów i nędzników, powszechną wzgardę i nędzę mędrców, ludzi dzielnych i szlachetnych; oraz inne niewygody, które od kilku wieków do dziś dnia trudniej odwrócić, niż dawniej skutki piorunów i gradobić.

Z drugiej strony — i to był взгляд ważniejszy — skoro prawie wszyscy filozofowie zrozpaczyli o możności naprawienia wad ludzkiego rodu, które, według nich, miały być liczniejsze i donioslejsze niż zalety, i uznali za pewnik, że łatwiej byłoby odtworzyć go w drugim wydaniu, albo na jego miejscu postawić drugi niż odrestaurować, osądziła Akademia za rzecz najodpowiedniejszą usunąć ludzi jak najdalej od zajęć życiowych i potrosze zastąpić ich maszynami. A postanowiwszy przyczynić się wszelkimi siłami

do przyspieszenia tego nowego porządku rzeczy, wyznaczyła tymczasem nagrody za wynalezienie trzech poniżej skreślonych machin:

Zadaniem pierwszej będzie zastąpić osobę i funkcję przyjaciela, któryby nieobecnego nie obmawiał, ani brał za cel żartów; nie zamieszkał bronić słysząc, że go ganią lub żeń szydzą; nie przekładał sławy dowcipnego i uszczypliwego, ani też ludzkich pochwalnych uśmiechów, nad obowiązki przyjaźni; nie rozpowiadał, bądź to, aby mieć temat do baraszek i samochwalstwa, bądź z innej przyczyny — powierzonego mu sekretu, nie wcisnął się w zaufanie przyjaciela, by go podkopać i tém łatwiej wysadzić; dbał o jego dobro, nie zazdrościł pomyslności; odpierał lub naprawiał szkody, był skory na prośby i wspierał w potrzebie nie tylko gołosłownie. Co się tyczy innych punktów sporządzenia tego automatu, patrz traktaty Cycerona i margrabiny Lambert o przyjaźni. Akademia sądzi, że zbudowanie podobnej maszyny nie może być uznane ani za niepodobne, ani nawet za zbyt trudne, zważywszy, że obok automatów Ragiomontana i Vaucansona; obok owego, który w Londynie rysował figury i portrety i pisał, co mu dyktowano, istniały przecież maszyny grające w szachy własnym kunsztem. Życie zaś ludzkie, zdaniem wielu mędrców, jest grą, a według niektórych nawet czémś lżejszém jeszcze; co się zaś tyczy reszty, to zasady gry w szachy są bardziej racjonalne, jej kombinacje roztropniej obmyślane, niż się to dzieje w życiu, które prócz tego nie mając w sobie — według słów Pindara — więcej substancji niż widzenia sensne ducha, może być przecież godne czuwającego trzeźwo automatu. Co się tyczy mowy, nie ulega wątpliwości, że ludzie potrafią nadać ją samoruchom przez się zbudowanym, jak to wiemy z wielu przykładów, a zwłaszcza z tego, co czytamy o posągu Memnona i głowie złożonej przez Albertusa Wielkiego, która była tak gadliwa, że ją św. Tomasz z Akwinu zbrzydźszy sobie, potłukł. A jeżeli papuga z Nevers, która była tylko stworzonkiem, umiała rozmawiać i odpowiadać rozumnie, o ileż łatwiej można uwierzyć, że te same skutki wykona przyrząd wymyślony w mózgu człowieka i zbudowany jego rękoma. A nie będzie on tak jęczyczny jak papuzka z Nevers i inne podobne, które codziennie spotykamy i słyszymy, lub głowa gadająca Albertusa, bo nie przystanie jej nudzić przyjaciela i zmuszać do słuchania. Wynalasca tej maszyny odbierze nagrodę złoty medal wagi 400 cekinów, przedstawiający z jednej strony popiersia Piladesa i Oresta, z drugiej nazwisko nagrodzonego i napis: *Pierwszemu, co urzeczywistnił starożytne bajki.*

Drugą maszyną ma być sztuczny człowiek parowy, zbudowany i urządzony ku wykonywaniu czynów cnotliwych i wzniosłych. Akademia sądzi, że para, gdy innego środka znaleźć nie można,

potrafi rozgrzać samorucha i obrócić na usługę cnoty i sławy. Kto podejmie trud zbudowania takiej maszyny, ma obaczyć poematy i romanse, i z nich wydobyć wskazówki, jaki ma wybrać materiał i jakie naznaczyć automatowi czynności. Nagrodę stanowić będzie medal złoty wagi 450 cekinów z odbiciem po jednej stronie jakiegóś znacznej postaci złotego wieku, po drugiej nazwiska wynalascy z tym napisem wyjętym z czwartej eklogi Wergiliusza:

Quo ferrea primum desinet, ac toto surget gens aurea mundo.

Trzecia maszyna ma przedstawiać własności kobiety określone już przez hrabiego Baltazara Castiglione w *Dworzaninie*, już też przez innych w różnych pismach, które znaleźć łatwo, a których należy tak poradzić się i posłuchać jak książki hrabiego. Wynalazek tej nawet maszyny nie powinien wydawać się niepodobny do skutecznienia ludziom naszych czasów, jeżeli przypomną sobie, że Pigmalion w epoce tak odległej i nieposiadającej kunsztów zbudował sobie żonę własnymi rękoma, a powiadają, że była to najlepsza kobieta aż po dzień dzisiejszy. Naznacza się wynalascy tej maszyny medal złoty wagi 500 cekinów, na którym po jednej stronie będzie wyobrażony feniks arabski Metastazyusza siedzący na roślinie gatunku europejskiego, z drugiej strony imię laureata z napisem:

Wynalascy wiernych kobiet i szczęśliwości małżeńskich.

Akademia uchwaliła, że każda z tych trzech nagród opłaci się ze skarbu znalezionej w worku Dyogenesa, byłego jej sekretarza, i pokryje się jednym z trzech osłów złotych znajdujących się w trzech Akademiach Ksylografów, t. j. osłem Apuleusza, Firenzoli i Machiawella, który to majątek dostał się Ksylografom na mocy testamentu wyżej wymienionych, jak czytamy w Rocznikach Akademii.

4. Rozmowa Gnoma z Kobołem.

Kobol. A! jesteś tu, synu Sabacyusza. Dokąd-że to?

Gnom. Mój ojciec wysłał mię wypatrzeć, co u licha wypra-

wiają ci hultaje ludzie; niepokoi się wielce, że od niejakiegoś czasu wcale ich nie słyhać i w szerokiem jego państwie nie widać ni jednego. Obawia się, czy nie knują czegoś przeciw niemu i przypuszcza, że może powrócił zwyczaj sprzedawania i kupowania sposobem wymiany bydląt nie zaś złotem i srebrem; albo że może cywilizowane ludy zadawalniają się papierową monetą, jak to często były czyniły, lub szklanemi paciorkami, jak plemiona dzikie; albo że wróciły do znaczenia prawa Likurga, co mu jednak najmniej prawdopodobniem się wydaje.

K. Napróžno czekać ich, wszyscy pomarli —

powiada epilog jednej tragiedyi, kończącej się śmiercią wszystkich aktorów.

G. Co przez to rozumiesz?

K. Rozumiem, że wszyscy ludzie pomarli i że rasa ich przepadła.

G. Och, to są gadaniny gazet;... choć nie słyhać, aby o tém rozprawiały.

K. Naiwny! Nie pomyślałeś, że jeżeli ludzie pomarli, nie drukuje się gazet.

G. Prawdę powiadasz. Jakże teraz dowiemy się nowin o świecie?

K. Jakich nowin? Że słońce wstało lub zaszło, że chłód ziemi, upał grzeje, że tu i ówdzie padał deszcz lub śnieg, albo dęła zawierucha?... Bo gdy zabrakło ludzi, fortuna zdjęła z oczu przepaskę i włożyła okulary i zawiesiwszy koło na haku, siedzi złożwszy ręce na krzyż i patrzy na sprawy świata, dłoni do nich już nie przykładając; niema już królestw ni państw, któreby się nadymały i pękały jak bańki, gdyż wszystkie wylotniły się; szczękę wojen nie słyhać i jeden rok podobny do drugiego, jak jaje do jaja.

G. Nie wiemy nawet, który dziś dzień miesiąca, bo nie drukują kalendarzy.

K. Nie wielkie nieszczęście, bo księżyc mimo to nie zbłądzi z drogi.

F. Dni tygodnia zatracą swoje imiona.

K. Czy obawiasz się, że jeśli nie zawołasz ich po imieniu, nie przyjdą, albo sądzisz, że choć minęły, powrócą, skoro na nie zawołasz?

G. Zatraci się rachuba lat.

K. Wydamy się młodemi nawet gdy czas nasz minie, a nie

mierząc czasu, nie wielkie przez to popełnimo fałszerstwo; starcami zaś nie będziemy czekać na śmierć z dnia na dzień.

G. Lecz jakimże sposobem mogli wyginać ci łotrowie?

K. Częścią przez wojny, częścią przez podróże morskie, częścią, że jedni drugich pożarli lub własnoręcznie odebrali sobie życie, zgnuśniali w bezczynności, wycedzili sobie mózg nauką; częścią przez rozpustę i nieporządki różnego rodzaju; w końcu przez samowolne wynajdywanie sposobów działania przeciw naturze i skończenia nieszczęsnym sposobem.

G. Bądź co bądź, nie mogę zrozumieć, aby cały rodzaj ludzki mógł tak zginąć z powierzchni ziemi, jak powiadasz.

K. Ty, który jesteś mistrzem w geologii, powinieneś wiedzieć, że to wypadek nie nowy i że istniały dawniej różne gatunki zwierząt, które dziś nie istnieją, chyba w szczątkach skamieniałych kości. A z pewnością owe biedne stworzenia nie używały nigdy takich sztuk, jakich — mówiłem ci — używali ludzie na swoje zgubę.

G. Niech będzie, jak mówisz. Chciałbym bardzo, aby jeden i drugi z tego bractwa zmartwychwstał, gdyż radbym słyszeć, co by też powiedział, widząc, że reszta świata, choć ród ludzki zaginał, trwa jeszcze i idzie w przyszłość jak dawniej, kiedy wierzyli, że cały świat jest stworzony i utrzymywany dla nich jedynie.

K. A nie chcieli rozumieć, że wszystko stworzone jest i utrzymywane dla Koboltów.

G. Głuptasisz doprawdy, jeśli nie żartujesz.

K. Czemuż? mówię zupełnie poważnie.

G. Ech, z baraszkami idźże sobie. Któż nie wie, że świat stworzony dla Gnomów?

K. Dla Gnomów, którzy mieszkają zawsze pod ziemią? Pięknież to rzeczy słysze! Cóż mają do czynienia z Gnomami: słońce, księżyc, powietrze, morze, pola?

G. Co mają do czynienia z Koboltami miny złota i srebra i całe ciało ziemi z wyjątkiem wierzchniego jej futra?

K. Dobrze, dobrze; mają czy nie mają, dajmy pokój tej sprzeczce, bo jestem pewny, że nawet jaszczurki i komary myślą, że cały świat zbudowany został na użytek ich gatunku. Każdy trwa w swoim widzimisie, którego nikt mu nie wybije z głowy; co do mnie, wierzej, iż byłbym zropaczony, gdybym nie urodził się Koboltem.

G. Podobnie jak ja, gdybym nie urodził się Gnomem. Pragnąłbym wiedzieć, co by teraz powiedzieli ludzie i jakim okiem spojrzeliby na swoje uprzedzenia, których powagą krzywdzili dotąd niejedno stworzenie, zatapiali pod ziemię tysiąc ramion i pory-

wali gwałtem skarby nasze, mówiąc, że należą rodzajowi ludzkiemu, że natura ukryła je przed nimi i pogrzebała z żartu, chcąc doświadczyć, czy je znajdują i potrafią wygrzebać.

K. Nie dziw. Wszak nietylko byli przekonani, że przeznaczeniem wszystkich bogactw świata jest stać na ich usługi, ale kalkulowali, że wszystkie razem przeciw człowiekowi byłyby jeszcze bagatelą. Dlatego swoje drobne wypadki nazywali przewrotami świata, a historye swoich rodzin—historią świata; a przecież możnaby naliczyć, nawet nie wychodząc po-za granice ziemi, tyle rodzajów—nie już istot żyjących—ale samych zwierząt, ile jest wszystkich ludzi razem, które to zwierzęta, stworzone dla własnych celów jedynie, nie przypominają sobie, aby kiedykolwiek świat się przewracał.

G. Nawet komary i pchły stworzone zostały na użytek ludzi?

K. Tak jest, a to dla przyuczenia ich cierpliwości, jak sami utrzymują.

G. Jakby brakło okazji do ćwiczenia się w cierpliwości, gdyby nie było pcheł!

K. A wieprze, według Chryzypa, są sztukami mięsa, przyrządzonemi przez naturę dla kuchni i pożytków ludzkich i aby nie psuły się, napełnione duchami miast solą.

G. Ja myślę, że gdyby Chryzyp miał w mózgu trochę soli miast ducha, nie wymyśliłby podobnego głupstwa.

K. I to jeszcze jest zabawne, że niezliczonych rodzajów zwierząt nie widzieli nigdy i nie znają ludzie, ich władcy; czy to, że żyją tam, gdzie oni nigdy nie stawili stopy, czy że są tak małe, iż ich nigdy odkryć nie zdołają. A bardzo wiele rodzajów poznali dopiero w ostatniej epoce. To samo można rzec o świecie roślinnym i wielu innych. Podobnie odkrywali od czasu do czasu za pomocą swoich szkielek jakąś gwiazdę lub planetę, o której istnieniu nie wiedzieli przez tysiące i tysiące lat, i zaraz zapisywali je do swego inwentarza, wyobrażając sobie, że gwiazdy i planety są—jakoby rzec—światelkami latarni umieszczonej tam w górze na przyświecanie swoim panom, co w nocy mają wiele zajęcia.

G. Tak, że widząc śród lata czasu pewnych nocy spadające powietrzem ogniki, mówili, że jakiś dobry duch ucierał knoty gwiazdom na usługę ludzi.

K. A teraz, kiedy zginęli wszyscy, ziemia nie czuje, iż jej brak czegoś, a rzeki nie zmęczyły się biegiem, a morze, choć nie służy już dla handlu i żeglugi, jakoś nie wysycha.

G. A gwiazdy i planety nie przestały rodzić się i wschodzić i nie przywdziały żaloby.

K. A słońce nie poczerwilo twarzy sadzą, jak było uczyniło

za świadectwem Wergiliuszowem po śmierci Cezara, o którego dbało, jak sądzę, tyle, co statua Pompejusza.

5. Rozmowa Malambruna z Farfarellem.

Malambruno. Duchy ciemności: Farfarello, Civiatto, Baconero, Astarot, Alichino i jak was tam zowią, zaklinam was na imię Belzebuba i rozkazuję mocą téj sztuki, co może z zawias wysadzić księżyc i słońce przybić na środku nieba, niech przybywa jeden z was za nieprzymuszoną wolą swego księcia i z pełną władzą nżycia wszech sił piekielnych w służbie mojej.

Farfarello. Owom ja.

M. Kto jesteś?

F. Farfarello, do usług.

M. Przynosisz mandat Belzebuba?

F. Tak jest, przynoszę i mam siłę czynić w twój służbie wszystko, co mógłby czynić mój książę a więcej, niż razem wszystkich inne istoty stworzone.

M. Dobrze. Masz spełnić jedno moje życzenie.

F. Spełni się. Czego pożądasz: szlachectwa starożytniejszego niż Atrydowe?

M. Nie.

F. Państwa tak wielkiego, jak to, które Karol V przyśnił jednej nocy?

M. Nie.

F. Chcesz-że, bym nagiął ku twój woli niewiastę płochliwszą od Penelopy?

M. Nie; czy myślisz, że na to potrzeba aż szatana?

F. Zaszczytów i mienia, nudziarzu?

M. Potrzebny byłby mi dyabeł, gdybym raczej pożywał czegoś przeciwnego.

F. Cóż zatem nareszcie rozkażesz?

M. Uczyni mię na małą chwilę szczęśliwym.

F. Nie mogę.

M. Jakto nie możesz?

F. Przysięgam ci na sumienie, że nie mogę.

M. Na sumienie dyabelskie zapewne!

F. Nie inaczej. Uważ, że są uczciwi dyabli, jak są uczciwi ludzie.

M. Ale ty uważ, że cię tu do belki przybiję za ogon, jeśli mię tu zaraz nie usłuchasz bez słów wielu.

F. Zabij mię, a żądania twego spełnić nie mogę.

M. Więc ruszaj do licha a niech się tu stawi osobiście Belzebub.

F. Choćby tu stanął Belzebub z potępieńcami wszystkich piekielnych okręgów, nie mógłby równie jak ja uszczęśliwić ani ciebie, ani jednego z twoich.

M. Nawet na jedną chwilę?

F. Tak jest rzeczą możebną na jedną chwilę a nawet na pół i na część tysiączną chwili, jak na całe życie.

M. Więc, choć nie możesz w żaden sposób uczynić mię szczęśliwym, wolno ci przecież uwolnić mię od niedoli.

F. Jeżeli zdołasz przemódz się, by nie kochać siebie nade wszystko.

M. Ha, nie potrafię uczynić tego, chyba po śmierci.

F. Za życia nie zdoła uczynić tego żadne stworzenie, bo wszystko raczej niż to przeniesie wasza natura.

M. Prawda.

F. Tak więc, kochając siebie samego koniecznie najwyższą, do jakiej zdolny jesteś, miłością, pożadasz koniecznie szczęśliwości najwyższej; a nie mogąc ani w części zachceń tych zaspokoić, ile że są nieskończone, zgodzić ci się trzeba, że w żaden sposób nie możesz nie być nieszczęśliwym.

M. Nawet w chwili, kiedy doświadczać będę rozkoszy, bo żadna rozkosz nie uczyni mię ani szczęśliwym, ani zaspokojonym.

F. Żadna zaiste.

M. Ponieważ nie dorównywując wrodzonemu pożądaniu szczęśliwości w tym stopniu, jak sobie wymarzyła dusza, nie będzie prawdziwą rozkoszą, a póki to trwać będzie, ja nieszczęśliwym być nie przestanę.

F. Nie przestaniesz, bo u ludzi i innych istot żyjących sam brak szczęśliwości choć w przestankach wolnych od bólu i cierpień, a nawet w momentach tak zwanój uciechy stanowi wyraźną niedolę.

M. Tak, że od urodzenia do śmierci, niedoli usunąć nie można nawet na przeciąg jednego momentu.

F. A przecież usuwa się ją: w czasie snu bez marzeń, lub gdy pochwyci was omdlenie albo coś przerwie w was użycie zmysłów.

M. Lecz nigdy, póki czujemy się żywemi.

F. Tak, nigdy.

M. Zatem, mówiąc bezwzględnie, *niezycie* byłoby zawsze lepsze od życia.

F. Jak brak niedoli lepszy niż niedola.

M. Więc?...

F. Więc jeżeli podoba ci się oddać mi duszę przedwcześnie, stoję oto gotów zabrać ją.

6. Rozmowa Duszy z Naturą.

Natura. Idź, córko moja ukochana—bo tak zwać cię będą ludzie przez długie wieki. Żyj, bądź wielką i nieszczęśliwą.

Dusza. Jakiegoż grzechu dopuściłam się, nie żyjąc jeszcze, iż mię skazujesz na tak straszną karę?

N. Jaką karę, córko moja?

D. Nie przeznaczasz-że mi, bym żyła nieszczęśliwą?

N. Tak, lecz pragnę równie, byś wielką była, a jedno bez drugiego stać się nie może. Zresztą przeznaczonaś dać życie ciału ludzkiemu, a wszyscy ludzie z konieczności rodzą się i umierają nieszczęśliwi.

D. Toć przeciwnie winnaś była postanowić, by z konieczności wszyscy szczęśliwi byli, a skoroś tego uczynić nie mogła, należało zaniechać wydawania ich na świat.

N. Ni jedno, ni drugie nie jest w mojej mocy, która podległa jestem Przeznaczeniu, ono zaś postanowiło inaczej, co bądź jest tego przyczyną. A teraz, gdy już stworzona jesteś i przeznaczona do uformowania istoty ludzkiej, nieczyja moc, ni moja, ni cudza wyrwać cię z niedoli wspólnej ludziom nie zdoła. Co więc, trzeba ci będzie znosić własną i to cięższą dla doskonałości, którą cię obdarzam.

D. Nie umiem jeszcze wiele, co tylko bowiem rozpoczęłam życie; i stąd pochodzić musi, iż cię nie rozumiem. Lecz powiedz mi: doskonałość i ostatnia niedola jest-że to rzecz ta sama, a jeżeli jest rzecz różna, nie wolnoż ci rozdzielić jednej od drugiej?

N. Dla duszy ludzkiej, a w odpowiednim stopniu dla duszy wszystkich stworzeń są one—rzec można—identyczne; doskonałość ducha wywołuje większe napięcie żywotności, skąd wypływa większe poczucie własnej niedoli; jest więc doskonałość większemu nieszczęściem. Podobnie większa żywotność ducha potęguje miłość

własną, kędykolwiek się skłoni i pod jakąkolwiek objawi się postacią, a to zwiększenie miłości własnej wiedzie za sobą nateżone pożądanie szczęśliwości, stąd większe niezadowolenie i niesmak z jej braku, dotkliwsze uczucie bólu, który zeń wypływa. To wszystko mieści się w porządku pierwotnym i wiecznym, ustanowionym dla istot stworzonych, którego ja odmienić nie mogę. Do tego subtelność umysłu i żywość wyobraźni odbiorą ci część panowania nad sobą. Zwierzęta używają dla celów, które sobie znaczą, wszystkiej swęj zdolności i siły. Ale ludzie spełniają rzadko w całości swą wolę; przeszkadza im zwykle rozum i wyobraźnia, stwarzające tysiąc wątpliwości w sądzeniu i tysiąc przeszkód w wykonaniu. Najmniej uzdolnieni i najmniej przyzwyczajeni do zastanawiania się i rozprawiania z samemi sobą, wykonywują czynności swe najspieszniej i najskuteczniej. Ale umysły podobne twojemu, zatopione wiecznie same w sobie i jakoby przygniecione ogromem swęj wielkości, a stąd nie władające sobą, gubią czas, niestanowcze ni w sądach, ni w czynnościach, co jest plagą, jedną z największych, jakie trapią ludzkość. Dodaj, że podczas gdy wsparta znakomitemi zdolnościami przewyższysz łatwo i w krótkim czasie prawie wszystkie twego rodzaju w rozwiązywaniu zagadnień najcięższych, w poznaniu umiejętności najsubtelniejszych, nie zdołasz przecieź nigdy, albo z wielkim trudem, nauczyć się i zastosować wielu rzeczy użytecznych nietylko w sobie, lecz w obcowaniu z innemi ludźmi, a będziesz je widziała równocześnie wykonywane doskonale i zdobywane bez trudu przez ludzi nietylko niższych, lecz nawet godnych pogardy. Te i inne nieskończone trudności i niedole gnębią i towarzyszą umysłom wyższym, lecz są równoważone dostatecznie sławą, chwałą i zaszczytami, które przynosi tym doskonałym duchom ich wielkość, oraz trwałością pamięci, jaką po sobie zostawia potomnym.

D. A tę chwałę, te zaszczyty, o których powiadasz — będąc miała od nieba, czy od ciebie, czy od kogo drugiego?

N. Od ludzi, gdyż nikt prócz nich dać jej nie może.

D. Otóż widzisz, ja sądziłam, że nie umięjąc tego, co, jak powiadasz, tyle potrzebne jest dla obcowania z ludźmi, a co dostępne jest nawet umysłom płytkim, będąc przez nich wzgardzona i odepchnięta, nie zaś uwielbiana, i że żyć będę niezrozumiana, jako niezdatna do przebywania w społeczności ludzkiej.

N. Nie dano mi przewidzieć przyszłości, ani nawet przepowiedzieć ci niemylnie, co ludzie czynić ci będą i myśleć o tobie w czasie, gdy zamieszkasz ziemię. Powiem tylko, wsparta doświadczeniem i wniosującą z przeszłości, że będzie cię prześladowała zawiść, która jest drugą plagą czepiającą się dusz wzniosłych;

będzie cię gnębiła pogarda i lekceważenie. Ten los zresztą spotyka zazwyczaj podobne tobie. Za to wnet po śmierci, jak zdarzyło się niejakiemu Camoensowi, albo jak trafiło się, w niewielkiej chwili różnicy innemu, zwanemu Milton, będziesz uwielbiana i wynoszona pod niebo, nie mówię przez wszystkich, lecz przynajmniej przez szczupłą liczbę ludzi z rozsądkiem. I może prochy osoby, w której będziesz przebywać, spoczną we wspaniałym grobowcu, a twoje czyny naśladowane w różny sposób będą przechodziły przez ręce ludzkie i będą opisywane przez wielu i przekazywane pamięci, zebrane w wielkim staraniem przypadki twego życia, i całe społeczeństwo ludzkie pełne będzie twego imienia. Chyba, że z złośliwości losu, lub nadmiaru własnych zalet znajdziesz zawsze przeszkodę okazania ludziom odpowiedniego znaku twój wartości, czego istotnie nie brak przykładów, znanych jedynie mnie i przeznaczeniu.

D. Matko moja, mimo, że brak mi jeszcze zupełnego rozeznania, czuję przecież, że najżywsze, bo jedyne pragnienie, którym mię natchnęłaś, jest pragnienie szczęścia. A jeżeli już posiadam zdolność pożądania sławy, nie inaczej potrafię pożądać owego — nie wiem jak rzecz—zła czy dobra, zwanego szczęściem, a godnego zabiegów. Teraz-że, według słów twoich, doskonałość, którą mię obdarzyłaś, może być potrzebna i użyteczna dla osiągnięcia sławy, nie wiedzie jednak ku szczęśliwości, a nawet ciągnie gwałtem ku niedoli. Nie jestem też pewna, czy mię sława odprowadzi po za grób, a za grobem, jakaż korzyść, jakaż rozkosz czekać mię może z większych dóbr świata? Nakoniec, zdarzy się, jak powiadasz, iż owa opieszala sława, za cenę takiej niedoli ominie mię, nawet po śmierci. Toż własne twe słowa ważąc, wnioskuję, iż miast mię kochać osobliwie, jak zrazu twierdziłaś, pałasz ku mnie raczej gniewem i nienawiścią większą, niż ludzie i los, wśród mego na świecie pobytu, narzucasz mi bowiem ten dar nieszczęsny, tę zachwalaną doskonałość, która mi będzie jedną z głównych przeszkód dojsca jedyngo celu — szczęśliwości.

N. Córkó moja! Wszystkie dusze ludzkie, jak mówiłam, są bez méj winy przeznaczone na łup niedoli. Ale w powszechnj nędzy stanu ludzkiego, wśród nieskończonej marności jego uciech i zysków, sławę uważają przeważnie za największe dobro, dozwolone śmiertelnym, za najgodniejszy przedmiot trosk i zabiegów. Więc nie z nienawiści, ale z troskliwości szczerj i osobliwej starałam się dostarczyć ci do dopięcia tego celu wszystkich środków, jakie były w mojej mocy.

D. Powiedz mi—między zwierzętami bez rozumu, czy istnieje

prypadkiem które obdarzone mniejszą żywotnością i uczuciem niż człowiek?

N. Począwszy od tych, które pożywają pokarm roślinny, wszystkie są pod tym względem mniej więcej niższe od człowieka posiadającego większy zasób żywotności i uczucia, jako między żyjącymi najdoskonalszego.

D. Więc umieść mię, jeśli kochasz, w najniedoskonalszym, jeśliś zaś tego uczynić niezdolna, to pozbawiwszy tego posagu, co mię uszlachetnia, uczyn najtępszym i najbezmąglejszym duchem, jakie kiedykolwiek na świat wywiodłaś.

N. Tém ostatniem mogę ci przysłużyć i uczynię, kiedy odrzucasz nieśmiertelność, której cię przeznaczyłam.

D. A w zamian za nieśmiertelność, przyspiesz proszę śmierć moją najrychlej.

N. O tém naradzę się z Przeznaczeniem.

7. Zakład Prometeusza.

W roku 833275 panowania Jowisza kolegium Muz wydało drukiem i kazało porozwieszać na publicznych miejscach miast i grodów Hypernefelu ogłoszenia zapraszające wszystkich bogów, większych i mniejszych, oraz mieszkańców rzeczzonego państwa, którzy świeżo lub dawniej zrobili jakiś cenny wynalazek, do przedstawienia go w oryginalu, w modelu lub opisie sędziom wybranym z łona kolegium. A usprawiedliwiając się, że dla swego znanego ubóstwa nie może puścić wodzy hojności, jakby pragnęło, przeznaczało na nagrodę za najpiękniejszy i najużyteczniejszy wynalazek wieniec laurowy, z przywilejem noszenia go na głowie dniem i nocą, prywatnie i publicznie, w granicach państwa i za granicą; oraz wolność imaginowania się w formie portretu, płaskorzeźby, posagu, odlewu w jakimkolwiek materiale, ze znakiem tego wieńca na głowie.

Ubiegano się o tę nagrodę wielu bogów dla rozrywki, skąd wynikł pożytek nie tylko dla mieszkańców Hypernefelu, ale i innych miast; nie dobijał się jednak owej korony, która sama przez się nie warta była tyle, co czapka sukienna, a co do sławy, to jeśli ludzie, odkąd stali się filozofami, pogardzają nią, można wyo-

brać sobie, jak ją cenią bogowie, o tyle mędrsi od ludzi, a nawet jedynie mądrzy według Pitagorasa i Platona. Dlatego przykładem jedynym i niesłuchanym w dziejach nagród wyznaczanych najzasłużeńszemu, przyznane zostało to premium bez zabiegów, ani poduszczeń, ani faworów, ani obietnic skrytych, ani podejść trzem bogom, to jest Bachusowi za wynalazek wina, Minerwie za wynalazek oliwy potrzebnej bogom do codziennie praktykowanych pokąpiei namaszczeń i Wulkanowi za wynalazek garnka miedzianego, zwanego gospodarskim, służącego do gotowania z najmniejszym ekspensem ognia i czasu. Tak, gdy nagroda miała być podzielona na trzy części, dostawała się każdemu gałązka lauru; wszyscy troje jednak odmówili przyjęcia tak części, jak całości. Wulkan dawał za powód, że stojącemu ciągle przy ogniu w pracy i mozole ciężar ten zawadzałby na głowie, a przytém narażałby go na niebezpieczeństwo osmalenia się lub spalenia, gdyby przypadkiem iskra, czepiwszy się suchych gałęzi, rozbliła w nich pożar. Minerwa mówiła, że dźwigając już na głowie hełm wystarczający, jak mówi Homer, do pokrycia razem wojska stu miast nie ma chęci powiększania tego ciężaru jakim bądź sposobem. Bachus nie chciał zmieniać swój mitry i winnego wieńca na wawrzynowy; przyjąłby go — mówił — chętnie, gdyby pozwolono umieścić go za szyld nad tawerną, ale Muzy nie zgodziły się oddać mu go na ten użytek, został więc złożony w spólnym skarbcu.

Żaden z ubiegających się o tę nagrodę nie zazdrościł trzem bogom, co ją pozyskali i odrzucili, ani nie skarżył się na sędziów, ani nie ganił wyroku, wyjąwszy jednego, to jest Prometeusza, który przybył na konkurs z modelem ziemi przez się ulepionej i przygotowanej na stworzenie pierwszych ludzi, załączając pismo, gdzie wyłuszczał jakość i pożytki rodu ludzkiego przezeń sformowanego. Wywołała niemałe zdziwienie zgryzota Prometeusza, tak, że równie zwyciężeni jak zwycięscy uważali ją za żart; ale badając przyczynę poznano, że chodziło mu głównie nie o zaszczyt, ale o przywilej noszenia wieńca, coby się mu dostał ze zwycięstwem. Niektórzy sądzą, że zamierzał użyć lauru na ochronę przeciw burzom, jako się opowiada o Tyberyuszu, że kiedy słyszał grzmoty, kładł koronę na głowę, rozumiejąc, że tak piorun weń nie ugodzi. Ale w państwie Hypernefelu gromy nie biją i grzmoty nie hucają. Inni z większym prawdopodobieństwem utrzymywali, że Prometeusz wadą starych lat zaczął tracić włosy, nad którym nieszczęściem bolejąc bardzo, jak to czyni wielu, a nie znając *Pochwał lysiń* napisanych przez Synezejusza, lub raczej nie dawszy się niemi przekonać, chciał jak dyktator Cezar pod dyademem skryć nagotę głowy.

Ale wracamy do rzeczy; pewnego dnia rozmawiając z Momusem skarżył się Prometeusz pelen goryczy, że wino, oliwę i garnek miedziany wyżej oceniono niż rodzaj ludzki, który, jak powiadał, jest najznacześniejszém dziełem nieśmiertelnych zjawioném na świecie. A gdy mu się zdawało, że nie dość przekonał Momusa przytaczającego w replice nie wiem już jakie dowody, zaprosił go zejść we dwoje na ziemię i zatrzymać się w każdój z pięciu części zamieszkałych, zrobiwszy naprzód wspólnie ten zakład: Czy na pierwszych pięciu lub więcej miejscach znajdą albo nie niezbite dowody, że człowiek jest najdoskonalszą kreaturą wszechświata. Gdy Momus przyjął wezwanie i gdy zgodzono się na wysokość zakładu, zaczęli bez zwłoki zstępować na ziemię, zwracając się naprzód ku nowemu światu, który już to przez samo imię, już też, że nie postawił na nim przedtém stopy żaden z nieśmiertelnych, lechtal szczególnie ciekawość. Zatrzymali lot w kraju Popajanów od strony północnej, niedaleko rzeki Kanka, w miejscu, gdzie pojawiały się liczne znaki ludzkiej bytności: ślady uprawy na polach; drogi i gościńce, choć w wielu miejscach przerwane i po części zawalone; drzewa zrąbane i porzucone, a szczególnie pewne jakoby zgliszcza i tu owdzie ludzkie kości. Nie mogli jednak obaj bogowie, choć nadstawiali uszu i wyteżali wzrok dokoła, usłyszeć głosu i odkryć choćby cień żywego człowieka. Podróżowali bądź idąc, bądź lecać, przez przestrzenie wielu mil, przekraczając góry i rzeki, i znajdując wszędzie te same zjawiska i tę samą pustkę. Czemu puste te kraje, mówił Momus do Prometeusza, kiedy po śladach sądząc, były niegdyś zamieszkałe? Prometeusz przypominał wylewy mórz, trzęsienia ziemi, orkany, deszcze nawalne, które, jak wiedział, panują w strefach gorących; istotnie z pobliskich lasów słyszeli szelesty gałęzi ociekających wodą za każdym wiatru powiewem. Nie zdołał jednak Momus pojąć, jak te okolice mogły być wystawione na wylewy morza tak dalekiego, że z żadnej strony go nie dostrzegali; a mniej jeszcze rozumiał, jaką fatalnością trzęsienia, orkany i deszcze wygładziły ludzi, przebacząc jagurom, małpom, mrówkojadom, jeleniom, orłom, papugom i tysiącom innych stworzeń ziemnych i powietrznych, osiadłych w tym kraju. Nakoniec zstąpiwszy w obszerną kotlinę, odkryli niewielką kupę domów i chat drewnianych pokrytych palmowemi liśćmi i ogrodzonych z osobna rodzajem płotu; a przed jedną dużo postaci ludzkich stojących lub siedzących wkoło glinianego kotła umieszczonego na ognisku. Zbliżyli się obaj bogowie, przyjąwszy kształty ludzkie, a Prometeusz pozdrowiwszy wszystkich, uprzejmie zwrócił się ku jednemu, co zdawał się być starszym, i zapytał, co porabiają.

Dziki. Jemy, jak widzisz.

Prometeusz. Jakież macie potrawy?

Dz. Ten oto kawałek mięsa.

Pr. Domowego czy dzicyzny?

Dz. Domowego, ot, z mojego syna.

Pr. Czy masz synem ciele, jak Pazyfaa?

Dz. Nie ciele, ale człowieka, jak wszyscy inni.

Pr. Co prawisz? Czyś szalony? Pożerasz własne ciało?

Dz. Własne nie, jak widzisz, ale ciało mego dziecka, boć na ten użytek wydałem je na świat i troskałem się o wyżywienie go.

Pr. Aby je pożréć?

Dz. Cóż dziwnego? I matkę także, ponieważ przestała być zdatna do rodzenia, zamyślałam zjeść niedługo.

Momus. Tak, jak się zjada kurę, zjadłszy wprzód jaja?

Dz. I inne kobiety, które trzymam, skoro staną się niezdatne do rodzenia, zjem także. A tych moich niewolników, co widzicie, czyżbym trzymał żywo, gdyby nie to, że mam z nich dzieci i żywię się niemi? Skoro się zestarzeją, zjem ich także po jednym, jeśli dożyją.

Pr. Powiedz mi, ci niewolnicy są z twego własnego szczepu czy obcego?

Dz. Z obcego.

Pr. Dalekoż stąd mają siedzibę?

Dz. O! bardzo daleko; między naszymi a ich domami tuż, tuż płynął strumień. — I wskazując na wzgórek, dodał: — Oto miejsce, gdzie stały, ale nasi zburzyli je.

Wtém zdało się Prometeuszowi, że ci i owi z gromady patrzyli nań wzrokiem lubym, niby kot na szczura, aby więc nie być zjedzonym przez własne stworzenia, prędko uleciał, z nim zaś razem Momus; a taki był strach obu, że odlatując zepsuli barbarzyńcom obiad tym rodzajem kału, jakim harpije obrzuciły przez zazdrość stoły Trojan. Ale owi, bardziej zgłodniali, a mniej wstęplivi niż towarzysze Eneasza, kończyli karmienie się, a Prometeusz bardzo niezadowolony z nowego świata, zwrócił się natychmiast ku staremu, to jest ku Azji, a przebywszy prawie w jednym momencie przestrzeń między nowemi a starymi Indyami, zatrzymali się obaj w bliskości Agry na polu zajętem niezliczoną rzeszą, skupioną wkoło rowu, wypełnionego stosem drzewa; na jednym brzegu stali ludzie z tlejącymi pochodniami gotowemi do podłożenia ognia, z drugiej strony na rusztowaniu kobieta, w kwiecie lat, ubrana w bogatą szatę i ustrojona różnemi rodzajami barbarzyńskich ozdób, która tańcząc i wydając okrzyki, okazywała wielką radość. Prometeusz widząc to, wyobrażał sobie nową Lukrecyę

lub nową Wirginię, lub jakąś naśladowczynię córek Erechteusza, Ifigenii, Kodrusów, Menecyuszów, Kurecyuszów, Decyuszów, którzy za radą wyroczeni poświęcali się dobrowolnie za ojczyznę. Usłyszawszy potem, że przyczyną poświęcenia kobiety była śmierć małżonka, sądził zrazu, że jak Alcesta chciała za cenę siebie samej duszę jego wykupić. Ale skoro dowiedział się, że nie oddała się sama na spalenie, tylko że tak czyniono wszystkim owdowiałym kobietom tego szczepu, i że zawsze nienawidziła męża, i że była pijaczką, i że umarły miast zmartwychwstać, miał spalić się w tym samym ogniu, odwróciwszy się nagle plecyma od tego widowiska, podążył w stronę Europy, a w drodze wiódł z towarzyszem swoim taką rozmowę:

Momus. Czyż marzyłeś, wykradając z własnem niebezpieczeństwem ogień niebieski, by go oddać ludziom, że ci użyją go do pieczenia jedni drugich na różnie lub dobrowolnych całopaleń?

Prometeusz. Nie, zaiste. Ale uważ luby Momusie, że ci, których dotąd widzieliśmy, są barbarzyńcami, a nie z barbarzyńców winno się wnioskować o naturze ludzkiej, ale z ludów cywilizowanych, do których pójdziemy obecnie; i wierzę pewnie, że tam ujrzymy i usłyszymy rzeczy i słowa, które wydadzą ci się godne nie tylko pochwały ale zdumienia.

Momus. Co do mnie, nie widzę, dlaczego, kiedy ludzie są najdoskonalszemi tworamı wszechświata, potrzeba aż cywilizacyi, aby nie palili się sami i nie pożerali własnych dzieci; wszak inne zwierzęta, choć dzikie nie palą się własnowolnie, prócz feniksa (którego nikt nie oglądał); bardzo rzadko zjadają sobie podobne a jeszcze rzadziej żywią się własnym płodem, i to przez jakiś niezwykle przypadek, nie zaś, aby go na ten cel wydały. Uważ także, że z pięciu części świata jedyna tylko i to nie cała, i to nie mogąca iść w porównanie z żadną z reszty czterech obdarzona jest tą cywilizacją, którą wychwalasz; przyłączmy do niej małeńkie skrawki innych części. A już ty sam nie powiesz, że ta cywilizacja jest ostatecznie dopełniona, tak, że dziś mieszkańcy Paryża lub Filadelfi posiadają w całości tę doskonałość, jaka ludzkiemu rodowi przypada w udziale. Aby zaś dojść do obecnego stanu cywilizacyi, jeszcze niedoskonalej, jak długo musiały cierpieć te i owe ludy? Tyle lat, ile naliczyć można od początku ludzkiego rodu aż po dzień dzisiejszy. I prawie wszystkie wynalazki, które były albo bardzo użyteczne, albo bardzo skuteczne w pracy cywilizowanej się, miały początek nie w rozmyśle ale w przypadku, tak, że cywilizacja jest raczej dziełem przypadku niż natury, a gdzie takie przypadki jeszcze się nie zdarzyły, tam, jak widzimy ludy pozostały barbarzyńskimi, choć są nie młodsze od cywilizowanych.

Powiadam więc: Jeżeli człowiek dziki niższy jest pod wielu względami od innych zwierząt; jeżeli cywilizacja, która jest czemś prawdziwie dzikością, posiada dziś tylko małą cząstkę rodu ludzkiego; jeżeli przytém ta część nie będzie mogła dojść obecnego stanu oświaty, aż po niezliczonej liczbie wieków i to z łaski przypadku raczej, niżeli sił innych; nakoniec, jeżeli rzeczony stan oświaty nie będzie jeszcze doskonały: uważ nieco, czy może zdanie twoje o rodzaju ludzkim nie będzie prawdziwsze, skoro postawimy je w tej formie, że jest istotnie najwyższym między rodzajami, jak ty sądzisz, ale najwyższym w niedoskonałości raczej niż doskonałości, choć ludzie mówiąc o tém i rozumując zamieniają ciągle jedną z drugą, ile że wnioskują na podstawie pewnych „widzimi się“, które sobie ukuli sami i uważają za dotykającą prawdę. Pewną jest rzeczą, że inne rodzaje zwierząt już od początku każdy w sobie był doskonały. A choćby nawet nie było jasnym, że człowiek dziki uważany w porównaniu z innymi zwierzętami jest najmniej dobry, nie pojmuję nawet, jak może wejść w porównanie niedoskonałość ludzkiego rodu z doskonałością reszty stworzeń świata. Dodaj, że cywilizacja ludzka, której dopiąć trudno a wydoskonalić niepodobna, nie jest jeszcze do tyla trwała, aby nie mogła runąć, jak istotnie zdarzyć się miało wielokrotnie i u różnych ludów, co ją w wielkiej części zdobyły. Słowem, zdanie moje takie, że gdyby twój brat Epimeteusz przedstawił był sędziom model, którym posługiwał się, tworząc pierwszego osła i żabę, byłby może otrzymał nagrodę, której tobie odmówiono. Przecież, bądź co-bądź zgodzę się z tobą chętnie, że człowiek jest najdoskonalszym tworem, jeżeli ty przystaniesz na Plotynusowe zdanie o doskonałości świata, który, jak powiadał Plotyn, jest bezwzględnie najlepszy i najdoskonalszy; ale będąc doskonałym, musi zawierać w sobie między innymi także wszystko złe możliwe; znajduje się też na nim tyle złego, ile pomieścić się zdoła. W tym względzie zgodziłbym się również z Leibnitzem, że świat obecny jest najlepszy z wszystkich możliwych światów.

Niewątpliwie miał Prometeusz w pogotowiu na te argumenta odpowiedź w formie wyraźnej, dokładnej i dyalektycznej; to pewna jednak, że ich nie użył, bo w téjże samej chwili znaleźli się nad Londynem, gdzie zstąpili, a widząc wielki tłum zbiegający się u drzwi odosobnionego domu, wmieszawszy się między pospólstwo, weszli do wnętrza i znaleźli na łożu człowieka leżącego na wznak i trzymającego w prawej ręce pistolet, przestrelonego przez pierś i nieżywego; obok leżało dwoje dzieci również nieżywych. W pokoju znajdowało się kilku domowników i kilku sędziów, co im zadawali pytania, podczas gdy urzędnik pisał.

Prometeusz. Kto są ci nieszczęśliwi?

Sluga. Pan mój i jego dzieci.

Pr. Kto ich zabił?

Sl. Pan wszystko troje.

Pr. Chcesz rzec: dzieci i siebie?

Sl. Tak właśnie.

Pr. Ach, cóż znowu, jakieś straszne zdarzyć mu się musiało nieszczęście?

Sl. Żadne, o ile wiem.

Pr. Ale może był biedny, albo wzgardzony, albo nieszczęśliwy w miłości lub na dworze?

Sl. Owszem, nawet bardzo bogaty i sędzę, że wszyscy go szanowali; o miłość nie dbał, a na dworze miał wielkie łaski.

Pr. Skądże więc ta rozpacz?

Sl. Z obrzydzenia życia, jak tłumaczy na piśmie.

Pr. A ci sędziowie co robią?

Sl. Badają, czy pan mój miał pomieszanie zmysłów czy nie, bo jeżeli nie miał, majątek jego przypadnie prawem skarbowi publicznemu i oczywiście nie może się stać inaczej.

Pr. Ale powiedz mi, czy nie miał krewnego lub przyjaciela, któremu mógł być powierzyć te dzieci, miast je zabijać?

Sl. Miał i owszem, a między niemi jednego, z którym się bardzo poufalił i któremu powierzył swego psa.

Momus winał Prometeuszowi pięknych skutków cywilizacji i zadowolenia, jakie nam z życia wypływać powinno; chciał także przypomnieć mu, że żadne stworzenie prócz człowieka nie zabija się dobrowolnie, ni rozpaczą wiedzione nie pozbawia życia swych dzieci; lecz Prometeusz go uprzedził i nie chcąc już widzieć dwu pozostałych części świata, zapłacił przegrany zakład.

8. Rozmowa Przyrodnika z Filozofem.

Przyrodnik. Eureka, Eureka!

Filozof. Cóż tam, cóż znalazłeś?

Prz. Sposób długiego życia.

Fil. A ta książka?...

Prz. W niej go objaśniam, a w skutek tego wynalazku, gdy

inni żyją czas długi, ja będę żył przynajmniej wiecznie, chcę rzec, że zeń zyskam chwałę nieśmiertelną.

Fil. Uczyń, jako ci powiem: Poszukaj ołowianej skrzynki, zamknij w niej tę książkę i zakop, a nim umrzesz, pamiętaj naznaczyć miejsce, aby można odkopać ją, skoro się odkryje sztukę szczęśliwego życia.

Prz. A inaczej?...

Fil. Inaczej nie zda się na nic. Cenilibym ją wyżej, gdyby nieżyła sztuki krótkiego życia.

Prz. Ta znana już jest potrosze i nie trudno było ją odkryć.

Fil. W każdym razie cenię ją wyżej niż twoje.

Prz. Dlaczego?

Fil. Bo jeśli życie nie jest szczęśliwe, jak się to dotąd dzieje, lepiej jest mieć je krótkim niż długim.

Prz. Co to, to nie, bo życie jest dobre samo przez się i każdy pożąda go siłą natury.

Fil. Tak sądzą ludzie, ale myślą się, podobnie jak prostak się myśli, sądząc, że kolory są częścią ciał, podczas gdy one nie są objawami ciał, ale światła. Powiadam, że człowiek nie pożąda i nie kocha nic prócz własnej szczęśliwości, kocha zatem życie tylko o tyle, o ile uważa je za narzędzie i podstawę tej szczęśliwości. Tak, że właściwie rozmiłowuje się w drugiej nie w pierwszym, choć zwykle pierwszemu przypisuje tę miłość, którą czuje dla drugiej. Prawda, że ten błąd i ów dotyczący kolorów, są oba wrodzone. Ale że miłość życia ludziom nie jest wrodzona, albo—chciejmy rzec — nie jest konieczna, wnioskuje stąd, że w starożytności wielu wybierało śmierć, mogąc mieć życie, w naszych zaś czasach bardzo wielu pragnie śmierci w licznych wypadkach; niektórzy nawet zabijają się własną ręką. Co nie mogłoby się dziać, gdyby miłość życia sama przez się była człowiekowi wrodzona. Lecz że wrodzona jest każdemu stworzeniu miłość własnej szczęśliwości, prędzej runie świat, nim które przestanie kochać ją i zdobywać swoim sposobem. Lźby życie miało być dobre samo przez się, czekam, abys mię przekonał dowodami fizycznymi jakiegokolwiek umiejętności. Dla mnie — przyznaję — życie szczęśliwe będzie bezwątpienia dobre, ale jako szczęśliwe, nie jako życie. Życie nieszczęśliwe, o ile jest nieszczęśliwe, o tyle jest złe; a przyznawszy, że natura, przynajmniej ludzka, wymaga ściślejszej spójni życia z niedolą, pomyśl sam, jaki stąd wywodzi się wniosek.

Prz. Daj pokój, jeśli laska, przedmiotowi, nadto drażliwemu, a bez tych subtelności odpowiedz mi szczerze: Gdyby człowiek żył, lub mógł żyć wiecznie—rozumiem nie umierając, nie zaś po śmierci—sądziś-li, że byłby zadowolony?

Fil. Na przypuszczenie bajeczne odpowiem ci niektórymi bajkami, témbardziej, że nie dożywszy wieczności, nie mogę mówić z doświadczenia; nie rozmawiałem też z nikim nieśmiertelnym, a po-za bajkami o podobnych osobistościach mowy niema. Gdyby tu był obecny Cagliostro, mógłby cię cokolwiek oświecić, przeżył bowiem kilka wieków; choć, ponieważ umarł jak drudzzy, nie zdaje się być nieśmiertelny. Wiedz zatem, że mędrzec Chiron, który był bogiem, uprzykrzył sobie życie; wziął więc od Jowisza pozwolenie pozbycia się go i umarł. Toż pomyśl: jeśli nieśmiertelność bogom znudzić się zdoła, cóż doiero ludziom! Hiperboreowie, lud nieznan, lecz sławny, w kraju, dokąd nie można dotrzeć ani lądem, ani wodą, bogaty we wszystkie dobra, a zwłaszcza w przeszliczne osły, z których zwykł czynić hekatombę, zdolny, jeśli się nie mylę, żyć nieśmiertelnie, nie zna bowiem ni chorób, ni plag wojny, ni niezgody, ni ubóstwa, ni zbrodni, ni występków, mimo to wszystko wybiera śmierć, bo oto na skłonie mniej więcej tysiąca lat, wszyscy oni, syci ziemi, skaczą z pewnej skały w morze i topią się. Dołączam tu inną bajkę: Bitona i Kleobisa, dwu braci, kiedy w dniu świątecznym, w braku mułów, zaprzęgli się do wozu i zawieźli do świątyni matkę swą, kapłankę Junony, i kiedy ona błagała boginią, by synowską miłość największemu odplaciła dobrem, jakie ludziom może przypaść w udziale, Juno miast uczynić nieśmiertelnemi, jak to uczynić była mogła, i jak w innych wypadkach czynić była zwykła, sprawiła, że obaj lekko i słodko pomarli w téjże godzinie. Podobnie stało się Agamedesowi i Trofoniuszowi. Ukończywszy budowę świątyni delickiej, wnieśli prośbę do Apollina, by im zapłacił; który odpowiedział, że zaspokoї ich żądanie w przeciągu dni siedmiu; cieszyli się też, że z pełnego udzieli im Bóg dóbr wszelakich. Siódmój nocy zesłał na nich słodki sen, z którego dotąd nie przebudzili się, a otrzymawszy tę, nie żądali innej zapłaty. Gdy już weszliśmy między bajki, posłuchaj jeszcze jednej, przyczemżadam ci pytanie. Ty i podobni tobie są dziś przekonani, że życie ludzkie w każdym kraju pod jakimkolwiek niebem trwa z natury swój, wyjąwszy nieznaczne różnice, równie długo, biorąc dla każdej rasy cyfrę przeciętną. A oto jeden poeziewicz w starożytności opowiada, że ludy niektórych części Indyj i Etyopii nie przechodzą wiekiem po-za rok 40. Kto umiera w tych latach, umiera starcem, a dziewczęta siedmioletnie są dojrzałe do małżeństwa. Ostatni szczegół wiemy, że prawie zupełnie sprawdza się w Gwinei, Dekanie i innych okolicach podzwrotnikowych. Tak więc przyjąwszy za prawdę, że istnieje jeden lub więcej narodów, którego osobniki zwyczajnie dosięgają ledwo 40 lat życia, a to z natury

swój nie zaś jak powiadano o Hottentotach—z innój przyczyny,—pytam, czy ze względu na to są te ludy zdaniem twojem nędzniejsze, czy szczęśliwsze, niż inne?

Prz. Nędzniejsze bezwątpienia, skoro dochodzą prędkiej śmierci.

Fil. Ja sędzę, że przeciwnie, właśnie z tój samój przyczyny. Ale nie w tém zawilość. Uważaj tylko nieco. Przeczyłem, aby samo życie, to jest oderwane uczucie bytu, było rzeczą lubą i pożądaną samo przez się. Za to wrodzona jest ludziom miłość i pożądanie tego, co z większą słusnością nosi imię życia, to jest wrażeń silnych i mnogich; bowiem każdy stan czynny lub uczucie żywe i silne, choćby nie były dotkliwe i bolesne, przez samą siłę i żywość stają się przyjemne, mimo że braknie im innych przymiotów miłych. Teraz-że: w rasie tych ludzi, których życie zużywa się przyrodzonym sposobem w przeciągu lat 40, to jest w połowie czasu przeznaczonogo od natury innym ludziom—owo życie w każdym swym momencie winno być dwa razy żywsze niż nasze, bo gdy trzeba im rość i dojrzewać, a podobnie zanikać i ginąć w połowie czasu, funkcyje życiowe, stosownie do owęj szybkości, muszą w każdej chwili mieć w porównaniu z innymi podwójną siłę, a nawet czynności woli, zwinność i ruchliwość członków, muszą u nich odpowiadać owęj większej energii. Tak, że w mniejszój ilości czasu, muszą posiadać ten sam, co my, zasób życia. Ten zaś dzieląc się między mniejszą liczbę lat, winien wystarczyć do wypełnienia ich, nie zostawiając chyba małe luki, podczas gdy nie stanie go na przeciąg czasu podwójny; — toż czynności i uczucia ich, jako silniejsze i ściśnione w czuplejszym zakresie, muszą wystarczyć niejako do zajęcia i ożywienia wszystkiego ich wieku, podczas gdy w naszym, o wiele dłuższym, otwierają się liczne i obszerne luki, nie wypełnione ruchem, ni uczuciem. A że nie oderwany byt, jeno byt szczęśliwy, jest przedmiotem pożądania, dola zaś lub niedola człowieka nie mierzy się liczbą dni, wnioskuje, że życie ludów, będąc o ile krótsze, o tyle mniej ubogie w rozkosze lub w to, co przez nie rozumiemy, musi być cenniejsze niż nasze, a nawet niż życie królów Assyryi, Egiptu, Chin, Indyj i innych krajów, którzy żyli, jeśli wierzyć bajkom — lat tysiące. Dlatego nietylko nie dbam o nieśmiertelność, pozostawiając ją rybom, którym ją przydziela Leeuwenhock, o ile nie zjedzą ich ludzie lub haje, ale miast opóźniać lub przerywać wegietacją swą dla przedłużenia życia, jak zaleca Maupertuis, wolałbym, byśmy je umieli przyśpieszyć w ten sposób, aby zeszczupliło się do miary życia niektórych owadów zwanych efemerydami, między którymi, jak powiadają, najstarsze nie przechodzą wieku jednego dnia, mimo to umierając pra i pra-pradziadkami. W tym

wypadku, jak sądzę, nie stałoby miejsca na nudę. Cóż myślisz o tém dowodzeniu?

Prz. Myślę, że mię nie przekonywa, i że jeśli ty kochasz metafizykę, ja czepiam się przyrody; chcę rzec, że jeżeli ty uważasz szczegóły, ja patrzę na całość i nią się zadowolnam. Więc nie kładąc ręki na mikroskopie, sądzę, że życie piękniejsze jest od śmierci a widząc oboje okryte, owemu jabłko oddaję.

Fil. Tak sądzę i ja; lecz kiedy przychodzi mi na myśl obyczaj barbarzyńców, co to każdego nieszczęsnego dnia rzucali do sajdaku gałkę czarną a każdego szczęśliwego gałkę białą, myślę sobie, jak mało zapewne białych znajdował każdy przy śmierci a przeciwnie, jak wiele czarnych. I pragnąłbym znać naprzód gałki wszystkich dni, które mi pozostają, a wybierając, móż wyrzucić wszystkie czarne i usunąć je z mego życia, zachowując jedynie białe; choć wiem, że nie uczyniłyby wielkiego stosu, a ich białość byłaby zmacona.

Prz. Bardzo wielu przeciwnie, choćby wszystkie gałki były czarne i to bardzo czarne, pragnęłoby jeszcze dorzucić choćby tej samej barwy, w przekonaniu, że żadna gałka nie będzie tak czarna jak ostatnia. A tacy, do których i ja się liczę, będą mogli istotnie dorzucić wiele gałek do swego życia, używając sztuki przedstawionej w tej mojej książce.

Fil. Każdy myśli i działa jak umie, więc i śmierć nie przestanie działać swoim sposobem. Lecz jeśli chcesz przedłużając życie pomódz ludziom istotnie, znajdź sposób pomnażania i potęgownia uczuć i czynności. Tak pomnożysz właściwie życie ludzi, a wypełniając te nieszczęsne odstępy czasu, w których byt nasz jest raczej trwaniem niż życiem, będziesz mógł chępcie się, żeś je przedłużył. A to nie szukając niemożebności, nie gwałcąc natury, lecz wtórując jej. Nie zdaje-ż ci się, że starożytni żyli dłużej niż my, przypuściwszy nawet, że z powodu groźnych i ustawicznych niebezpieczeństw, na które byli ciągle narażeni, umierali wcześniej? I uczynisz wielkie dobrodziejstwo ludziom, których życie było zawsze o tyle — nie powiem — szczęśliwsze, ale o tyle mniej nieszczęśliwe, o ile silniej wstrząsane, o ile skrzętniej zajęte, a wolne bólu i niewygód. Lecz gdy jest ogarnione spoczynkiem i nudą i jakoby rzec próżne, usprawiedliwia to zdanie Pirrona, że nie ma między życiem u śmiercią różnicy. W co gdybym wierzył, życiegam ci, że śmierć przestraszałaby mię niemało. Ostatecznie, życie powinno być żywe, to jest być prawdziwem życiem; inaczej śmierć przewyższa je nieskończenie.

9. Rozmowa Torkwata Tassa z gieniuszem rodzinnym.

Gieniusz. Jak się masz, Torkwato?

Tasso. Ot, jak się można mieć w więzieniu, grzęznąc w niedoli po szyję.

Gien. Daj pokój; po obiedzie płakać szkodzi. Nabierz otuchy i cieszymy się razem.

T. Nie mam chęci. Ale twoja obecność i rozmowa zawsze mię pociesza. Usiądź tu przy mnie.

Gien. Usieść... ba! niełatwa to rzecz dla ducha. Lecz oto, niech ci się zdaje, że siedzę.

T. Och, gdybym mógł ujrzeć znów moję Leonorę. Ile razy ją wspomnę, porywa mię drżenie rozkoszne, idące od wierzchołka głowy do końca stóp i nie ma we mnie nerwu ni żyły, które-by nie były wstrząśnione. Niekiedy gdy marzę o niej, z martwych w duszy mi stają pewne obrazy i uczucia, tak, że zda mi się na chwilę, iż jestem tym samym Torkwatem, którym byłem, nim poznałem nieszcześcia i ludzi, a którego tyle już razy oplakałem, jako umarłego. Zaprawdę, rzekłbym, że doświadczenia cierpień pogłębiają i pognębiają w każdym z nas pierwotnego człowieka, który od czasu do czasu wynurza się, ale tém rzadziej, im dalej postępujemy w latach; zawsze potem zapada we wnętrze naszego jestestwa i krzepnie w większą niż przedtém martwość, tak, że choć życie trwa jeszcze, on już umiera. Nakoniec dziwię się, jak myśl o kobiecie może posiadać tyle mocy, iż mi odświeża—że tak powiem—duszę i pozwala zapomnieć o tylu cierpieniach. I gdyby nie to, że już straciłem nadzieję oglądania jęj, skory byłbym do wierzenia, że możebności lepszej doli nie stracił.

Gien. Co wydaje ci się słodsze: widzieć ukochaną kobietę czy myśleć o niej?

T. Nie wiem; to pewna, że kiedy była przy mnie, zdała mi się kobietą, oddalona przybierała postać bogini.

Gien. Te boginie są tak łaskawe, że skoro ktoś się zbliży, odrazu zdejmują z siebie boskość, strząsają promienie i chowają do kieszeni, aby nie olśnić śmiertelnika, który się przybliżył.

T. Mówisz zbyt prawdziwą prawdę. Ale nie wydajeż-ci się to wielką wadą w kobiecie, że po bliższym poznaniu przedstawia się czemś odmienném, niżej sobie wyobrażał?

Gien. Nie wiem, jaka w tém wada, że są uczynione z ciała i krwi, nie z ambrozji i nektaru! Czy jest co na świecie, eoby

choć w tysiącznej części obdarzone było tą doskonałością, jaką widzicie w kobietach! I to jeszcze jest mi nie jasne, dlaczego nie dziwić się, że ludzie są ludźmi, to jest istotami nagannymi i niezbyt lubemi, nie potraficie pojąć, czém się dzieje, że kobiety postępками swemi nie zdradzają anielskości.

T. Z tém wszystkiém umieram z tęsknoty oglądania jój i mówienia z nią.

Gien. Dobrze, téj nocy we śnie przywiode ją przed ciebie, piękną jak młodość, a tak uprzejmą, że zaczniesz gwarzyć z nią śmielej i gładziej, niż dawniej umiałeś; nakoniec nawet ściśniesz ją za rękę, a ona wpatrzywszy się w ciebie, przeleje ci w duszę taką słodycz, że cię przemoże i całe rano, ile razy sen ten przypomnisz, tłuc się w tobie będzie serce pełne błogości.

T. Wielka pociecha — miast rzeczywistości, sen.

Gien. Co jest prawda?

T. Piłat nie wiedział o niej więcej niż ja.

Gien. Dobrze, odpowiem za ciebie. Wiédz, że między rzeczywistością a marzeniem niéma innéj różnicy, jak, że ostatnie może być niekiedy piękne i słodkie, podczas gdy tamta nigdy być taką nie może.

T. Tyleż więc warta rozkosz wymarzona, co rzeczywista.

Gien. Tak sądzę; znam nawet kogoś, co, gdy mu ukochana kobieta we śnie się ukaże, cały dzień następny unika widzenia i spotkania jój, wiedząc, że nie mogłaby wytrzymać porównania z obrazem w duszy odbitym i że rzeczywistość ściierając ten wymarzony portret, pozbawiłaby go nadzwyczajnej i błyszczącej zeń rozkoszy. Dlatego nie można ganić starożytnych, pilniejszych niż wy i bardziej wynalazczych w wyszukiwaniu wszelkich naturze ludzkiej przystępnych uciech, że zwykli byli różnemi sposoby stwarzać sobie słodycz i lubość snów, ani z Pitagorasa szydzić nie należy, że zabronił pożywania roślin strączkowych, jako szkodzących ich spokojności wzburzaniem właściwém ich naturze i należy też pobłażyć zabobnym, iż, nim się spać pokładli, zwykli byli modlić się i czynić libacje Merkuremu, władcy snów, by zesłał na nich jeno przyjemne; ku któremu celowi umieszczali wizerunek jego w stopach łoża. Bo nie znalazłszy szczęśliwości na jawie, szukali jój i sądzę, że poniekąd znajdowali we śnie, gdyż Merkury podawał im łaskawsze ucho niż inni bogowie.

T. A zatém, ponieważ ludzie rodzą się i żyją li tylko dla rozkoszy cielesnej lub duchowej, i ponieważ największej rozkoszy dostępuje się we śnie, należałoby celem życia naznaczyć spanie, na co przecież zgodzić się nie mogę.

Gien. Naznaczyłeś już i zgodziłeś się, kiedy żyjesz i przystajesz na życie. Co jest rozkosz?

T. Nie doświadczyłem jęj dosyć, bym mógł pojąć jęj istotę.

Gien. Nikt nie zna jęj z doświadczenia tylko z domysłu, bo rozkosz jest rzeczą spekulacyi nie rzeczywistości, pragnieniem nie czynem; uczuciem, które człowiek poczyna w sobie z myślą a nie doświadcza. Słowem jest to raczej pojęcie niż uczucie. Nie przypominacież sobie, że śród rozkoszy choćby nieskończenie pożądanęj a zdobytej trudem i mazurem niewypowiedzianym, nie mogąc się zadowolnić przyjemnością doświadczaną w każdym z jęj momentów, czekacie zawsze większej i rzetelniejszej uciechy, na której polega ta lub owa rozkosz, i niejako odnosicie się ciągle do jęj przyszłych stadyów? A ona kończy się zawsze, nie dosięgłszy chwili, coby was zadowolila i nie pozostawia nic prócz nadziei lepszej i prawdziwszej uciechy w innym wypadku, oraz ulgi kłamania i udawania przed samym sobą, iżęście jęj użyli; o częm nawet opowiadać będziecie drugim nie przez samochwalstwo, ale by tęm łatwiej złudzić samych siebie. Więć jeśli ktoś znosi życie, czyni to nie dla innego celu i korzyści, jak, aby śnić, to jest ufać w rozkosz przyszłą albo wierzyć w minioną;—oba wypadki marne i urojone.

T. Nigdyż ludzie znać nie mają, co jest rozkosz obecna?

Gien. Gdyby mogli w nią uwierzyć, doznawaliby rozkoszy w istocie. Ale powiedz mi, czy przypominasz sobie, abyś kiedykolwiek w życiu wyrzekł z całą szczerością i przekonaniem: czuję rozkosz. Za to zawsze mówiłeś i mówisz szczerze: doznam rozkoszy, a czasem z mniejszą już szczerością: doznałem rozkoszy; tak, że rozkosz jest zawsze miniona lub przygasła, a nigdy obecna.

T. Co znaczy, zawsze żadna.

Gien. Tak się zdaje.

T. Nawet w marzeniach.

Gien. Właściwie mówiąc, — tak.

T. A przecież przedmiotem i celem naszego życia nietylko głównym ale jedynym jest sama uciecha, rozumiejąc przez nią szczęśliwość, która winna być w istocie uciechą, z czegokolwiek ma wynikać.

Gien. Bez wątpienia.

T. Stąd życie nasze mijając się z swym celem jest zawsze niedoskonałe, przez co zamienia się w stan okrutny.

Gien. Być może.

T. Nie widzę może. A więc, czemuż żyjemy, chęć rzec, czemu cierpimy życie?

Gien. Cóż o tém wszystkiém ja wiedzieć mogę? Wy to lepij rozumiecie, którzy jesteście ludźmi.

T. Co do mnie, przysięgam ci, że nie rozumiem.

Gien. Spytaj mędrszych, a może znajdziesz kogo, co ci tę wątpliwość rozjaśni.

T. Tak uczynię. Ale doprawdy, to życie, które wiodę, jest stanem okrutnym, bo zostawiwszy nawet na boku cierpienia — sama nuda cię zabija.

Gien. Co jest nuda?

T. Tu nie brak mi doświadczenia, bym ci odpowiedział. Zdaje mi się, że nuda ma własność powietrza, które wypełnia wszystkie przestrzenie niewypełnione materją i wszystkie zawarte w niej próżnie; a skoro jedno ciało się wyruszy a drugie go nie zastąpi, natychmiast tam się wdziera. Podobnie wszystkie przestanki ludzkiego życia między uciechą a cierpieniem są zajęte nudą. A jak w świecie materialnym — według Perypatetyków — natura nie cierpi próżni, podobnie niema próżni w życiu naszym, chyba myśl z jakiegokolwiek przyczyny działać przestanie. Przez resztę czasu duch, uważany nawet sam w sobie, w rozłączeniu od ciała oprowadzany jest zawsze jakimś uczuciem, gdyż nawet próżen uciechy i bólu staje się pełny nudy, co jest nie inaczej jak rozkosz — uczuciem.

Gien. A że wszystkie wasze uciechy są podobne do pajęczyny: wątłe, rzadkie, przejrzyste, więc jak w onej powietrze, tak, tu nuda przeziera i wypełnia wszystkie luki. Istotnie, nie wiem, czy przez nudę należy rozumieć co innego, jak czyste pożądanie szczęśliwości, niezadowolone rozkoszą, a nieobrażone jawnie bólem. Które pożądanie, jak co tylko powiedziałem, nie może nigdy być zaspokojone, rozkosz zaś właściwie nie istnieje. Tak więc życie ludzkie, rzec można, jest przeplecione i złożone częścią z bólu częścią z nudy i nie zazna spoczynku przed jednem uczuciem, chyba wpadając w drugie. A nie jest to twoje jedynie przeznaczenie, ale wspólne wszystkim.

T. Jakież lekarstwo mogłoby pomódz na nudę?

Gien. Sen, opium i ból; ostatnie najsilniejsze, bo człowiek cierpiąc, w żaden sposób się nie nudzi.

T. Miast tego lekarstwa zażyć, wolę nudzić się całe życie. Nie mniej jednak różność czynności, zajęć i uczuć choć nie uwalnia od nudy i dlatego nie dostarcza prawdziwej uciechy, przecież czyni ulgę i rozwesela. Stąd w tém więzieniu oddzielony od towarzystwa ludzkiego, gdy niewolno mi nawet pisać, gdy zmuszony jestem dla rozrywki liczyć uderzenia zegaru, robić przegląd szpar, sęków i dziur w podłodze, bawić się z ćmami i komarami, latają-

cemi po izbie; wszystkie godziny jednym zużywać sposobem, nie posiadam nic, coby mię choć w części oswobodziło od męczarni nudy.

Gien. Powiedz, od jak dawna skazany jesteś na takie życie?

T. Od kilku tygodni — wiesz przecież.

Gien. Czy nie zauważyłeś między pierwszym dniem a dzisiaj pewnej odmiany w tém zniechęceniu, co cię dręczy?

T. Zapewne, że z początku więcej cierpiałem; zwolna bowiem umysł nie zajęty niczem i nie roztargniony nabrał zwyczaju rozmawiania sam z sobą częściej i chętniej niż przedtém i wpadł w przyzwyczajenie i łatwość gawędzenia z samym z sobą i prowadzenia dysputy, tak, iż czasem zdaje mi się, jakobym miał w głowach łoża towarzystwo osób rozprawiających; a najmniejszy przedmiot, który się méj myśli nasunie, wystarcza do wywołania między mną a mną wielkiego dyalogu.

Gien. To przyzwyczajenie — jak obaczysz — utwali się i wzrośnie potrosze tak, że kiedy wróca ci wolność obcowania z ludźmi, będziesz się czuł beczynnieszy w ich towarzystwie niż w samotności. A ta druga natura nabyta przez podobne prowadzenie życia nie sądz, aby możliwa była jedynie w takich jak ty, przyzwyczajonych już do rozmyślenia; nabędzie jęj ktokolwiek bądź, w krótszym lub dłuższym czasie. Co więcej rozdział z ludźmi i żeby tak rzec, z samém życiem niesie z sobą ten użytek, że człowiek przesycony, rozczarowany, rozżalony sprawami świata potrosze przyzwyczajają się nanowo patrzeć na nie zdaleka, skąd wydają się piękniejszymi i zacniejszemi; zapomina o ich marności i lichocie; zaczyna kształtować i niejako tworzyć świat na swój sposób; cenić, kochać i pożądać życia, którego nadziejami, jeżeli nie odebrano mu możności lub ufności w odzyskanie miejsca śród ludzi, krzepi się i raduje jak w latach dzieciństwa. Samotność zatem wypełnia niejako zadanie młodości; a bez wątpienia odmładza przynajmniej ducha, zasila i wprawia w ruch wyobraźnię i odnawia w człowieku doświadczonym błogosławieństwa tego pierwszego niedoświadczenia, do którego wzdychasz. Zostawiam cię samego, widząc, że cię senność ogarnia, i idę przygotować piękny sen, jak przyrzekłem. Tak między snem a marzeniem strawisz życie, bez innego zysku, jak, że je strawisz; oto jedyny owoc, jaki z niego ma świat, i jedyny cel, który winniście mieć przed oczyma codziennie budząc się. Najczęściej trzeba będzie ciągać go zębami, błogi ten dzień, kiedy będziecie mogli dobyć go rękoma i jako brzemię swe nosić na grzbiecie. Ostatecznie twój czas nie wolniej bieży w tém więzieniu niż w komnatach i ogrodach temu, co cię niszcza. Bądź zdrow.

T. Bądź zdrow... lecz słuchaj. Twoja rozmowa pociechą mi

jest ogromną. Nie tyle, że czyni przerwę w mym smutku, gdyż ten prawie ustawicznie jest czarny jak noc bez gwiazd i księżyca; przecież, gdy jesteś przy mnie, podobny jest zmierzchowi wieczoru, co jest raczej przyjemny niż przykry. Dlatego gdy potrzeba mi będzie przywołać cię lub znaleźć, powiedz, gdzie cię mam szukać?

Gien. Nie dowiedziałeś się jeszcze? W każdym szlachetnym napoju.

10. Rozmowa Natury z Islandczykiem.

Pewien Islandczyk, który objechał większą część ziemi i przebywał w różnych krajach, podróżował raz przez wnętrze Afryki a przekraczając linią równonocną w miejscu nieodwiedzanym przez człowieka, doświadczył wypadku, jakiego miał niegdyś doznać Vasco de Gama, gdy objeżdżał przylądek Dobrej Nadziei, to jest, że tenże przylądek od strony morza Australskiego zatamował mu przejście w postaci olbrzyma, nie chcąc dopuścić zwiedzenia wód nowych. Otóż ujrzał zdaleka figurę ogromną, którą zrazu wziął za skałę, na podobieństwo kolosalnych Hermów, które oglądał przed wieloma laty na wyspie Pasqua. Ale przybliżywszy się poznał, że była to postać olbrzymiej kobiety siedzącej na ziemi w postawie wzniesionej, opartej plecyma i ramieniem o skałę, a nie udanej lecz żywej, twarzy na pół pięknej, na pół strasznej, czarnych oczu i włosów; ta spojrzała nań bacznie a patrząc tak przez chwilę w milczeniu, nakoniec ozwała się:

Natura. Kto jesteś i czego żądasz w tych miejscach, gdzie plemię twe było nieznanę?

Islandczyk. Jestem biedny Islandczyk, który uciekam przed Naturą; a chroniąc się przed nią całe życie w różnych częściach ziemi, przybywam schronić się aż tutaj.

Nat. Tak ucieka wiewiórka przed grzechotnikiem, aż mu sama wpadnie w paszczę. Ja jestem ta, przed którą się chronisz.

Isl. Natura?

Nat. Nie inaczej.

Isl. Przykro mi serdecznie, i przekonany jestem, że nie mogło mi się większe wydarzyć nieszczęście.

Nat. Mogłeś przecie domyślić się, że muszę szczególnieź nawiedzać te strony, kiedy tu jak wiesz objawia się widocznieź niż gdzieindziej moja potęga. Lecz co zmusza cię do uciekania przede mną?

Isl. Wiedz, że od pierwszej młodości, mało jeszcze doświadczony, już przekonany byłem o marności życia i głupocie ludzi, co walcząc ustawicznie jedni przeciw drugim dla zdobycia uciech, których nie zażywają i dóbr, z których nie korzystają; znosząc i ściągając na siebie na przemiany niezliczone przykrości i niezliczone plagi, które w istocie nużą ich i niszczą, tém dalej odsuwają się w szczęśliwości, im dłużej jęj szukają. Z tych względów, stłumiwszy w sobie wszystkie zachcenia, postanowiłem nie wyrządzać krzywdy nikomu, nie starając się żadnym sposobem o polepszenie bytu ani spółubiegają się o dobra świata, żyć życiem zamkniętém, spokojném; a zwątpiwszy o rozkoszy jako naszemu rodzajowi wzbronionęj, nie przedsięwziąłem innęj pracy, jak tylko powstrzymanie od siebie boleści. Nie chcę tém rzec, że pragnąłem uwolnić się od zajęć i trudów cielesnych, gdyż wiesz dobrze, jak bardzo oddalony jest trud od bólu, a życie spokojne od bezczynnego. I już zaraz z początku wprowadzając w czyn to postanowienie, doświadczyłem, jak próżną jest, póki ty żyjesz między ludźmi, myśl uniknienia obrazy, choć się jęj nie wywołuje i zdobycie sobie spokojnego, nie napastowanego kąta, choć się każdemu dobrowolnie ustępuje i najmniejszą zadowolnia fortuną. Ale od dokuczliwości ludzkiej uwolniłem się łatwo, porzucając ich obcowanie i cofając się w samotność, którą na mojęj rodzinnej wyspie bez trudu znaleźć można. Uczyniwszy to i żyjąc prawie w nieświadomości, co jest rozkosz, nie mogłem przecież wieść życia bez cierpień, bo długość zimy, twardość mrozu, nadwyzwyczajny upał lata, owym okolicom przyrodzone, dokuczały mi bez ustanku, a ogień, przy którym trzeba było przepędzać przeważną część roku, suszył mi ciało i wygryzał oczy dymem, tak, że ani w domu, ani pod otwartém niebem nie mogłem się uchować ustawicznęj męki. Nie mogłem nawet utrzymać się w tęj spokojności, do której pierwotnie zdążyłem, bo straszne burze morskie i lądowe, ryk i groźby góry Hekli, obawa pożarów pospolitych w mieszkaniach takich jak nasze, zbudowanych z drzewa, nie przestawały nigdy niepokoić mię. Te wszystkie niewygody życia wiecznie jednostajnego, odartego z wszystkich pożądań i życzeń a nawet wszystkich trosk prócz troski o spokój, stają się bardzo przykre i przykrzejsze, niż kiedy władze naszego umysłu są skierowane ku zadaniom życia społecznego i obronie przed napaścią ludzi. Widząc więc, że im bardziej wstrzymywałem się i jakoby skupiałem w sobie, aby nie pozwolić jestestwu memu działać na krzywdę lub szkodę czyjęs w świecie, tém mniej mogłem się uchronić innych niepokojów, zacząłem zmieniać miejsca i klimaty, pragnąc przekonać się, czy w jakięjs części ziemi można nieobrażając — być nieobrażanym, a nie doznając

rozkoszy, przynajmniej nie cierpieć. A do tego postanowienia skłonił mię jeszcze jeden domysł, że może ty przeznaczyłaś rodzajowi ludzkiemu jeden tylko klimat ziemi (jak to uczyniłaś z innymi gatunkami zwierząt i roślin) i pewne tylko miejsca, po za którymi nie mogą żyć i rozwijać się bez trudów i nędzy, czemu winna-ś nie ty, lecz oni jedynie, skoro wzgardzili i przekroczyli granice przeznaczone im twemi prawami na mieszkanie. Cały prawie świat zwiedziłem, zbadałem wszystkie prawie kraje, zawsze wierny swemu postanowieniu: nie czynienia ile możności krzywdy innym istotom żyjącym i zapewnienia sobie jedynie spokojności życia. Ale w krajach tropikowych prażyło mię gorąco; pod biegunami ścinał mróz, w strefie umiarkowanej dokuczala mi niestałość pogody, a gwałty żywiołów groziły na każdym miejscu. Widziałem wiele okolic, gdzie jeden dzień nie przeminie bez burzy, to znaczy, że każdego dnia wypadasz i wytaczasz formalną bitwę tamtejszym mieszkańcom, żadnej przeciw tobie krzywdy nie winnym. W innych miejscach zwyczajna pogoda nieba zrównoważona jest częstymi trzęsieniami ziemi, mnogością i wściekłością wulkanów, wrzeniem podziemnym całego kraju. Gwałtowne wichry i orkany panują w stronach wolnych od innego rodzaju zawichrzeń powietrznych. Raz mi trzasnął dach nad głową pod wielkim ciężarem śniegu, innym razem w skutek obfitości deszczu ziemia pękając usuwała mi się z pod nóg. Kilka razy musiałem uciekać pędem przed rzekami goniącemi mię, jak gdybym dopuścił się względem nich jakiegóś krzywdy. Stada dzikich bestyj, choć ich nie podrażniłem żadną obrazą, chciały mię pożreć, węże zatruć; gdzieindziej niewiele brakowało, iż mię latające w powietrzu owady nie pogryzły aż do kości. Nie mówię już o niebezpieczeństwach dybiących codziennie na człowieka, a tak niezliczonej mocy, że pewien starożytny filozof nie znajdował przeciw strachowi skuteczniejszego lekarstwa nad przekonanie, iż każdej rzeczy trzeba się obawiać. I choroby nie przepuściły mi, mimo że zawsze byłem, jak i dziś jestem, — nie tylko umiarkowany ale powściągliwy w uciechach zmysłowych. Nie mało mię to zadziwia, że wpoilaś nam tak silną i nienasyconą żądzę rozkoszy, od których odłączone nasze życie, jako pozbawione naturalnego celu swych pożądań, byłoby niedoskonałe, a z drugiej strony postanowiłaś, że używanie tych rozkoszy staje się ze wszystkich spraw ludzkich najszkodliwsze siłom cielesnym i zdrowiu, najopłakaniejsze w skutkach i najprzeciwiejsze trwałości tegoż życia. Jakkolwiekbyś, wstrzymując się prawie zawsze i zupełnie od wszelkiej rozkoszy, nie mogłem uniknąć wielu i różnych chorób, z których jedne zawiesiły nade mną niebezpieczeństwo śmierci, inne groziły utratą któregoś z członków i popadnięciem

w większą niż przedtém nędzę złamanego życia; a wszystkie przez wiele dni i miesięcy uciskały mi ciało i duszę tysiącem trosk i boleści. A rzecz pewna, że choć każdy z nas doświadcza w czasie choroby bólów nieznanych dotąd i obcych, oraz niedoli większej niż zazwyczaj (jak gdyby życie ludzkie nie było dostatecznie nędzne z porządku rzeczy), nie dałaś ty nigdy człowiekowi w zamian za to ni jednej chwili zdrowia nadmiar bujnego i niezwykłego, któreby przez swój rozkwit i siłę stało się mu przyczyną niedoznaczonych jeszcze rozkoszy. W krajach pokrytych ustawicznie śniegiem dotknięty byłem ślepotą, jak się to zdarza Lapończykom w ich ojczyźnie. Słońce i powietrze, podstawy wszego życia wogóle a naszego wszczególności, gdy przed nimi uciec nie możemy, dokuczają nam ustawicznie, jedno wilgocią, ostrością i innymi własnościami; drugie gorącem i światłem samym, tak, że człowiek nie może nigdy bez narażenia się na większy lub mniejszy szwank dotrwać jednemu lub drugiemu. Ostatecznie, nie pomnę dnia w życiu, którybym spędził bez żadnego bólu; a nie zaliczam do nich dni przeżytych nawet bez cienia przyjemności; spostrzegam więc, że tak nam jest przeznaczone i konieczne cierpieć jak nie doznawać rozkoszy; tak niepodobne żadną miarą życie spokojne jak niespokojne bez niedoli, i skłaniam się do wniosku, że jesteś otwartą nieprzyjaciółką ludzi, zwierząt i wszystkich dzieł własnych, bo raz na nie dybiesz, raz grozisz, raz napadasz, kaleczysz, przebijasz, rozszarpujesz, a zawsze nas ścigasz lub krzywdzisz; że czy ze zwyczaju, czy z konieczności ustalonych praw, jesteś katową własnego rodu, własnych dzieci, i żeby tak rzec, własnej krwi i wnętrzości. Niéma więc dla mnie nadziei; gdyż zrozumiałem, że podczas gdy ludzie przestają prześladować nas, kto przed nimi ucieka lub chroni się z szczerym zamiarem ucieczki; ty bez żadnego powodu nie przestajesz prześladować nas, aż zgneźbisz. A oto widzę się blizkim gorzkiego i ponurego czasu starości, która jest istnóm i jawném złem, pagórem nieszczęść i najsroźszej niedoli, a to wszystko nie mocą przypadku, ale mocą praw postanowionych dla wszystkich rodzajów stworzeń, wszystko przewidziane przez każdego z nas od dzieciństwa i przygotowywane ustawicznie od piątego lustrum smutném, powolném chyleniem się i zanikiem, bez winy nieczyjój; tak, że ledwie trzecia część życia przeznaczona jest na rozkwit, reszta na upadek i wynikające z niego dolegliwości.

Natura. Wyobrażasz ty sobie może, że świat został dla was stworzony? Wiedz, że w pracach, postanowieniach i czynnościach moich, wyjąwszy drobną liczbę, zawsze miałam na celu co innego, niż szczęśliwość lub nieszczęśliwość ludzką. Jeżeli was w jakim-

bądź względzie obrażam i jakim bądź sposobem wam szkodzę, nie wiem o tém, chyba rzadko; tak samo, jeżeli was bawię lub wam dobrze czynię, nie wiem o tém; ani gdy stworzyłam lub działałam to i owo, nie miałam na celu zysków waszych lub igraszki. I ostatecznie, gdyby mi wypadło zniszczyć cały wasz rodzaj, nie zauważyłabym tego.

Islandczyk. Przypuśćmy, że ktoś zaprosił mię wielkimi prosbami do swoich dóbr, a ja, by go ucieszyć, poszedłem. Tam dałby mi na mieszkanie izbę obdartą i zapadłą, gdziebym żył w ciągłym niebezpieczeństwie śmierci przez przygniecenie, wilgotną, cuchnącą, otwartą na wiatry i deszcze. A nie tylko nie zająłby się utrzymaniem mię przez czas niejaki i daniem mi choćby skromnej wygody, ale udzieliwszy mi za ledwie cokolwiek do podtrzymania życia, pozwoliłby mię znieważać, wyszydzać, grozić, bić swym dzieciom i swojej familii. A gdybym się skarżył na ten zły traktament, odpowiedziałby mi: Cóż? może dwór ten stawiałem dla ciebie, albo dzieci moje i służbę żywię na twoje usługi? i nie mam o czém inném myśleć, jak o twoich wygodach i wygódkach? Na to odpowiedziałbym: Wiedz, przyjacielu, że choć dwór ten stawiałeś nie na mój użytek, było [przecież w twój mocy nie zapraszać mię do siebie. Lecz kiedyś własnowolnie pragnął, abym tu czas mój spędził, nie należało ci przynajmniej zapobiedz, bym żył bez mąk i niebezpieczeństw? Tak powiadam i teraz. Wiem dobrze, że nie stworzyłaś świata na pożytki ludzi. Raczej uwierzyłbym, że wystawiłaś i urządziłaś go widocznie na ich męczarnie. Teraz pytam. Czy może prosiłem cię, abys mię na ten świat wyniosła, albo czy wdarłem się nań przemocą, wbrew twój woli? Więc jeśli dobrowolnie, bez mej wiedzy i w sposób, któremu nie mogłem przeszkodzić, ani rzec „nie pozwalam“, sama własnymi rękoma na nim mię usadziłaś, nie jest-że obowiązkiem twoim, jeżeli nie trzymać mię w weselu i zadowoleniu śród tej dziedziny, to przynajmniej przeszkodzić, by mię nie szczwano i nie szarpano i by pobyt na ziemi mię nie gnębił. A to co mówię o sobie, mówię o całym rodzaju ludzkim, o innych zwierzętach i wszem stworzeniu.

Natura. Nie zdajesz się uważać, że życie wszechświata jest nieustannym obiegiem tworzenia i niszczenia, związanych z sobą w ten sposób, że jedno służy ustawicznie na korzyść drugiemu, a równocześnie na zachowanie świata, który, gdyby jedno lub drugie przestało działać choć na chwilę, natychmiast popadłby w rozstrój. Wyszłoby przeto na jego szkodę, gdyby w nim było coś, wolnego od cierpienia.

Gdy o tém i podobnych rozmawiali kwestyach, wieść niesie, że nadeszły dwa lwy tak wydelikatnione i wycieńczone czezością, że miały za ledwo siłę zjeść owego Islandczyka; co téż uczyniły;

posiliły się nieco i na ten dzień utrzymały przy życiu. Inni przeczą temu, opowiadając, że gwałtowny huragan podniósłszy się w chwili, gdy Islandczyk mówił, powalił go na ziemię i zbudował nad nim przepyszny grobowiec z piasku, pod którym zasuszony wybornie i zamieniony w piękną mumią, znaleziony został później przez pewnych podróżnych i umieszczony w muzeum nie wiem którego z miast Europy.

11. Rozmowa Fryderyka Ruyscha z Mumiami.

Chór umarłych w pracowni Fryderyka Ruyscha.

U ciebie śmierci, ty jedynie wieczna,
 Co wszystko chłoniesz życie,
 Odpościć się nie wzdraga
 Natura nasza naga.
 Szczęsna nie — lecz bezpieczna
 Dawnego bólu. Noc bardzo głęboka
 W rozwichrzonej nam duszy
 Wszelką myśl baczną głuszy.
 A gdy ducha wysuszy,
 Już mu do westchnień i nadziei braknie
 Oddechu; wolen i męczarń i twogi
 Próżny wiedzie i błogi
 Żywot i nic nie łaknie.
 Żyliśmy; — jak sen przykry i mozolny
 Albo straszna maskara
 Mdlą tylko w duszy dziecka nieudolnej
 Pamięć siebie zostawia,
 Tak się nam dziś wyjawia
 Ów żywot przeszły. A jest pomniéć o czém!
 Czémeśmy w on czas byli,
 Czém istota téj chwili
 Co miała nazwę życia?...
 Dzikiém, tajném zamroczem
 Zda się nam dzisiaj życie; takiém właśnie
 Jak śmierć nieznana człeku,

Nim w nięj na wieki zaśnie.
 A jak się śmierci wzdraga
 Ziemskiego ród stworzenia
 Tak życiowego lęka się płomienia
 Natura nasza naga,
 Szczęsna nie — lecz bezpieczna,
 Bo szczęścia odmówiła
 Żywym czy zmarłym losu tajna siła.

Ruysch (po za pracownią, zaglądając przez wentyl w drzwiach). Do licha!... Kto wyczyli śpiewać tych umarłych, że wrzeszczą o północy jak koguty? Doprawdy, pot zimny ze mnie się leje i omal że nie martwięię bardziej niż oni. Nie myślałem, że zachowując od zgnilizny ułatwię im zmartwychwstanie. Otóż to.. z całą swą filozofią drzę od stóp do głów. Niech czart porwie czarta, co mię skusił sprowadzać ich do domu. Nie wiem, co począć: Jeżeli zostawię ich w zamknięciu, boję się, czy nie rozwalą drzwi, lub nie wyjdą przez dziurkę od klucza szukać mię w łóżku. Wołać pomocy z obawy przed umarłymi — nie wypada. Dalej, odwagi, spróbujmy im samym napędzić strachu. (*Wchodząc*) Cóż to broicie, dzieci? Nie pamiętacie-ż, żeście umarłe? Co znaczy ten hałas? Może nadęłyście się wizytą cara i myślicie, żeście wyzwolone z pod dawnych praw? Tuszę sobie, że czynicie to z żartu, nie na seryo. Jeżeliście zmartwychwstały, cieszę się z wami, za mały jednak mam majątek, by opędzić potrzeby żywych, nie dopiero umarłych; wynoście się więc z mego domu. Jeżeli to prawda, co opowiadają o upiorach, a wy do nich należycie, szukajcie innej krwi do picia, gdyż nie mam chęci oddać na wyssanie mojej, dość hojnie obdarzywszy was tą farbowaną, którą wam wlałem w żyły. Zresztą, jeżeli zachowacie się spokojnie i cicho jak dotąd, pozostanemy w zgodzie i w domu moim nie wam nie braknie; jeżeli nie, baczcie, abym nie porwał zasuwę od drzwi i nie pozabijał wszystkich.

Umrzyk. Nie wpadaj w gniew; bo zapewniam cię, że pozostaniemy umarłymi, mimo że nas nie zabijesz.

Ruysch. Skądże przyszła wam nagle fantazyja śpiewania?

Um. Niedaleko do północy, jak się dokona pierwszy raz ten rok wielki i matematyczny, o którym tyle piszą starożytni; pierwszy to raz równie, że umarli mówią. A nie tylko my, ale na każdym emętazu, pod każdym grobowcem w głębi morza, pod śniegiem lub piaskiem, pod otwartym niebem i gdziekolwiek się znajdują, wszyscy umarli śpiewali o północy tę pieśń, którą słyszałeś.

Ruysch. A jak długo trwać będzie to śpiewanie i wolność mówienia?

Um. Śpiewać już skończyły; mówić wolno im jeszcze ćwierć godziny. Potem zamilkną napowrót, aż póki się znowu tenże rok nie dopełni.

Ruysch. Jeśli to prawda, snu mi już drugi raz — jak się spoziewam — nie przerwiecie. Mówcie więc razem z całą swobodą; ja tu stanę z boku i słuchać was będę chętnie i ciekawie, nie przerywając.

Um. Nie możemy mówić inaczej, jak odpowiadając osobie żywej. Kto nie znajdzie żywych, by im odpowiadać, po skończeniu pieśni zamilka.

Ruysch. Przykro mi to, bo sprawiłoby mi wielką uciechę posłuchać, co mówicie między sobą, gdybyście razem rozmawiać mogły.

Um. Gdybyśmy nawet mogły, nie słyszałbyś nic, bo nie mamy nic do powiedzenia.

Ruysch. Tysiąc pytań przychodzi mi na myśl stawić wam. Ale że czas krótki i nie pozwala zastanowić się nad wyborem, pouczcie mię w krótkości, jakich uczuć doświadczałyście ciałem i duszą w chwili śmierci?

Um. Samą chwilą śmierci ja sobie nie przypominam.

Inni Umarli. Ani my.

Ruysch. Jakto nie przypominacie sobie?

Um. Jak ty naprzykład nie pochwycisz myślą chwili zaśnięcia, choćbyś nie wiem ile przyłożył uwagi.

Ruysch. Ale zasypianie jest sprawą naturalną.

Um. A śmierć zda ci się nienaturalną? Pokaż mi człowieka, zwierzę, roślinę, któraby nie umierała.

Ruysch. Nie dziw też, że wyśpiewujecie sobie i gwarzycie, kiedy nie pamiętacie śmierci

Tak ten, nie bacząc ciosu, co uderzył,
Walczył precz dalej, aż padł i już nie żył —

mówi pewien włoski poeta. Myślałem przecież, że o sprawie śmierci podobni wam więcej coś wiedzą niż żywi. Więc, powracając do przedmiotu, nie czuliście żadnego bólu w chwili skonania?

Um. Jakiż to ból, którego ten, co go ma doświadczać, nie spostrzeżga?

Ruysch. Bądź-co-bądź, wszyscy są przekonani, że uczucie śmierci jest bardzo bolesne.

Um. Jak gdyby śmierć była uczuciem, a nie czémś zupełnie przeciwném.

Ruysch. A przecież tak ci, co w pytaniu o naturę duszy zga-

dzają się z Epikurejczykami, jak ci, co trzymają się powszechnego mniemania; wszyscy albo przeważna część zgadzają się w tém co mówię: że śmierć z natury swojej jest nieporównanie najżywszém cierpieniem.

Um. Dobrze; zapytaj od nas i jednych i drugich, w jaki sposób człowiek nie posiadając zdolności spostrzeżenia chwili, kiedy czynności życia w większej lub mniejszej części zostają w nim przerwane czy we śnie, czy w letargu, czy w omdleniu, czy z jakiejbądź przyczyny—zauważyć zdoła chwilę, w której te czynności ustają zupełnie i to nie na krótki czas, ale na zawsze? Prócz tego jakże się może dziać, aby uczucie żywe mogło istnieć w śmierci, albo aby ta śmierć była sama w sobie uczuciem żywém. Kiedy zdolność odczuwania jest nietylko osłabiona i rozprężona, ale zeszczipiona do tyła, że się gubi i zanika, sądzicież, że zdolny jest wtedy człowiek do uczucia silnego, albo, że ten sam zanik zdolności odczuwania ma być uczuciem gwałtowném? Wszak widzicie, że nawet ci, co umierają na choroby ciężkie i bolesne, w chwili zbliżania się śmierci, na krótszy lub dłuższy czas przed ostatniem tchnieniem, uspokajają się i uciszają, iż można poznać, że ich życie sprowadzone do szczupłej ilości nie jest już zdolne uczucia bólu, tak, że ten przed skonem ustaje. To powiesz od nas każdemu, kto mniema, że w ostatnim momencie będzie doznawał cierpienia.

Ruysch. Epikurejczykowi wystarczyłyby może te dowody. Ale nie tym, co myślą inaczej o istocie duszy, jak ja wierzyłem dawniej i teraz témbardziej będę wierzył, gdym słyszał umarłych mówiących i śpiewających. Bo rozumiejąc, że śmierć polega na oddzieleniu duszy od ciała, nie pojmuję, jak te dwie rzeczy związane i niejako zrośnięte z sobą w ten sposób, iż tworzą razem jedną osobę, mogą rozdzielić się bez wielkiego gwałtu i niewypowiedzianej męki.

Um. Powiedz-no. Duch jest może przytwierdzony do ciała jakimś nerwem, jakimś muszkułem lub ścięgnem, co muszą rozrwać się, by uleciał; a może jest członkiem ciała, tak, że trzeba go rozbić lub odciąć gwałtem? Nie widzisz-że, iż dusza natychmiast wychodzi z ciała, skoro tylko przeszkodzi jęj coś, pozostać tam i miejsce w niem utraci, nie zaś, by ją coś odrywać lub wykorzeniać miało. Powiedz jeszcze: Może wchodząc tam, zostaje przybitą silnie, lub, jak powiadasz, przyrasta? Dlaczegożby więc miała być oddzierana przy wyjściu, to jest doznawać gwałtu? Bądź pewny, że wejście i wyjście duszy są zarówno spokojne, łatwe i łatwe.

Ruysch. Czémże więc jest śmierć, jeśli nie cierpieniem?

Um. Rozkoszą raczej, żywszą niż inne. Wiedz, że konanie jak zasypianie nie dzieje się w jednej chwili, ale stopniowo. Prawda, że te stopnie są raz większe, raz mniejsze wedle różności przyczyn i rodzajów śmierci. W ostatnim z tych momentów śmierć nie sprowadza ani boleści, ani rozkoszy, podobnie jak sen. W poprzednich nie może równie wywołać cierpienia, bo cierpienie jest czémś żywém, a zmysły człowieka od chwili, kiedy tylko konanie się rozpocznie, są umierające, inaczej mówiąc, osłabione na sile. Owszem — może stać się powodem rozkoszy, bo rozkosz nie zawsze jest uczuciem żywém; a nawet większa część rozkosznych momentów polega na pewnym rodzaju ubezsilenia. Tak, że zmysły ludzkie małą chwilę przed skonaniem są jeszcze zdolne do rozkoszy, zważając, że często to samo ubezsilenie jest rozkoszą, zwłaszcza gdy uwalnia od cierpień; bo wiesz dobrze, że każda przerwa bólu lub niesmaku jest sama przez się rozkoszą. Śmiertelne omdlenie więc winno być bardzo miłe, uwalniając człowieka od większego cierpienia. Co do mnie, choć w godzinie śmierci nie zważałem wiele na to, czego doznawałem, bo lekarze zabronili mi natężania umysłu, przypominam sobie przecież, że wrażenie, którego doznawałem, niewiele różniło się od rozkoszy sprawniejszej rozmarzenia w chwili zasypiania.

Inni Umarli. Nam także zda się przypominać to samo.

Ruysch. Niech będzie, jak mówicie, chociaż wszyscy ci, z którymi miałem sposobność rozmawiać o tym przedmiocie, sądzili zupełnie inaczej, ale o ile sobie przypominam, nie popierali tego własném doświadczeniem. Teraz powiedźcie mi: Śród konania, czy sądziłyście, doznając owéj błogości, że już umieracie i że ta błogość jest łaskawością śmierci, czy téż rozumiałyście co innego.

Um. Póki nie skołałem, nie przestawałem wierzyć, że się ocale, a przynajmniej do ostatniego momentu, póki mi stało zdolności myślenia, miałem nadzieję, że mi potrwa życie jeszcze przez jedną albo dwie godziny, i sądzę, że tegoż doświadczają i inni umierający.

Inni Umarli. I nam działo się podobnie.

Ruysch. Jak mówi Cycero, nikt nie jest tak bardzo zgnębiony, aby nie obiecywał sobie żyć przynajmniej rok jeszcze. Ale jak spostrzegłyście w końcu, że duch uszedł z ciała? Powiedźcie, po czém poznałyście, żeście umarli? Nie odpowiadają.—Dzieci, nie słyszyście?... Minęła pewno ćwierć godziny. Pomacajmy je... pomarły znowu na dobre. Niema obawy, by drugi raz napędziły mi strachu; wróćmy do łóżka.

11. Pamięci godne zdania Filipa Ottonieri'ego.

ROZDZIAŁ I.

Filip Ottonieri, którego kilka cennych uwag podać pragnę, zasłyszanych już to z jego własnych, już to obcych ust, urodził się i żył przeważnie w Chmurzyskach, prowincyi Wietrzne doły, gdzie także umarł niedawno, a gdzie nie pamiętają, aby skrzywdził kogo, czy to czynem, czy słowem. Był znienawidzony powszechnie u spóbywateli, gdyż nie zdawał się znajdować przyjemności w wielu rzeczach, których większa część ludzi szukała i pożądała, chociaż nie dawał poznać, jakoby mało czcil lub ganił tych, którzy się niemi cieszyli lub za niemi uganiali. Utrzymują, że był istotnie tém, co inni ludzie jego czasów wyznawali jako swą profesyą, t. j. filozofem a to nietylko w myśli lecz w postępowaniu. Dlatego wyróżniał się między wszystkimi, chociaż nie starał się o to ani nie siłił. Przy tej sposobności mawiał, że największą odrębność, jaką dziś można znaleźć, czy w obyczajach, czy instytucyach, czy w czynach oświeconego człowieka, porównana z odrębnością tych ludzi, którzy u starożytnych uważani byli za oryginałów, nie tylko jest innego rodzaju, ale nawet o tyle mniej odmienna od pospolitego obyczaju spóczesnych, że choć dzisiejszym ludziom wydaje się wielka, starożytni uważaliby ją za małą lub żadną, nawet w owych czasach i u owych ludów, które były pierwotnie bardziej nieokrzesane i bardziej zepsute. A porównywając odrębność J. J. Rousseau, która wydawała się bardzo szczególna naszym dziadom, z odrębnością Demokryta lub pierwszych Cyników, dodawał, że ktoby dziś żył o tyle odmiennie od nas, o ile odmiennie od Greków spóczesnych żyli owi filozofowie, uważany byłby nie już za oryginała, ale wedle ogólnego mniemania stałby niejako po-za spóczesnością ludzką. I sądził, że miarą absolutną możliwej odrębności osób jakiegobądź czasu i miejsca można zmierzyć stan cywilizacyi tegoż czasu i miejsca.

W filozofii chętnie zwał się Sokratykiem, i często jak Sokrates przepędzał dobrą część dnia na filozoficznej dyspuacie to z jednym, to z drugim, a szczególnie z niektórymi swemi domownikami w jakiejbądź materyi, którą podsunęła okoliczność. Ale nie odwiedzał jak Sokrates warsztatu szewców, cieśli, kowali i tym podobnych, bo

sadził, że jeżeli kowale i cieśle ateńscy mieli czas na filozoficzne dysputy, chmurniańscy, gdyby czynili podobnie, pomarliby z głodu. Ani też rozprawiał Sokratesowskim sposobem, pytając i wnioskuje ustawicznie, bo mawiał, że choć nowożytni są cierpliwi od starożytnych, nie znalazłby się dziś taki, co by miał wytrwałość odpowiadać na tysiąc ustawicznych zapytań i słuchać setki wyników. I w istocie, nie miał w sobie nic sokratesowskiego, prócz, że mówił czasem ironicznie i pod przenośnią. A szukając źródła sławnej Sokratesowskiej ironii powiadał: Sokrates posiadający duszę szlachetną i bez wątpienia zdolną kochania, ale skrzywdzony nad miarę nieskładnymi kształtami ciała, prawdopodobnie zrozpaczył już w młodości, by mógł być kochany inną miłością, prócz miłością przyjaźni, nie zdolnej do zaspokojenia serca subtelnego i żarkiego, co często uczuwa ku drugim uczucie o wiele słodsze. Z drugiej strony, choć był pełen odwagi, rodzącej się z rozumu, zdaje się, iż nie był uzbrojony w owę, która wyrasta z natury, ani też w inne przymioty, potrzebne w owym czasie wojen, buntów i swawoli ateńskiej temu, co sprawy publiczne ojczyzny chciał dzierzyć. Przymioty jego niewdzięczne i śmieszne stały mu się niemalym szkopulem w przesądach ludu, który nawet w języku mało odróżniał *dobre* od *pięknego*, a przymioty skłonny był do uszczypliwości. Dlatego to w państwie swobodnym, pełnym gwaru, namiętności, zajęć, rozrywek a przymioty bogactw i fortuny—Sokrates biedny, wzgardzony w miłości, nie zdalny do urzędu, a przymioty obdarzony umysłem potężnym, który w tych warunkach musiał powiększać niezmiernie przykrość każdej zacepki, zaczął dla ulgi rozprawiać z wielką bystrością o sprawach, obyczajach i przymiotach swych spółobywateli, przyczem przyzwyczaił się do używania pewnej ironii, jak z natury rzeczy musiał w nią popaść ten, komu wzbroniony był, żeby tak rzecz, udział w życiu. Ale łagodność i wspaniałomyślność jego natury, a także sława, jaką sobie dysputami owemi pozyskał i jaką musiał się poniekąd pocieszać w miłości własnej, sprawiły, że ta ironia nie była wzgardliwa i cierpka, ale pobłażliwa i słodka. Tak filozofią po raz pierwszy—według słów Cycerona—sprowadzoną z nieba wniósł Sokrates do państwa i domów, a usunąwszy od dociekań rzeczy ukrytych, któremi się aż dotąd zajmowała, zwrócił ją ku badaniu obyczajów i życia ludzkiego, rozprawianiu o cnocie i występkach, o rzeczach dobrych i użytecznych oraz szkodliwych. Zrazu jednak nie miał Sokrates zamiaru wprowadzenia tej nowości, ani nazwania jej, czém była, ani dostąpienia nazwy filozofa, która w owych czasach należała się tylko przyrodnikom i metafizykom, do jakich tytułów on przez takie rozprawy i dysputy praw rościć nie mógł; wznawał też

otwarcie, że nie nie wie i nie miał innych celów, jak zabawę, kiedy o sprawach cudzych rozprawiał, przenosił bowiem tę rozrywkę nad samo filozofowanie oraz każdą inną naukę i sztukę; a że skłonny był raczej do czynu niż dociekań, folgował przyjemności dysput owych tylko przeto, iż los działać mu zabronił. A w tych rozmowach ćwiczył się najchętniej z osobami młodem i pięknymi, jakby chciał omamić swe pożądania, zadowalniając się szacunkiem tych, od których pragnąłby być kochany. Że zaś wszystkie szkoły filozoficzne Greków począwszy od tego czasu wychodziły poniekąd od sokratesowej, wnioskował Ottonieri, że źródłem jakoby całej filozofii greckiej, na której zrosła nowoczesna, był nos zadarty i satyrowa twarz człowieka z wybornym umysłem i gorącym sercem. Mówił także, że w książkach Sokratyków osoba Sokratesa podobna jest do tych maszkar, z których każda w stariej włoskiej komedyi ma nazawsze jedno imię, jeden strój, jeden charakter, zmieniając zresztą sytuacye w każdej sztuce.

Nie zostawił z filozofii swojej nie na piśmie ani też nic innego, prócz, co dotyczyło spraw osobistych. A gdy go pytano, dlaczego nie pisze dzieł filozoficznych, odpowiedział: Czytanie jest romową z autorem; a jak na ucztach i zabawach publicznych ci, którzy nie są lub nie sądzą się członkami widowiska, prędko popadają w nudę, tak w rozmowie miłsze wogóle jest rozmawianie niż słuchanie. Książki zaś z natury swój są jak owe osoby, co siedząc z innemi mówią ciągle a nie słuchają nigdy. Dlatego potrzeba, aby książka podawała wiele rzeczy dobrych i pięknych a podawała je porządnie, jeśli jej ma czytelnik to ustawiczne mówienie przebaczyć. Inaczéj znieawidziłoby się każdą książkę jak nienasyconego gadułę.

ROZDZIAŁ II.

Nie przypuszczał różnicy między zajęciem i rozrywką i zawsze, kiedy był zaprzątnięty choćby najcięższą pracą, powiadał, że się bawi. Tylko, jeżeli czas jakiś zostawał bez zajęcia, przyznawał, że podczas owego przestanku nie czuł żadnej przyjemności.

Mawiał, że najprawdziwsze uciechy naszego życia są te, które powstają z urojen i że dzieci znajdują wszystko nawet w niczym, dorośli nie we wszystkim.

Porównywał każdą rozkosz zwaną powszechnie realną z karczochem, u którego, chcąc dojść jądra, trzeba najprzód przegryźć i rozłupać wszystkie liście. I dodawał, że ten rodzaj jest nawet

rzadki i że istnieją inne, podobne owym z zewnątrz, lecz w środku bez jądra i że on, nie mając ochoty połykać liści, wołał obejść się bez jednych i drugich.

Odpowiadając komuś na pytanie, jakie są najgorsze momenta życia ludzkiego, rzekł: Wyjawszy chwile bólu jakoteż strachu, uważałbym za najgorsze momenta rozkoszy, bo nadzieje i przypomnienia tych momentów, zajmujące resztę życia są lepsze i wiele słodsze niż sama uciecha. I porównywał wogóle uciechy ludzkie do zapachu, gdyż uważał, że ten zostawia zwykle większą po sobie tęsknotę niż każde inne wrażenie, zupełnie tak jak rozkosz; a z wszystkich zmysłów człowieka tym, który najtrudniej da się zaspokoić doznana przyjemnością — jest powonienie. Przyrównywał też zapachy do pożądań dobra, mówiąc, że te przedmioty wonne, które są dobre do jedzenia lub smakowania, zazwyczaj zapachem przewyższają smak, bo popróbowane smakują mniej niż wachanie i mniej niżby się po zapachu spodziewać było można. I opowiadał, że czasem ucuwał niecierpliwosć, gdy nie kwapiła się z nadejściem jakaś przyjemność, której nadejścia był już pewny, a to nie przez pożądanie jej lecz przez obawę uszczuplenia uciechy żywą grą wyobraźni przedstawiającej ją świetniejszą, niż w rzeczywistości objawić się miała.

Powiedział raz, że każdy człowiek, odkąd przyjdzie na świat, jest jak ten, co się położył do łóżka twardego i niewygodnego, gdzie położywszy się prędko i ucuwszy niewygodę, zaczyna przewracać się z jednego boku na drugi i zmieniać co chwila miejsce i pozycyą i trwa tak noc całą, mając ciągłą nadzieję, że nakoniec zaśnie i kilkakroć sądząc, że istotnie zasypia, aż gdy przyjdzie godzina, nie odpocząwszy nawet, powstaje.

Przypatrując się razem z innemi pszczołom krzątającym się koło swój pracy, rzekł: Szczęśliwe, że nie pojmujecie swój niedoli.

Wierzył, że nędzy ludzkiej ani obliczyć nie można, ani nawet oplakać należy.

Na owo pytanie Horacyusza, czém się dzieje, że nikt nie jest ze stanu swego zadowolony, odpowiadał: Przyczyna jest ta, że żaden stan nie jest szczęśliwy. Nie mniej poddani, jak książęta, nie mniej ubodzy jak bogaci, nie mniej słabi jak potężni, gdyby byli szczęśliwi, byłiby z losu swego zadowoleni i nie zazdrościliby drugim, bo ludzie nie są mniej nienasyчени, niż którykolwiek inny rodzaj, ale zaspokoić nie mogą się niczém prócz szczęśliwością. A zawsze nieszczęśliwi — nie dziw, że zawsze są niezadowoleni.

Twierdził, że przypuściwszy, iż ktoś znajdowałby się w najszczęśliwszym położeniu na ziemi nie mogąc sobie obiecywać wzro-

stu dobrej doli w żadnej części i żadnym sposobem, możnaby rzec, że jest najnieścieśliwszy między ludźmi. Nawet bardzo starzy żywią chęci i nadzieje polepszenia bytu w jakim bądź względzie. I cytował ustęp z Ksenofonta, który radzi, aby kupując grunt, kupić źle uprawny, bo posiadłość nie mogąca więcej przynieść, owoców niż przynosi, nie sprawia tyle uciechy, ileby sprawiała, polepszając się stopniami; wszystkie bowiem dobra, które coraz się doskonala, większą przynoszą radość niż inne.

Przy sposobności zaznaczał, że żaden stan nie jest tak nędzny, aby nie mógł się pogorszyć, i że żaden śmiertelnik choćby najnieścieśliwszy nie może pocieszać się ani chępcie, mówiąc, iż go gnębi niedola nie znająca wzrostu. Przeciwnie, choć nadzieja nie zna granic, dobra ludzkie są ograniczone i gdybyśmy w pewnym danym dniu poszli do bogatego i ubogiego, pana i niewolnika, i przeciwstawili obecną ich fortunę potrzeby i pożądaniam, znaleźlibyśmy, że wszyscy posiadają równą sumę zadowolenia. Ale złemu naszemu natura nie położyła granic i sama wyobraźnia nawet nie może przedstawić sobie takiego nieszczęścia, któreby się nie urzeczywistniało obecnie, albo już nie urzeczywistniło, albo ostatecznie nie mogło się urzeczywistnić na kimkolwiek z człowieczego rodu. Przeto, gdy większa część ludzi nie ma innej poręki prócz nadziei, spodziewając się wzrostu ilości swych dóbr, nikomu w tym samym czasie nie może braknąć niepróżnych przyczyn do strachu; a jeżeli fortuna może uszczuplić się nagle do tego stopnia, że nie ma już siły przynosić nam nadal korzyści, nigdy przecież nie traci zdolności dotykania nas nowymi stratami, i to takimi, że mogą pokonać i zgnieść samą hartowność rozpacz.

Śmiał się często z tych filozofów, co utrzymywali, że człowiek zdolen jest wyrwać się z pod władzy losu, lekceważąc i uważając jakoby cudze wszystko dobro i wszystko zło, których nie potrafi albo dostąpić albo uniknąć, jedno zatrzymać, od drugiego się uwolnić, i nie widząc szczęścia lub nieszczęścia w niczym, jak w tém, co od niego jedynie zależy. O którym to mniemaniu między innymi mówił: Przypuśćmy, że istniałby ktoś, co mógłby żyć z drugimi niby doskonały filozof—nikt nie żył ani nie żyje w ten sposób z samym sobą, i że tak jest rzeczą możebną nie dbać o sprawy własne bardziej niż o cudze, jak dbać o cudze, jakby były własnymi. Ale przypuśćmy, że taki skarb umysłu, o jakim mówią owi filozofowie, nie tylko jest przypuszczalny (co nieprawda), ale nawet znajduje się rzeczywisty i żywy w jednym z nas, że jest nawet doskonalszy, niż przypuszczają, utwierdzony i wrosły w nas długoletniem doświadczeniem, wypróbowany w tysiącu wypadków; czyż przeto szczęśliwość lub niedola owego człowieka nie

znajduje się pod władzą losu? Nie podlega-ż losowi tenże sam przymiot duszy, który, jak twierdzą, zpośród wyrwać się może? Rozum ludzki nie jest-że narażony ustawicznie na niezliczone wypadki? Liczne choroby, sprowadzające przytępienie umysłu, obłąkanie, szal, wściekłość, idyotyzm, sto innych rodzajów waryactwa krótkiego lub długiego, chwilowego lub ustawicznego, nie mogą tego rozumu pomieszać, osłabić, przewrócić, zniszczyć? Pamięć, zachowawczyni rozumu, czyż nie zużywa się ciągle i nie słabnie w postępie od młodości ku starości? Wieleż to starców zamienia się umysłem na dzieci! a prawie wszyscy w tym wieku tracą dzielność inteligencyi. Z drugiej strony, w skutek jakiegoś zaburzenia cielesnego nawet przy zachowaniu w zdrowiu i całości władz umysłu i pamięci odwaga i energia zwykle mniej więcej słabną, a nierzadko nawet gasną. Nakoniec jest wielkiem głupstwem przyznawać, że ciało nasze podległe jest przypadkom, które nie są w naszej mocy, a przy tém wszystkiem przeczyć, aby umysł, który prawie we wszystkiem zawisł od ciała, podlegał koniecznie rzeczy jakiejś zewnątrz nas, a nie w nas samych mieszkającej. I wnioskował, że człowiek całkowicie, zawsze i nieuchronnie poddany jest losowi.

Zapytany, na co urodzili się ludzie, odpowiedział żartem: Aby poznali, ile lepszym było—nie urodzić się.

ROZDZIAŁ III.

W okazyi jakiegoś osobistego nieszczęścia mówił: Stracić osobę kochaną sposobem jakiegoś nagłego zdarzenia lub przez chorobę krótką i gwałtowną nie jest tak bolesne, jak widzieć, że zanika powoli (ten właśnie zachodził u niego wypadek) w niemocy długiej, która nie wprzód ją zabije, aż zmieni ciało i ducha i jakoby zupełnie przekształci. Rzecz pełna boleści, bo tym sposobem ukochana osoba ginie, nie pozostawiając obrazu swego w twój pamięci tak lubego jak niegdyś ona sama, ale stoi ci przed oczyma zupełnie inna jak ta, którą kochałeś i wyszarpuje z duszy wszystkie złudy miłosne; a gdy nazawsze z tobą się rozstanie, że ten jój pierwotny portret, który nosiłeś w duszy, zastąpiony został nowym. Tak tracisz osobę kochaną w całości, gdyż nie dano jój już nawet postać w twój wyobraźni, co miał przynieść ci niejakaś pociechę, nasuwa jedynie powód do smutku. A nakoniec, podobne nieszczęścia nie pozwolą odpocząć w bólu, który za sobą wiodą.

Gdy ktoś narzekał na kłopoty i mówił: Gdybym ich tylko mógł się pozbyć, resztę zniósłbym łatwo, — odpowiedział: Wtedy one, co są dziś lekkie, wydałyby ci się ciężkimi.

A drugiemu utrzymującemu: Gdyby ten ból trwał był dłużej, znieść-by było niepodobna, — odparł: I owszem, przez przyzwyczajenie zniósłbys jeszcze więcej.

I w wielu innych kwestyach, dotyczących natury ludzkiej, odstrychnął się od zdania tłumu, a czasem nawet od zdania mędrców. Przeczył naprzykład, aby najodpowiedniejszą chwilą do stawienia próśb, lub żądań, była chwila jakiejś niezwyklej uciechy osób, do których te prośby, lub życzenia się odnoszą. Zwłaszcza, — powiadał, — gdy chwila nie jest tego rodzaju, aby proszony, lub wzywany, mógł się natychmiast wywiązać czémś więcej, niż obietnicą, lub niewiele różniącą się od niej łaską; sądzą, — mówił, — że chwila uciechy jest dla tych celów tak nieodpowiednia i zła, jak chwila boleści. Bo jedno i drugie uczucie ogarnia człowieka do tyła samolubstwem, iż nie zostawia miejsca myśli o kimś drugim. Jak w boleści zło, tak w radości dobro trzymają w napięciu i posiadają nasz umysł czyniąc go niepomnym trosk, potrzeb i pragnień cudzych. Szczególniej obie te chwile nie przypuszczają litości; chwila bólu, bo człowiek całą dbałość zwraca na siebie; chwila uciechy, bo wtedy wszystkie sprawy ludzkie, życie całe wydaje się bardzo wesołe i bardzo rozkoszne, tak, że nieszczęście i cierpienie zda się mu marą wyobraźni, a tworząc zbyt jaskrawy kontrast ze stanem jego umysłu, nie zdołają skupić jego uwagi. Najlepszą porą, w której próbować można skłonić kogo do natychmiastowego działania na swą korzyść, jest chwila uciechy spokojnej i umiarkowanej, nie nadzwyczajnej, nie gwałtownej, albo — i to właściwsza jeszcze — chwila radości takiej, która choć żywa, nie dotyczy określonego przedmiotu, ale powstaje z myśli błakających się i polega na umiarkowanym wzruszeniu. W tym stanie duszy, ludzie są bardziej niż kiedykolwiek skłonni do litości, usłuzniejsi dla proszącego, a nieraz chwytają chętnie sposobność zniewolenia sobie kogoś i pójścia za tym ruchem niewyrażnym, za tym lub owym popędem myśli, pragnącej spełnić czyn szlachetny.

Przeczył również, aby nieszczęśliwy opisując lub przedstawiając swą niedolę, odnosił większą litość i pożałowanie u tych, co w podobnym znajdują się ucisku. Bo oni wtedy, słuchając żalów; albo wyobrażając sobie twoje położenie w jakim bądź kształcie, usiłują jedynie przeciwstawić swoje przykrości twoim i często zdarza się, iż kiedy mniemasz już, że spostrzegasz na nich wzrusze-

nie, oni przerywają ci, opowiadając swoją przygodę i zmuszają uwierzyć, że mój jest znośna niż twoja. I powiadał, że w takich wypadkach powtarza się zazwyczaj to, co w Iliadzie czytamy o Achillesie, kiedy Pryam leżał u nóg płacząc i błagając: że skoro skończył ten swój nieszczęsny lament, Achilles sam zaczął płakać nie nad jego, lecz nad własną niedolą, wspomniawszy ojca i zabitego przyjaciela. Dodawał, że może istotnie pomódz do wzbudzenia litości, jeżeli ktoś doświadczył niegdyś na sobie tegoż samego strapienia, które cierpi drugi, ale nigdy, jeżeli doświadcza go społecznie.

Mówił, że niedbalstwo i nieuwaga, są przyczyną tysiąca postępów okrutnych i złośliwych, i najczęściej mają pozór złośliwości i okrucieństwa, jak na przykład, gdy ktoś wyszedłszy z domu i wstąpiwszy gdzieś dla rozrywki, zostawia służących na dworze sieczonych deszczem, nie przez srogość lub nielitość, ale przez bezzwrotność i nie zważenie ich pozycyi. I rozumiał, że niebacność jest między ludźmi pospolitą, niż złośliwość, nieludzkość i t. p.; i że z niej się bierze większość postępów złych i że wielka część tych czynów, które przypisujemy jakiejś złej skłonności, nie są niczem więcej, jak niebacnością.

W pewnej okazyi powiadał, że mniej ciężką wydaje się dobroczyńcy zupełna i wyraźna niewdzięczność, niż odpłacenie mu wielkiego dobrodziejstwa drobnem, które złożony udarowany czy przez niedelikatność czy złość uważa się za uwolnionego już od wszelkich obowiązków, podczas gdy tamten ma minę zadowolonego, lub przez grzeszność taką mu miód wypada, tak, że z jednej strony pozbawiony jest nawet nagiej i nieplodnej wdzięczności, której objawienia mógł się jeszcze spodziewać, z drugiej strony odebrano mu wolność poskarżenia się na niewdzięcznika lub przedstawienia się — jak jest w istocie — źle i niesprawiedliwie wynagrodzonym.

Słyszałem też, iż cytowano jako jego — następujące zdanie. Zwykliśmy i lubimy przypuszczać w tych, z którymi zwykle obcujemy, bystrość i zdolność odkrywania naszej istotnej lub urojonej wartości, oraz zrozumienia wagi i zalet każdego naszego słowa i czynu; równie wielką gruntowność i skłonność do rozważenia i zatrzymywania w pamięci ich przymiotów i ceny obserwowania ich zawsze natężoną uwagą; podczas gdy w innych okazyach albo nie odkrywamy w nich takich zdolności, albo wyznajemy sobie, że ich nie odkrywamy.

ROZDZIAŁ IV.

Uczynił raz spostrzeżenie, że ludzie nie zdecydowani są, mimo wszelkie przeszkody, uparci w swoich zamiarach, a to właśnie w skutek swój chwiejności, uważając zawsze, że zamiar powzięty można porzucić w stosowniejszą porę. Czasem są bardzo skorzy i czynni w wykonaniu tego, co zamysłili, gdyż bojąc się sami, aby z chwili na chwilę nie zawahali się w spełnieniu przedsięwzięcia i nie powrócili nanowo do tego pełnego męki niepokoju i zawieszenia, co ich przedtém gnębiły, przyśpieszają wykonanie i przykładają doń wszystkie swe siły, znajdując bodziec raczėj w obawie i niespokojności zwyciężenia siebie samych, niż w przedmiocie swych usiłowań i owych przeszkodach, które trzeba przemódz, nim się go zdobędzie.

Mówił czasem śmiejąc się, że osoby przyzwyczajone do ustawicznego udzielania myśli swych i uczuć drugim, odzywają się nawet, gdy są sami, gdy je komar utnie, gdy przewrócą naczynie lub wypuszczą je z ręki; przeciwnie przyzwyczajone do samotności i obcowania z samemi sobą, choćby nawet poczuli się rażeni apopleksją, pośród osób wielu ust nie otworzą.

Sądził, że wielu z pomiędzy starożytnych czy nowożytnych ogłoszonych wielkimi i nadzwyczajnymi dostępują tėj sławy szcze-gólniej na podstawie jakiejś zalety wyższej nad inne. I że ktoś, w kimby przymioty umysłu były zrównane i względem siebie proporcjonalne, choćby były niezwykle i przepotężne, z trudnością zyskałby ten tytuł, ani zdał się społecznym i potomności gienialnym i nadzwyczajnym.

Rozróżniał u ludów cywilizowanych trzy rodzaje osób: Pierwszy, w którym wrodzony charakter a w wielkiej części i charakter ogólnoludzki zmieniony jest i przekształcony sztuką i zwyczajami życia miejskiego. Ten rodzaj obejmuje tych, którzy zajmują się sprawami prywatnymi lub publicznymi, zdolni korzystać z miłego obcowania z ludźmi i wzajem stać się miłymi tym, z którymi stykają się i obcuja, dorośli wreszcie do obecnego stanu oświaty. Temu jedynemu rodzajowi — powiadał — dostaje się w udziale szacunek ludzki. Drugi jest ten, w którego osobnikach pierwotna natura nie dość się zmieniła, albo, że nie została — jak to mówią — uprawiona, albo, że przez swą twardość i niepodatność, nie nadała się do przyjęcia i zachowania wpływów sztuki, ćwiczenia przykładu. Ten rodzaj jest najliczniejszy, ale wżgardzony nie mniej przez się, jak przez drugich, nie gra wielkiej roli i wogóle

obejmuje tych, którzy noszą lub zyskują sobie nazwę „tłumu“, w jakim bądź stanie znajduje się ich fortuna.

Trzeci nieskończenie niższy liczbą od owych dwu i wzgardzony prawie jak drugi, a czasem nawet bardziej, jest rodzaj ludzi, których natura w skutek nadmiaru sił nie poddała się więzom dzisiejszego stanu oświaty, zerwała je i precz odrzuciła albo przyjęła z niej tylko tak mało, że nie wystarcza do objęcia spraw ni rządu ludzi i nie nauczyła się być w obcowaniu z ludźmi ani miłą, ani pożądaną. A rozdziela się ten rodzaj na dwa gatunki: Jeden stateczny i dzielny, wzgardziciel pogardy, która go ze wszech stron ściga i z której często bardziej jest rad niż z uwielbienia; odmienny od reszty społeczeństwa nie tylko, że go takim natura stworzyła, ale że sam tę odmienność w sobie wypracował; wolen nadziei i uciech światowych, samotny pośrodku miasta nie mniej, że stroni od ludzi, jak że od niego stronią. Z tego rodzaju—dodawał—istnieje bardzo niewiele. Charakter drugiego gatunku ma w sobie zmieszany z siłą pewien rodzaj lęklivości i słabości, tak, że w nim toczy się ciągle wewnętrzna walka. Dlatego osobniki tego drugiego gatunku nie niechętnie same przez się obcowaniu z ludźmi, pragnąc w tém i owém przystosować się i upodobnić pierwszemu rodzajowi, ile że boleją w własnym sercu nad wzgardą, w jakiej się oglądają, i lekceważeniem, którym ich ranią ludzie, nieskończenie niżsi zdolnościami i enotą; nie zdołają przecież mimo wszelką skwapliwość przyuczyć się do praktycznego używania życia i w obcowaniu stać się znośnemi ani sobie, ani drugim. Takimi były w ostatnich czasach i są jeszcze w naszej epoce raz mdléj, raz wybitniej inteligencye dostojne i subtelne. A jako znaczny przykład stawiał J. J. Rousseau, przydając mu inną postać, z pomiędzy starożytnych — Wergiliusza, o którym w *Vita latina* noszącej imię Donata gramatyka podano z powagi Melissoua, równie gramatyka, wyzwoleńca Mecenasowego, że w rozmowie był oziębiały i mało odmienny od prostaków. A że prawdą jest, iż Wergiliusz przez tę dziwną subtelność umysłu mało był zdatny do obcowania z ludźmi, wywnioskować można z wszelkiém prawdopodobieństwem tak ze stylu odznaczającego się mistrzowskiém wykończeniem, jak z charakteru jego poezyi i z tego jeszcze, co się czyta na końcu drugiej pieśni Georgik, gdzie poeta wbrew przywyknieniom starożytnych Rzymian, a zwłaszcza ludzi gienialnych wyznaje pożądanie życia cichego i samotnego, a to w taki sposób, iż pojąć można, że popycha go doń raczej natura niż skłonność, i że wzdycha za niémi jako za lekarstwem i ucieczką raczej, niż dobrem. A że, mówiąc wogóle, ludzie należący do obu tych gatunków nigdy nie byli cenieni, chyba niektórzy po śmierci, a należący do

drugiego rodzaju małą mają wartość czy żywi, czy umarli, więc też wnioskował z tego, że w naszych czasach powszechnego poważania u ludzi nie dostępuje się w inny sposób, jak odstrychnąwszy się i wyzuwszy z siebie naturalność. Prócz tego, ponieważ dziś społeczeństwo cywilizowane opiera się na osobach pierwszego rodzaju, którego charakter trzyma środek między charakterami obu innych, kończył, że tak z tej okoliczności jak z tysiąca innych wypływa wniosek, że dziś władza, kierownictwo i udział w życiu społecznym należy prawie całkowicie mierności.

Rozróżniał także trzy rodzaje starości odpowiednio do innych wieków człowieka. W pierwotnych narodach, kiedy i obyczaje i postępowanie człowieka w każdej porze życia były sprawiedliwe i cnotliwe, a doświadczenie i znajomość ludzi i życia niezdolne były jeszcze odwrócić umysły od poczciwości i prawości, starość była nadewszystko szanowana; bo ze sprawiedliwością i podobnymi zaletami, wspólnymi wówczas wszystkim, łączyły się w niej już z natury rzeczy większy rozum i roztropność niż w innych. Z postępem lat przeciwnie, w skutek zepsucia i przewrotności obyczajów żaden wiek nie był podlejszy i obrzydliwszy nad starość, skłonioną bardziej niż inne wieki ku złemu, już to przez doświadczenie i gruntowną znajomość świata, już to przez krzywdy długo i często znoszone, przez wrodzoną oziębłość; równocześnie nie umiającą już działać, jak tylko oszezerstwem, zdradą, przeniwierstwem, chytrącią, udaniem, słowem wszystkimi sztukami liczącymi się do najwstrętniejszych występków. Ale później, kiedy zepsucie świata przekroczyło wszystkie granice, a wżgarda prawości i cnoty wyprzedziła w ludziach doświadczenie i poznanie otoczenia swego i smutnej prawdy, kiedy wzajem doświadczenie i poznanie wyprzedziły wiek, i człowiek już w dzieciństwie był uczony, wyćwiczony i zepsuty, wtedy starość stała się nie powiem szanowną—bo odtąd niewiele rzeczy pozyskiwało ten tytuł—ale znośniejszą jeszcze niż inne przy życiu. A to z tej przyczyny, że zapał ducha i krzepkość ciała, które dawniej dopomagając wyobraźni i uszlachetnieniu duszy nierzadko rodziły zacność obyczajów, uczuć i czynów, a potem stały się tylko bodźcem i pomocnikami złości i występku—teraz na skłonie lat usatkwowały się i uspokoiły chłodem serca i niedołęstwem członków, rzeczy prowadzących zawsze raczej ku grzechowi niż cnotcie. Prócz tego to samo doświadczenie i wybadanie świata przedstawiającego się obecnie niemiłym, wstrętnym i podłym, miast zwracać cnotliwych ku nieprawości jak dawniej, nabyły mocy przytłumiać, a czasem nawet gasić miłość w ludziach pełnych smutku. Stąd obserwując obyczaj starości w porównaniu z innymi wiekami można rzec, że w pierwotnych czasach miała

się jak do dobrego lepsze; w zepsutych—jak do złego najgorsze; w następujących i gorszych—przeciwnie.

ROZDZIAŁ V.

Rozprawiał dużo o tym rodzaju miłości własnej, który dziś zwany jest egoizmem, a nastęrczała mu się częsta, jak sądzę, sposobność wejścia o nim w dysputę. Wymienię kilka jego zdań dotyczących téj materyi. Mówił, że dziś, kiedy ci chwali lub gani kogoś za uczciwość lub nieuczciwość osoba, która miała z nim do czynienia, nie zdajesz sobie z tego innego rachunku, jak, że ta osoba, która go chwali lub gani, jest dobrze lub źle względem niego usposobiona; dobrze, jeśli go przedstawia dobrym, źle, jeżeli złym.

Przeczył, aby w dzisiejszych czasach można kochać bez rywala; a pytającemu: dlaczego—odpowiedział; gdyż bez wątpienia kochany lub kochana (kochając siebie samę) jest rywalem kochającego.

Przypuściwszy — mówił—że żądasz od kogoś łaski, której wyświadczyć nie można, jak tylko wpadając w nienawiść lub nielaskę osoby trzeciej, a owa trzecia, ty i proszący posiadacie—przyślemy—mnień więcej równy stopień stanowiska i władzy; twierdząc, że prawdopodobnie prośbie twojej nie uczyni się zadość w żaden sposób, choćby nawet tą łaską zniewolić cię mógł niezmiernie łaskawca i zrobić sobie z ciebie większego przyjaciela, niż z owęj osoby trzeciej nieprzyjaciela. Ponieważ nienawiści i gniewu ludzkiego obawia się on więcej, niż się spodziewa po miłości czyjéjś i wdzięczności, co jest rzeczą naturalną, bo wogóle spostrzega się, że owe dwie pierwsze namiętności działają częściej i w działaniu są skuteczniejsze, niż drugie. Przyczyną jest, że kto stara się szkodzić tym, których nienawidzi i kto szuka zemsty, działa dla siebie; kto usiłuje dopomódz tym, których kocha, albo odplacać dobrodziejstwa, działa dla drugich—dla przyjaciół czy dobroczyńców.

Mówił, że dobrodziejstwa i usługi, które się wyświadcza w celu i zamiarze własnej korzyści, zwykle mijają się z przeznaczeniem, bo ludzie, zwłaszcza dzisiejsi, kiedy mają więcej niż dawniej wiedzy i rozumu, łatwi są w przyjmowaniu, a trudni w oddawaniu. Niemniej jednak te łaski i przysługi wyświadczone przez niektórych młodzieńców kobietom starym, bogatym i wpływowym dochodzą swego celu, nietylko częściej niż inne, ale częściej wogóle.

Niżej podane spostrzeżenia, dotyczące się głównie obyczajów społecznych, przypominam sobie, że słyszałem z jego własnych ust: Nie

ma dziś nic, coby zawstydziło ludzi zużytych i wytartych w świecie, prócz samego wstydu, i żadnej rzeczy ci ludzie się nie zaplania, prócz, że kiedy przypadkiem weń popadli.

Dziwna jest potęga mody, która tam, gdzie ludy i ludzie trzymają się we wszystkich wypadkach zwyczaju, i że działają lub postępują z przyzwyczajenia, choćby wbrew rozumowi i ze swoją szkodą; ona zawsze, gdy chce, w jednej chwili sprawia, że szemrają, zmieniają, przyjmują zwyczaje, nałogi, sądy, choćby to, co porzucają, było rozumne, pożyteczne, piękne, przystojne, a to, co przyjmują, było czémś przeciwném.

Z bardzo wielu rzeczy, które w życiu społeczném i w ludziach poszczegóło są istotnie śmieszne, rzadko śmiejemy się, a jeśli je ktoś wyśmiewa, to nie mając sposobności udzielenia śmiechu drugim, wnet przestaje. Przeciwnie, z tysiąca poważnych i najprzystojniejszych, śmiejemy się dzień cały i z łatwością śmiech ten udziela się drugim. Zwykle nawet rzeczy przez nas wyśmiewane są wszystkim, tylko nie śmiesznemi; a przeciwnie wiele wyśmiewamy z téj jedynie przyczyny, że nie są godne śmiechu, czy zupełnie, czy częściowo.

Mówimy i słyszymy nieustannie; *Zacni przodkowie*, albo: *dobrze nasze pradziady*, albo: *człowiek starego kroju* — chcąc rzec: Człowiek porządny i któremu można zaufać. Każda gieneracya wierzy z jednej strony, że przeszłość była lepsza niż terażniejszość, z drugiej strony, że ludy doskonalały się, oddalając coraz bardziej od pierwotnego stanu, ku któremu, gdyby się cofali, stawaliby się rzekomo gorszemi.

Bezwątpienia prawda nie jest piękna. Niemniej przecież rzecz prawdziwa może czasem przynieść przyjemność, a jeżeli na świecie piękno przynosi się nad dobro, to gdzie braknie piękna, dobro przynosi się nad wszystko inne. W miastach wielkich zaś nie widzisz piękna, bo nie ma tam już dlań miejsca. Nie widzisz także prawdy, bo tam każda rzecz jest udana i błaha. Tak, że można rzec, iż nie widzisz, nie słyszysz, nie dotykasz, nie oddychasz niczém prócz fałszem i brzydota. Co dla umysłów głębszych i szlachetnych jest największą męczarnią.

Ci, którzy nie potrzebują sami dbać o własne potrzeby, pozostawiając tę troskę drugim, nie potrafią zwykle zapobiegać albo wcale, albo z wielką trudnością, a zawsze mniej skutecznie niż drudzy najmniejszym wymogom życia. Mówię o zatrudnieniu życia, najważniejszój z potrzeb, której się czyni zadość, podstawiawszy życiu zajęcie bardziej jeszcze nieodzowne niż samo istnienie. Życie bowiem samo przez się nie jest konieczne, gdyż pozbawione szczęśliwości nie jest dobre. Zezwoliwszy więc na życie swoje, pierwszą

i najważniejszą potrzebą jest prowadzenie go w najmniejszej jak można niedoli. Teraz, że z jednej strony życie niezajęte i próżniacze jest najnieszczęśliwsze, z drugiej sposób zajęcia, wśród którego ta niedola najmniej czuć się daje, jest ten, który polega na obserwowaniu siebie i swych potrzeb.

Mówił, że sprzedawanie i kupowanie ludzi staje się użyteczne ludzkości i dodawał, że sztuka szczepienia ospy przeszła do Konstantynopola a stąd do Anglii i Europy z kraju Czerkiesów, gdzie ospa zagrażając życiu i kształtności dzieci i młodzieży szkodziła bardzo handlowi, który prowadzą te ludy swemi dziewczętami.

Opowiadał sam o sobie, że kiedy wyszedłszy ze szkół, wstąpił w świat, postanowił jako młodzieńczyk niedoświadczony a miłośnik prawdy nie chwalić nigdy nikogo i niczego w społeczeństwie ludzkim, chyba, że zda się istotnie pochwały godnym. Ale gdy przeszedł rok jeden, wśród którego strzegł swego postanowienia, a nie i nikt nie zdał mu się godnym pochwały, bojąc się, aby z braku ćwiczenia nie zapomniał wszystkiego, czego w retoryce nauczył się w materii ód i pochwał, porzucił swoje zamiary, a wnet zapomniał o nich zupełnie.

ROZDZIAŁ VI.

Kazał sobie czytywać to tę to owę książkę przeważnie starożytnych i wtrącał czasem w lekturę własne zdanie i jakoby głośny dopisek to w jednej to w drugiej kwestyi.

Gdy mu czytano w Żywotach filozofów napisanych przez Dyozenesa z Laerty, że Chilon zapytany, czém się różnią uczeni od nieuczonych, miał odpowiedzieć — nadziejami szczęścia — rzekł: Dziś dzieje się przeciwnie, gdyż nieuczenni spodziewają się, uczeni nie spodziewają niczego.

Podobnie, gdy mu cytowano w Żywotach, iż Sokrates twierdził, że na świecie jest jedno dobro, to jest wiedza, i jedno zło, to jest nieświadomość, wtrącił: O wiedzy i nieświadomości starożytnych nie wiem nic, dziś jednak odwróciłbym to zdanie.

Gdy mu z téjże samej książki odczytano dogmat Hegazyaszów: Mądry, cokolwiek czyni, czyni to na własny pożytek, rzekł: Jeśli wszyscy, co postępują w ten sposób, są filozofami, niechże zstąpi Plato, i urzeczywistni swą rzeczpospolitą w całym cywilizowanym świecie.

Objasniał długo pewne zdanie Biona borystenejskiego, podane przez tegoż Laercyusza, że najbardziej umęczeni są ci, co szukają większej szczęśliwości. I dodawał, że odwrotnie najszcze-

śliwi są ci, co potrafią lub co zwykli żywić się najmniejszą ilością szczęścia a choć minęło, nawracać je ku sobie mocą pamięci.

Odnosił do różnych epok cywilizacji zdanie greckie opiewające: Młodzi działają, dojrzały radzą, starzy pożądamy; tłumacząc, że wiekowi obecnemu nie pozostaje istotnie nic prócz pożądania.

Na jeden ustęp z Plutarcha opiewający: Oburzyli się Spartanie czelnością i grubym żartem Stratoklesa, który namówił lud składać ofiary za zwycięstwo; a gdy potem po nadejściu wieści o klęsce lud mu czynił wyrzuty, odpowiedział: Jakaż wam uczyniłem krzywdę, żem was trzymał w weselu i uciecie przez trzy dni?—Ottonierzy odezwał się: Coś podobnego możnaby powiedzieć tym, co skarżą się na naturę, zarzucając jej, że ukrywa przed wszystkimi, jaka jest sama przez się, i podaje za prawdę pozory, piękne jednak i przyjemne: Jakaż krzywdę wam czynię, trzymając was w weselu przez 3 lub 4 dni? A innym razem mówił, że do naszego rodzaju można przystosować ze względu na naturalne wady człowieka to, co o dziecku, któremu podano lekarstwo, łudzając je, powiedział Tasso: Omamienie zachowało je przy życiu.

Gdy w Paradoksach Cycerona czytano mu ustęp (który na nasz język da się przełożyć tak): Czyni-ż może rozkosz człowieka większym i zacniejszym i jest-że może kto, co uciechą się chępli i puszy? — zawołał: Luby Cyceronie, aby nowożytni rozkoszą stawali się lepsi, rzec nie chcę, ale bardziej chwaleni — niezaprzeczenie. Musisz także wiedzieć, że dziś tę jedyną drogę pochwały obierają i przebywają prawie wszyscy młodzieńcy, to jest drogę idącą przez rozkosze. Których dostąpiwszy, nietylko się chęplią i opowiadają o nich bez końca, znajomym i obcym i kto chce słuchać i kto nie chce, ale przeciwnie pożądamy ich i dostarczają sobie niejako rozkoszy jako warunek pochwały i sławy i przedmiot chępliwości i nieraz rozpowiadają o nich nie skosztowawszy, nie szukawszy ich nawet.

Zaznaczał w historii Arryana o wyprawach Aleksandra Wielkiego, że w dzień bitwy pod Issus Daryusz umieścił najemne rotę greckie na czele wojska, poczem Aleksander postawił swoich zaciętych Greków na skrzydłach; — i rozumiał, że z tej jednej okoliczności można już było przewidzieć wynik bitwy.

Nie ganił, owszem chwalił i lubił, że pisarze rozprawiają wiele o sobie samych, bo powiadał, że prawie wszyscy są wtedy wymowni, styl ich gładki i wyborowy, nawet wbrew naturze albo czasu, albo narodu, albo swojej własnej. W czym nic dziwnego, bo ci, co piszą o własnych sprawach, mają umysł mocno zajęty i opanowany przedmiotem, nie myślą się nigdy ani co do myśli, ani uczuć poczętych z tego przedmiotu w ich duszy, a uwagi te nie są przeniesione ani zaczerpnięte z obcych źródeł, nie są pospolite

ani przetarte. Łatwo oni opuszczają ozdoby przez się nieskromne, użyte nie w porę, z fałszywym wdziękiem, ludzące pozorami, fałszujące zapal i wogóle nienaturalne. I że nieprawdą jest, aby czytelnicy zwykle mało o to dbali, co pisarze mówią o sobie samych; naprzód, że wszystko, co pisarz myśli i czuje istotnie, to opowiada sposobem prostym i właściwym, budzi uwagę i wzrusza; potem, że nigdy nie przedstawia się ani omawia z większą prawdą i skutkiem spraw cudzych, jak gdy się rozprawia o swoich, zważywszy, że ludzie podobni są sobie własnościami tak wrodzonymi jak przypadkowymi i że funkcyje życia, badając je w samym sobie, widzi się lepiej, niż badając je u drugich. Na potwierdzenie tej prawdy przytaczał między innymi mowę Demostenesa: *O wieniec*, gdzie mówca mówiąc ciągle o sobie, sam się przechodzi wymową. Cyceronowi zdarza się to często, gdy dotyka spraw własnych, co się spostrzega szczególnie w *Milonianach*, prześlicznych, ale najpiękniejszych przy końcu, gdzie autor siebie na scenę wprowadza. Najszczytniejszym i najwymowniejszym ustępem w mowach Bossueta jest ten, gdzie kończąc pochwałę księcia Kondeusza mówca wspomina własną starość i blizką śmierć. Między pismami cesarza Juliana, który zresztą jest nieznośnym sofistą, najrozsądniejsza i najładniejsza jest pogadanka zatytułowana *Misopogone*, t. j. Przeciw brodzie, którą odpowiadał na złośliwe zaczepki Antyochejczyków. A to dziełko właśnie, innych zalet nie wspominając, niewiele jest niższe od Lukianowych ani komizmem wdzięcznym, ani liczbą, trafnością i wesołością żartów; podczas gdy w dyalogu: *O cesarzach*, równie naśladowanym z Lukiana, autor jest niezgrabny, niedowcipny, a nad wszystkie braki niedołężny i jakoby nie spełna rozumu. Między Włochami, nieposiadającymi zresztą prawie wcale arcydzieł wymowy, *Apologia Wawrzyńca Medycejskiego* jest wzorem świetnej wymowy skończonym pod każdym względem; a Torkwato Tasso także nierzadko wymowny jest w prozie, gdzie mówi o sobie samym, i prawie zawsze w listach, gdzie oczywiście rozprawia w większej części o własnych sprawach.

ROZDZIAŁ VII.

Przypominają téż trafne jego zdanie i odpowiedzi, jak owa, dana pewnemu młodzieńcowi bardzo uczonemu lecz niedoświadczonemu, który mówił, że z ksiąg sztuki życia i poznania ludzi sto kart na dzień nauczyć się można. Odpowiedział Ottonieri: Ale książka ta ma pięć milionów kart.

Innemu młodzieńcowi lekkiemu i zuchwałemu, który szydząc

z tych, co mu wytykali złe popełniane codziennie i wstyd, jaki żeń odnosi, zwykł był odpowiadać, że na życie nie trzeba bardziej zważać niż na komedię — odparł raz Ottonieri: I na komedyi lepiej odebrać oklaski niż być wygwizdanym, a komedyant nie biegle w swym kunszcie albo fałszywie rolę pojmujący nakoniec ginie z głodu.

Gdy sierzanci miejscy pochwycili zbrodniarza, który, że był kulawy, po spełnieniu zbrodni nie mógł uciec, mówił: Widzicie, przyjaciele, że sprawiedliwość, choć ślepa, dosięgnie winowajcy, jeżeli ten jest kulawy.

Gdy podróżował przez Włochy a pewien dworzanin, gdzie — nie pomnę, chcąc mu dociąć, odezwał się: Powiem ci otwarcie, jeśli pozwolić *raczysz*, odplacił mu słowami: I owszem miło mi będzie słuchać cię, gdyż w podróży szuka się rzeczy rzadkich.

Gdy zmuszony był nie wiem jaką koniecznością żądać od kogoś pożyczki, a ów tłómacząc się brakiem, zaręczał, że gdyby był bogatym, nie miałby innego celu jak zapobiegać potrzebom przyjaciół, odpowiedział Ottonieri: Żal-by mi było, gdybyś nad nas nie miał innego celu; prosić będę Boga, aby cię nigdy nie uczynił bogatym.

Gdy pewien młody człowiek napisał wiersz i użył w nim wyrazów przestarzałych, a jedna sędziwa dama, której on, proszony, wiersz ów odczytywał, odezwała się, że nie rozumie, gdyż wyrazy takie za jej czasów już nie były w obiegu, odrzekł: I ja nie wiem, aby *obiegać* mogły, są bowiem nadzwyczaj stare.

O bogatym skąpcu, któremu skradziono nieznaczną sumę, wyrzucił się, że okazał skąpstwo nawet złodziejom.

O pewnym kalkulatorze, który o wszystkiém, cokolwiek wiedział lub słyszał, natychmiast zdawał rachunek, mówił: Inni czynią, on liczy.

O głupcu twierdzącym, że umie wybornie wnioskować i w rozmowie co drugie słowo przypominał logikę, rzekł: Oto człowiek prawdziwie według definicyi greckiej: Zwierzę logiczne.

Umierając ułożył sam następujący napis, który mu później wyryto na grobie:

Kości
Filipa Ottonieri'ego
Urodzonego do czynów znacznych
I do sławy;
Po życiu beczynném i bezużyteczném
Zmarłego w pospolitość,
Świadomego natury
I swego
Przeznaczenia.

12. Pochwała ptastwa.

Ameliusz, filozof-samotnik, siedząc pewnego wiosennego ranka nad książkami w cieniu swego wiejskiego domu i czytając, oderwany od tego zajęcia śpiewem ptaków na polach, coraz pilniej wsłuchując się weń i zastanawiając nad nim, przestał czytać, a wzięwszy wreszcie w rękę pióro, na tém samym miejscu spisał, co następuje:

Z przyrodzenia swego są ptaki najweselszemi stworzeniami na świecie. Rozumiem nie dlatego, że gdy widzisz je lub słyszysz, zawsze cię rozwesela; ale uważane same w sobie większej zaznają wesołości i swobody niż inne stworzenia. Inne zwierzęta, jak wiadomo, są zwykle surowe i poważne, wiele nawet wydaje się ponuremi; rzadko objawiają uciechę, i to niegłośną i krótką; w większej części uciech swoich i przyjemności nie bawią się ani nie zdradzają żadnej radości; wśród zielonych pól, na pagórkach otwartych i uroczych, w jasnym słońcu, w powietrzu kryształowym i słodkiem, choć doznają rozkoszy, po nich się to po nich nie pozna, z wyjątkiem zajęcy, co mają w noc księżycową a zwłaszcza na pełni wyprawiać stadem skoki i tany, uradowane jasną światłością, jak podaje Ksenofont. Tę wesołą naturę objawiają ptaki głównie postacią i zwinnymi ruchy i nie z inąd pochodzi ów przymiot rozweselenia nas swym widokiem, jak że ich kształt i zachowanie się wyrażają zdolność i szczególny nastrój do zażywania przyjemności i wesela, które to objawy nie są ani mało znaczące, ani złudne. Śród każdej uciechy i zadowolenia śpiewają a im większe są one, tém więcej do śpiewu przykładają pilności i sztuki. Ze zaś śpiewają prawie ustawicznie, można stąd wnieść, że prawie ustawicznie są w dobrym humorze. A choć dobrze ktoś zauważył, że w porze zabaw miłosnych śpiewają lepiej i częściej i dłużej, nie trzeba dlatego sądzić, aby do śpiewu budziły je jedynie igraszki i rozkosze miłosne. Spostrzedz bowiem łatwo, że w dzień pogodny i spokojny śpiewają żywiej, niż w chmurny i wietrzny, a podczas burzy milkną, jak milkną zawsze doświadczając strachu; dopiero gdy minie, zaczynają nanowo nucić i grać z sobą na wyścigi. Podobnie widzi się, że zwykły śpiewać rankiem obudziwszy się, co wynika częścią z radości oglądania uroczonego dnia, częścią z tego zadowolenia, którego doznaje każde zwierzę czując się obudzonem i pokrzepionem. Cieszą się także niezmiernie z zieloności świeżej, z bujnie zarosłych dolin, z źródeł czystych i lyskliwych, z pięknej okolicy. A tu rzeczą jest godną uwagi, że to, co nam

wydaje się wdzięcznym i pięknym, im równie takim się przedstawia, co można osądzić z przynęt, któremi się je zwabia do sieci lub na lep w klatkach i ogrodzeniach. Można to też osądzić z połączenia tych miejsc na polach i w gajach, gdzie zwykle ptaki zbierają się gromadniej i wyśpiewują dłużej i z większym zapalem. Podczas gdy inne zwierzęta prócz tych, które są oswojone i przyzwyczajone do życia wśród ludzi, albo wcale nie albo w małej dozie zdają się mieć to samo co my pojęcie o wdziękach i przepychu natury. I nie dziw; nie potrafią się bowiem cieszyć niczym prócz naturą. A w naszym świecie większa część rzeczy, które my nazywamy naturalnymi, nie są niemi: jakoto, pola uprawne, drzewa i zioła wyhodowane i uporządkowane w ład; rzeki wieśniane w pewne granice i zwrócone w pewien kierunek i tym podobne straciły charakter i kształt, jakie miały dane z natury. Tak, że postać każdego kraju zamieszkałego przez jakąś gienieracją cywilizowanej ludzkości,—nie biorąc już pod uwagę miast, gdzie ludzie skupiają się na wspólne pożycie, jest rzeczą sztuczną i różną od tej, jakaby się przedstawiać mogła w naturze. Mówią niektórzy i zgadzałoby się to z naszymi twierdzeniami, że głos ptaków jest miłszy i słodszy a śpiew bardziej ukształcony w naszych okolicach, niż tam, gdzie mieszkańcy są dzicy i barbarzyńscy,—i dodają, że ptaki, choć wolne, przejmują przecież cośkolwiek z tej cywilizacji, w siedzibie której zostały przyswojone.

Czy prawdę mówią, czy nie, zawsze godna uwagi jest ta zapobiegliwość natury, dającej temuż samemu gatunkowi ptaków równocześnie własność śpiewu i lotu; przez wzgląd, aby istoty, które mają resztę stworzeń zabawiać swym głosem, mogły wnieść się na punkt wywyższony, a śpiew rozbrzmiał wkoło na szersze przestrzenie i doszedł ucha większej liczby słuchaczy; jak równie przez wzgląd, aby powietrze, żywiol poświęcony głosowi, zaludniło się rzeszą śpiewną i muzykalną. Istotnie wielką niesie pociechę i rozkosz, niemniej — sędzę — zwierzętom jak ludziom, śpiew ptaszczy. Sędzę zaś, że dzieje się to głównie nie mocą lubości dźwięków, jakiegokolwiek były; ani ich różnorodnością, ani siłą ich harmonii, ale wyobrażeniem wesołości, która mieści się sposobem przyrodzonym, czy w śpiewie wogóle, czy w szczególności w śpiewie ptaków. Który jest niejako śmiechem ptaków, odzywających się nim, kiedy się czują w pełni ochoty i zadowolenia.

Stąd możnaby poniekąd twierdzić, że ptaki dzielą z człowiekiem przywilej śmiechu, nieznanego innym stworzeniom; dlatego niektórzy powiadają, że jeśli definicyą człowieka jest: istota duchowa i rozumna, podobnie wyczerpującą byłaby definicyą zowiąca go: zwierzęciem śmiechliwym; uważając, że śmiech tak samo jest

człowiekowi jedynie właściwy, jak rozum. A rzecz niewątpliwie dziwna, że w człowieku, istocie najbardziej pogńębionj i nędznej, mieści się taka zdolność śmiechu, obca reszcie stworzeń. Dziwny także użytek, z tój zdolności czyniony; bo zdarza się widzié ludzi w strasznym jakimś wypadku, w niezwykłym pogńębieniu, w obrzydzeniu prawie miłości życia, w głębokim przeświadczeniu o marności wszech dóbr ludzkich; niezdolnych prawie już żadnej radości, żadnej nadziei; — a przecież śmiejących się. A nawet, im lepiej poznają nicość przerwanych dóbr i niedolę życia; im mniej pozostanie w nich nadziei a tém samém powodów uciechy, tém gwałtowniej zwykli być niektórzy ludzie skłonni do śmiechu. A jego istotę wogóle, jego pochodzenie i rodzaje zwłaszcza ze względu na stronę duchową zaledwo można zbadać i określić, mówiąc, że śmiech jest przejawem nietrwałego lecz chwilowego szafu lub majacznego obłąkania, ponieważ ludzie, nie dostępując właściwie nigdy z żadnej rzeczy zadowolenia i rozkoszy, nie mogą mieć doń rozumnych i słusznych powodów. Przecież ciekawą byłoby rzeczą zbadać, gdzie i przy jakiej okazji został człowiek po raz pierwszy przywiedziony do użycia i poznania tój swojej zdolności. Nie podlega bowiem wątpliwości, że w pierwotnym dzikim stanie przedstawiał postać poważną, jak inne zwierzęta, a twarz nawet ponurą. Stąd mniemam, że śmiech nietylko wyprzedzony był płaczem, co zresztą nie ulega wątpliwości, lecz że upłynęło sporo czasu, nim go po raz pierwszy doświadczone i poznano. A w tój epoce, ani matka uśmiechała się do dziecka, ani ono poznawało ją uśmiechem, jak mówi Wergiliusz. Tak, że dziś, przynajmniej tam, gdzie ustaliła się cywilizacya, zaczynają ludzie śmiać się już krótko po urodzeniu; a czynią to głównie mocą przykładu, widząc, że inni się śmieją. Skłonny byłbym do domysłu, że pierwszą okazją i przyczynę śmiechu dało pijaństwo, drugi objaw osobliwy i właściwy ludziom, którego początki sięgają czasów wyprzedzających o wiele pierwsze kroki cywilizacyi; wiemy bowiem, że nie istnieje dziś plemię tak dzikie, aby nie wynalazło sobie jakiegoś napoju albo środka upajania się i nie zwykło było używać ich nałogowo. Czemu dziwić się nie trzeba, zważywszy, że ludzie jak są między wszystkimi zwierzętami najniebezpieczliwsi, tak większą niż wszystkie inne znajdują rozkosz w niebolesném rozerwaniu myśli, w zapomnieniu siebie samych, w przerwaniu, że tak powiem, życia; a zatrzymując na czas pewien i głuszac poczucie i rozeznanie swój niedoli, niemają doświadczać ulgi. Co zaś do śmiechu, to widzi się, że dzicy, choć z wejrzenia poważni i smutni w innym czasie, w chwili upojenia śmieją się pełnią śmiechu, gadają nawet dużo i śpiewają wbrew zwyczajowi. Lecz o tém wszystkim

rozpiszę się szerzej w historii śmiechu, którą napisać zamierzam; gdzie zebrawszy, jakie dadzą się znaleźć ślady jego pierwotności, opowiem czyny jego i wypadki i losy aż do dni dzisiejszych, kiedy większą posiada wartość i godność niż dawniej zabierając w narodach cywilizowanych wyższe stanowisko i dzierząc funkcje, któremi dopełnia poniekąd czynności wykonywanych dawniej przez enotę, sprawiedliwość, honor i tym podobne; a w wielu razach powściągając i odstrasżając ludzi od występków. Kończąc teraz o śpiewie ptaków, powiem, że ponieważ wesołość widziana i uważana w drugich, jeżeli tylko nie budzi zazdrości, pociesza i rozwesela, bardzo chwalebnie urządziła natura, że śpiew ptaków, będący objawem uciechy i rodzajem śmiechu, uczyniła jawnym, podczas gdy śpiew i śmiech ludzki, przez wzgląd na resztę świata, pozostały odosobnione; bardzo też uczyniła mądrze, że ziemię i powietrze zaludniła stworzeniami, które przez cały dzień wydają odgłosy radości brzmiącej i uroczystej, jakoby przychwały życiu wszechświata i zachęcały inne istoty do radości, dając ustawicznie choć uludne świadectwo szczęśliwości świata.

A że ptaki są i wydają się weselszemi niż inne zwierzęta, przyczyna tego jest ważna. Istotnie, jak zaznaczyłem już z początku, są one z natury bardziej nastrojone do uciechy i szczęścia. Naprzód, nie zdaje się, aby podlegały nudzie. Ustawicznie zmieniają siedzibę; przelatują z kraju do kraju choćby najdalszego i wylatują z najniższych stref powietrza w najwyższe z dziwną szybkością i łatwością, widzą i kosztują w swém życiu nieskończenie różnych rzeczy; oddają się bez przerwy ćwiczeniom cielesnym; cieszą się pełnią otaczającego je życia. Wszystkie inne zwierzęta jeśli ich potrzeby są zaspokojone, lubią odpoczywać w bezczynności: żadne obok nich, jedynie tylko ryby i niektóre jeszcze latające owady, nie wyprawiają długich gonitw dla uciechy. Tak człowiek dziki, wyjawszy gdy zapobiegając z dnia na dzień swoim potrzebom, które reszta nie wymagają długiej i ciężkiej pracy, albo gdy mu burza, albo dzikie zwierzę albo inne niebezpieczeństwo nie grozi, zwykł zaledwo ruszać się krokiem; lubi nade wszystko spokój i zanedbunie; przesiaduje cały dzień prawie nie dbale i cicho w swój bezkształtny hacie, lub pod gołém niebem, lub w załomach i jaskiniach skał i gór. Ptaki przeciwnie rzadko przestają na jedném miejscu; przelatują ustawicznie tam i sam bez istotnej potrzeby; w samém lataniu znajdują igraszkę, i czasem dla zabawy uleciawszy wiele mil po-za miejsce swego zwyczajnego pobytu, wieczorem tego samego dnia napowrót przyciągają. A nawet podczas tej krótkiej chwili, kiedy siedzą na gałęzi, nie ujrzyz, aby zachowywały się spokojnie; bezustannie kręcą się to na jedne

to na drugą stronę, pochylają, wyciągają, trzepią, przechadzają się, ze zwrotnością, zwinnością, żywością ruchów niezwykłą. Słowem, odkaś ptak wykluje się z jaja, aż póki nie umrze, z wyjątkiem przerw snu, ani na chwilę nie spocznie. Z tych względów można by — zdaje się — twierdzić, że naturalnym i zwyczajnym stanem reszty zwierząt, wliczając jeszcze człowieka, jest spokój; ptaków zaś ruchliwość.

Tym przymiotom i usposobieniu zewnętrznemu odpowiadają wewnętrzne, to jest duchowe, mocą których ptaki zdolniejsze są szczęśliwości niż inne stworzenia. Mając delikatny słuch a wzrok bystry i doskonały tak, że umysł nasz z trudnością zaledwie może utworzyć sobie o nim pojęcie; używają mocą tych przymiotów dzień cały niezliczonych i najróżniejszych widoków i z wysoka spostrzegają w jednej chwili taką przestrzeń ziemi i obejmują okiem tak rozległy widnokrąg, jakiego człowiek w jednym momencie nawet myślał pochwycić nie może; z czego wniesć można, że muszą być obdarzone nadzwyczajną siłą i żywością oraz niezmierną dzielnością wyobraźni. Nie téj wyobraźni głębokiej, ognistej, burzliwej Dantego i Tassa, która jest darem żalobnym, źródłem mozołu i ustawicznego bólu; lecz bogatej, przelotnej, niestałej, dziecinnej, która jest skarbnicą myśli lubych i wesołych, słodkich ułud, przyjemności i pociech; najwyższym i najobfitszym darem natury udzielonym łaskawie istotom żywym. W ten sposób czerpią ptaki z tego źródła obficie dobra i pożytki wesołości, nie tykając tego, co w niem szkodliwe i bolesne. A jak oddychają pełnią życia zewnętrznego, tak cieszą się całym zasobem wewnętrznego, lecz z téj pełni wynika dla nich jedynie rozkosz i dobro, jak dla dzieci, nie zaś szkoda i niedola jak dla większej części ludzi. Stąd téż jak ową ruchliwością i żywością ciała ptak widocznie zbliżony jest do dziecka, podobnie zbliżyć się doń musi — ile wnioskować wolno — usposobieniem ducha. A gdyby dobra tego wieku były dane i innym, a zło niż w tym nie stawało się większe w innych, skłonilby się człowiek znosić życie cierpliwie.

Zdaniem mojem natura ptaków uważana z pewnej strony przewyższa doskonałością naturę reszty zwierząt. Jeżeli zważy się na przykład, że ptak przechodzi je o wiele siłą wzroku i słuchu, które w szeregu przyrodzonych władz świata zwierzęcego są najważniejszymi zmysłami, to wyciągnąć stąd można wniosek, że ustrój ptaków jest o wiele wyższy od ich ustroju. Że zaś prócz tego inne zwierzęta, jak się podało wyżej, posiadają naturalną skłonność do spoczynku podczas gdy ptaki do ruchu, a ruch mieści w sobie więcej życia niż spokój, boć życie na ruchu polega, że więc ptaki wykonywają większą niż one sumę ruchów zewnętr-

nych; że przytém wzrok i słuch energiczniejsze u nich niż w innych i doskonalsze niż inne zmysły rozwinięte są zmysłami najnieodzowniejszemi istotom żywym, najżywszemi i najruchliwszemi tak same w sobie, jak w skutek czynności funkcyj spełnianych czy to w istocie żywej czy po za nią; że wreszcie przystępują tu inne okoliczności wymienione wyżej, można twierdzić, że ptaki posiadają bogatszą sumę wewnętrzną i zewnętrzną żywotności, niż reszta zwierząt.

Nakoniec powiem, że jak Anakreon pragnął zmienić się w zwierciadło, by się w nim ciągle przeglądała ukochana, albo w sukienkę, by się nim okryła, albo maść wonną, by się nim namaszczała, albo w wodę, by się umywała, albo wstążkę, by go cisnęła do piersi, albo perłę, by go sobie wieszała na szyi, albo w trzewik, by go przynajmniej obuwała; — tak ja chciałbym na czas krótki przedzierzgnąć się w ptaka, by użyć owego ich zadowolenia i wesela.

13. Śpiew leśnego koguta.

Utrzymują niektórzy mistrzowie i pisarze hebrajscy, że między niebem a ziemią albo raczej na pół w jednym, na pół w drugim żyje dziki kogut opierający się stopami ziemi i dotykający grzebieniem i dziobem nieba. Ten olbrzymi ptak, prócz różnych właściwości wymienionych u owych autorów, posiada rozum, czy też na podobieństwo papugi wyuczony został nie wiem przez kogo wymawiać wyrazy na kształt ludzkich; znajduje się bowiem w starożytnym jednym pergaminie zapisanym głoskami hebrajskimi, językiem niby chaldejskim, niby targumickim, językiem rabinów, kabały i talmudu, śpiew zatytułowany: *Szir detar-negol bara lecafra*, t. j. *Ranna pieśń leśnego koguta*, który, nie bez wielkiego trudu, nie bez licznych konferencyj z rabinami, kabalistami, teologami, prawnikami i filozofami hebrajskimi, nakoniec zrozumiałem i przenieśliem na nasz język, jak się dalej czyta. Nie mogłem do téj pory odkryć, czy ten kogut powtarza swą pieśń od czasu do czasu, czy każdego ranka, lub czy ją tylko raz jedyny zapiał; kto go słyszy lub kto go słyszał i czy ten język jest właściwym językiem koguta, czy też pieśń swą zasłyszał gdzie indziej. Bądź co bądź, w przekładzie niniejszej gawędy, który chciałem uczynić jak najwierniejszym (i przeto przyłożyłem

doń wszelkiej pilności), zdało mi się stosowniejszą rzeczą użyć raczej prozy niż wiersza, choć to jest poezya. Styl przerywany i nieraz napuszysty wynalazkiem jest nie moim, lecz jest przystosowany do tekstu, którego język zwłaszcza w poetyckich zwrotach objawia charakter wschodni.

„Hej, śmiertelni, obudźcie się. Dzień się rodzi nanowo, rzeczywistość wraca na ziemię, ulatują niecielesne widma. Wstańcie, podejmcie znów brzemię żywota, z fałszywego świata zstąpcie na prawdziwy.

„Niech każdy w tej chwili zbierze i przeliczy w duszy wszystkie myśli obecnego życia; przywoła na pamięć zamysły, badania, zajęcia; wyznacz sobie uciechy i trudy, których ma użyć w nowego dnia przestrzeni. A każdy w tym momencie pożąda goręcej niż zwykle znaleźć w myśli lub nadzieje i słodkie marzenia. A niewielu tylko osiągnie pożądań swych spełnienie; każdy się ocknie na niedolę. Nieszczęśliwy nie wprzód senna od powiek odpędzi, aż znów w ramiona nędzy popadnie. Słodką jest rzeczą ów sen, na ukołysanie którego śpieszy radość lub nadzieja. Jedna i druga aż do brzasku następnego dnia trwa wiernie i cało; później ucieka lub blednie.

„Gdyby sen ludzki trwał nieskończenie; gdyby był tém samym, co życie; gdyby pod gwiazdą dzienną wśród zadrzemaniam w głębszej ciszy wszystkich istot żywych ustała wszelka praca; ryk bydła na łąkach, w boru dzikich zwierząt wołanie, w powietrzu ptaków śpiew, a na łąkach szumy i brzęki pszczół i motyli; gdyby z żadnej strony nie doszedł nigdy żaden ruch i głos, chyba brzmienia potoków, wiatrów i burzy: —nieużyteczny byłby wtedy wszechświat, to prawda, ale czy byłoby mniej szczęścia wtedy niż dziś, lub więcej bólesci? Ciebie pytam. słońce, twórcu dnia i stróżu czuwania: czy w kolei wieków zużytych aż po dzień dzisiejszy na ciągłym wstawaniu i zapadaniu widziałoś kiedy jednego między ludźmi szczęśliwego? Z niezliczonych dzieł ludzkich, które oglądałoś, czy sądzisz, że choć jedno spełniło zadanie swe, to jest zadowolilo trwale lub chwilowo swego twórcę? Czy spostrzegasz obecnie lub czy widziałoś kiedy szczęśliwość w granicach świata? Na przestronnych polach, w lesie, na górze, w dolinie, w kraju ludnym, czy na puszczy, na którejkolwiek z planet oświeconych i ogrzanych twemi żarą?

„Może kryje się przed twym wzrokiem, siedząc na dnie jaskini albo w głębokości ścian ziemi lub morza? Gdzie istota obdarzona życiem, coby jej zaznała? może posiada ją roślina, co tobą był swój podtrzymuje; może inna kreatura oddychająca zwierzęciem lub roślinnym życiem? A ty, sarno, ty co jak niestrudzony olbrzym

ruchem szybkim, dniem i nocą bez snu ni spoczynku przebiegasz niezmierzoną, przepisaną ci drogę; jesteś nędzne czy szczęśliwe?

„Obudźcie się, śmiertelni. Nie jesteście jeszcze uwolnieni od życia. Przyjdzie czas, że żadna zewnętrzna moc, żaden ruch nie zakłóci wam spokoju snu; że w nim spoczniecie wiecznie i nie-nasytlenie. Na teraz nie dozwolona wam jeszcze śmierć; od czasu do czasu jedynie na krótko jęj obraz ku wam zstępuje. Bo życie trwałoby nie mogło, gdyby często nie było przerywane. Przydłuższy brak tego krótkiego i nikłego snu jest przez się złem śmiertelnym, przyczyną wiecznego uspienia. Taką dolą jest życie, że aby je znieść, potrzeba od czasu do czasu, złożywszy je, nabrać ducha i pokrzepić się przedsmakiem i jakoby częścią śmierci.

„Zda się, że wszelki byt ma śmierć swym własnym i jedynym celem. Chociaż nie może umrzeć to, czego nie było, przecież z niczego biorą się rzeczy, co istnieją. A niezawodnie ostatnim celem bytu nie jest szczęśliwość; nie widzisz bowiem, by coś było szczęśliwe. Prawda, że istoty myślące ten cel mają przed oczyma w każdym dziele swoim; lecz nie dopną go nigdy, w całym swym życiu siląc się, krzając i cierpiąc zawsze; nie dla czego innego znoszą ból i trudy, jak aby zdobyć ten jedyny cel natury, którym jest śmierć.

„Zawsze jednak pierwsze chwile dnia najznośniejsze są śmiertelnym. Niewielu budząc się znajdują w duszy myśli rozkoszne i radosne, lecz tworzą się one i wysnuwają jakby w jednej chwili, bo umysł w tój porze nieopanowany jeszcze żadnym przedmiotem szczególnym i ograniczonym skłania się nadewszystko ku uciezce i ochotniejszy jest niż zwykle do pobłażania cierpieniu. Stąd, jeśli ktoś zasypiając ogarniony był uczuciem rozpacz, budząc się znajduje nanowo nadzieję, choćby jęj marność był świadom. A klęski i dolegliwości własne, przedmioty strachu i bólu, wydają się w tój porze drobniejsze niż poprzedniego wieczoru. Często nawet obawy minionego dnia przedstawia się obecnie nikłe i śmieszne, jako skutki błędu i przywidzenia. Wieczór podobny jest do starości; przeciwnie świt ranka do pory młodości; ten zawsze pocieszony, ufający; ów przygnębiony, oczekujący nieszczęścia. Ale jak młodość życia, tak owa, której śmiertelni każdego zaznają rana, krótka jest i przelotna; a wnet i dzień przemienia się im w wiek dojrzały.

„Kwiat żywota, choć jest jego częścią najlepszą, pełen jest nędzy. W tym, nawet tak krótkim czasie pozbawiony jest dobra, bo ledwo po wielu znakach zrozumiał człowiek skłonności swojego jestestwa, za ledwo przeczuł jego doskonałość lub doświadczył pełni sił własnych, już one w nim zanikają. W każdym rodzaju istot

żyjących przeważna część życia jest zanikaniem. Tak w każdym dziele swém natura skłania się i dąży ku śmierci i nie dla innej przyczyny tak długotrwałą i wyraźną ma przewagę starość w życiu i świecie. Każda cząstka wszechświata pośpiesza niestrudżonym biegiem ku śmierci, a dziwna jest jej chyżość i żarliwość. Sam tylko wszechświat zda się nie zagrożony omdleniem i upadkiem; bo choć w jesieni i zimie przedstawia się niedołężny i stary, zawsze przecież odmładza się nową porą. Ale jak ziemskie stworzenia, choć w poczęciu każdego dnia odzyskują część młodości, niemniej każdego dnia się starzeją i nareszcie giną, podobnie świat, choć odmładza się z początkiem każdego roku, ciągle przecież pochyla się ku starości. Przyjdzie czas, kiedy ten świat i natura sama zaginie. I jak z wielkich królestw i państw i ich cudownych ruchów tak bardzo głośnych w czasie prastarym nie zostało dziś śladu i pamięć o nich przebrzmiała, podobnie o dzisiejszym świecie, o losach i kłeskach stworzenia nie pozostanie ni znaku; nagie milczenie i nieskończony spokój napelną przestrzeń bezgraniczną. W ten sposób dziwna i groźna tajemnica istnienia wszech rzeczy, nim zostanie objaśniona i pojęta, zapadnie i ztraci się”.

14. Fragment apokryficzny Stratona z Lampsaku.

Fragment niniejszy, który ja dla rozrywki przełożyłem na nasz język z greckiego, mieścił się w starym manuskrypcie, który był zachowany przed kilku laty i jest może dziś jeszcze w bibliotece mniszkiej na górze Atos. Nazywam go *Fragmentem apokryficznym*, bo, jak każdy zauważy, to co się czyta w rozdziale o końcu świata, nie mogło być napisane, jak przed niewielu laty, podczas gdy Stratona z Lampsaku, filozof szkoły perypatetyków, zwany fizykiem, żył na trzysta lat przed erą chrześcijańską. Prawda że rozdział o *Początku świata* zgadza się poniekąd z temi zdaniem, które nam po nim zostały w szczupłej liczbie u pisarzy starożytnych. Można by zatem zgodzić się, że pierwszy rozdział, a może i początek drugiego są istotnie napisane przez Stratona; resztę dodał jakiś uczony Grek nie dawniej jak w minioném stuleciu. Niech światli czytelnicy zbadają to sami.

A. O początku świata.

Wszystkie ciała jak giną i znajdują swój koniec, tak się niegdyś i poczęły. Jak więc ze spostrzeżenia, że ciała rosną i znikają, a wreszcie rozpadają się, wnosić można, że nie istnieją przez się od wieków lecz są poczęte i zrodzone, tak wolno wierzyć, że na odwrót to, co nigdy nie wzrasta, ni się zeszczupla, ni ginie, nie pochodzi z niczego. I w istocie, żadnym sposobem dowieśćby nie można, iż gdyby jeden z tych argumentów był fałszywy, drugi mógł mimo to nosić piętno prawdy. Ale ponieważ jesteśmy przekonani o rzetelności pierwszego, możemy to samo przyznać drugiemu. Widzimy zaś, że materya nie wzrasta nigdy ni o najdrobniejszą cząstkę, a równie najmniejsza jej szczypta nie ginie, tak, że materya nie podlega zgubie. Przeróżne postaci tej materyi, w tém, co nazywamy ciałami, są śmiertelne i przejściowe, nie spotyka się jednak śladu znikomości i śmiertelności w materyi wszechświata, ani znaku, by się kiedykolwiek poczęła albo by potrzebowała dawniej lub obecnie przyczyny lub siły zewnętrznej. Świat, to jest objaw materyi w tej a w tej postaci, jest rzeczą poczętą i znikomą. Powiedzmy teraz o początku świata.

Materya w szerszym znaczeniu, jak rośliny i istoty żywe wszechności, zawiera w sobie z natury jedną lub więcej własnych sił popychających ją i poruszających ustawicznie w różnych kierunkach. Których sił możemy domyślić się a nawet oznaczyć je po skutkach, lecz nigdy poznać ich istotę i naturę. Nie wiemy nawet, czy te skutki, które my przypisujemy jednej sile, wynikają istotnie z jednej czy z większej ich liczby i nawzajem, czy te siły, które my oznaczamy różnemi nazwami, są istotnie wielorakie, czy znoszą się do jednej. Na podobieństwo jak codziennie różnemi wyrazami nazywa człowiek tę samą namiętność lub siłę; tak na przykład: ambicya, zalotność i t. p., których skutki są raz odmienne tylko a raz wprost przeciwne, są w rzeczy samej namiętnością tą samą—miłością własną działającą w różnych wypadkach rozmaicie. Te więc siły, albo—rzec należy—ta siła materyi poruszając ją—jak się rzekło—i przerabiając ustawicznie, tworzy z niej niezliczone istoty, to jest przekształca w najróżniejszy sposób. A tworzy te, pojęte wszystkie razem i uważane w podziale na różne rodzaje i gatunki, połączone między sobą pewnemi prawami i względami wynikającemi z ich natury stanowią tak zwany świat. Lecz ponieważ siła owa nie przestaje nigdy działać, przekształcając równo-

częśnie materją, przeto niszczy ustawicznie twory przez się sformowane i z ich materji buduje istoty nowe. Jak długo przy zagubie osobników utrzymują się ich rodzaje i gatunki w całości lub częściowo; jak długo system i wzajemny stosunek rzeczy nie zmienia się w całości lub częściowo: powiadamy, że ten lub ów świat trwa jeszcze. Nieskończona ilość światów w nieskończonych przestrzeniach wieczności przetrwawszy czas dłuższy lub krótszy, ostatecznie przepadła, skoro przez ustawiczny obrót materji wywołany rzeczową siłą zatraciły się rodzaje i gatunki składające owe światy i skoro rozwiązał się ten wzajemny stosunek i porządek, który je utrzymywał. Nie uszczupliła się jednak materja ani o drobną cząstkę; znikły jedynie te i owe formy jęj istnienia śród kolejnego następstwa innych form, to jest innych światów.

B. O końcu świata.

Od jak dawna świat obecny, w którego skład wchodzi ludzie to jest jeden z właściwych mu rodzajów trwa — rzecz trudno; równie trudno obliczyć, ile czasu jeszcze trwać mu wypadnie. Porządek panujący w nim zda się niezmienny i tak jest nazywany, nie zmienia się bowiem, jak tylko potrosze i w niepochwytłych peryodach czasu, tak, że jego zmiany nie podpadają pod rachubę, a cóż dopiero pod zmysły człowieka. Długość jednak jego trwania, jakkolwiekby stateczną była, przepada wobec wiecznej trwałości materji. Spozrzega się w obecnym świecie ustawiczną zaturę osobników i ciągle przekształcanie się jednéj rzeczy w drugą; lecz ponieważ niszczenie wynagradzane jest ustawicznie tworzeniem, a rodzaje byt swój zachowują: mniema się, że świat ten nie zawiera w sobie ani przyjmie zarodków koniecznego lub możebnego upadku i że nie zdradza śladów zaniku. Nie mniej należy powziąć przeciwne przekonanie, a to na mocy licznych wskazówek, przedewszystkiém zaś następującęj:

Wiemy, że ziemia w skutek ustawicznego obrotu około własnéj osi, przez odsuwanie się od środka części sąsiednich równikowi, a przysuwanie ku środkowi części położonych przy biegunach zmieniła kształt i ustawicznie zmienia, rozszerzając się przy równiku, a wzajem splaszczając ciągle u biegunów. Wskutek tego musi nastąpić po pewnym przeciągu czasu, który choć obliczalny sam

w sobie, nie może być oznaczony rachubą ludzi, spłaszczenie ziemi po obu stronach równika w ten sposób, że straciwszy kształt kulisty, przyjmie formę płaskiego okrągłego krążka. Ten krążek nie przestając obracać się około swego środka, przyplaszczany ciągle i rozpierany, po długiém sileniu się odskoczy wszystkiemi częściami od środka i utworzy w nim otwór. A przybierając coraz większy otwór i okazując tym sposobem kształt pierścienia, ziemia na koniec rozpadnie się w sztuki, które wyleciawszy z obecnej sfery ziemskiej i straciwszy ruch obrotowy, spadną na słońce lub inne planety.

Możnaby na poparcie tego twierdzenia w tym wypadku przytoczyć pierścień Saturna, o istocie którego różnie rozprawiają uczeni. I choć nowe i niewyrzeczone jeszcze, nie wyda się może nieprawdopodobnym przypuszczenie, że ów pierścień był pierwotnie jedną z późniejszych planet, służących Saturnowi za satellite i że spłaszczony a potem przedziurawiony w środku w skutek przyczyn podobnych, jakie przypuściliśmy dla ziemi, ale prędej daleko, może przeto iż materya tworząca go była rzadsza i miększa, wpadł ze swojej sfery w sferę Saturna, że siłą przyciągającą jego masy i jego środka przytrzymany, opasuje go, jak to widzimy obecnie. Jest więc rzeczą prawdopodobną, że ten pierścień nie przestając się obracać wokół swego centrum, które jest równocześnie punktem centralnym globu Saturna, ciągle się przecieńcza i rozpiera i że ciągle rośnie odległość jego od rzezonego globu, choć odbywa się to zbyt powolnie, aby te zmiany mogli pochwycić ludzie, zwłaszcza z takiej odległości. Tyle niech mam wolno będzie powiedzieć po waznie czy zartem o pierścieniu Saturna.

Zmiany, których jak widzimy podlegał i podlega ustawicznie kształt ziemi, nastąpią bez wątpienia z tych samych przyczyn i na innych planetach, choć nie na wszystkich zjawiskach to jest tak wyraźne dla oczu, jak na Jowiszu. Ulegną im zaś nietylko te, które jak ziemia obracają się koło słońca, ale i te bez wątpienia, które według wszelkiego prawdopodobieństwa towarzyszą wszystkim gwiazdom. Tak, że podobnie jak się powiedziało o ziemi, wszystkie planety po pewnym przeciągu czasu rozpadły się same przez się na sztuki muszą spaść jedne na słońce, drugie na swoje osobliwe gwiazdy. A w ich płomieniach rzecz jasna, że nie tylko te i owe jednostki ale powszechnie wszystkie rodzaje i wszystkie gatunki żyjące obecnie na ziemi i planetach wyginą, że tak rzekę, z korzeniem. To właśnie lub coś podobnego mieli w myśli filozofowie tak greccy jak obcy utrzymując, że świat obecny zaginie przez ogień. Ponieważ jednak widzimy, że i słońce obraca się około własnej osi, a to samo przypuścić można o gwiazdach,

wynika stąd, że jedno i drugie pójdzie z biegiem wieków w rozsypkę a ogień rozproszy się po przestrzeniach. Wten sposób ruch obrotowy sfer świata, będący podstawą obecnego przyrodzonego porządku i jakoby pierwiastkiem i źródłem trwania naszego uniwersum, stanie się nawzajem przyczyną zburzenia obecnego, oraz innych systemów planetarnych.

Gdy przepadną planety, ziemia, słońce i gwiazdy, choć nie ich materya, utworzą się z niej nowe kreatury, podzielone na nowe rodzaje i gatunki i zrodzą się z nieśmiertelnych sił materyi nowe systemy i nowy świat. Ale o istocie ich, równie o istocie tych, co już były i co jeszcze będą w liczbie nieskończonej—nie umiemy powiedzieć nic, nawet w formie domysłu.

15. Rozmowa Tymandra z Eleandrem.

Tymander. Chcę i muszę powiedzieć ci otwarcie. Treść i tendencje twoich pism i mów wydają mi się nader naganne.

Eleander. Jeżeli nie zdają ci się takimi moje czyny, nie zbyt się smuć; bo słowa i pisma znaczą niewiele.

Tym. W postępkach nie mam nic do zarzucenia. Wiem, że nie czynisz drugim dobrze, nie mogąc, i widzę, że nie czynisz źle, nie chcąc. Ale słowa twe i pisma uważam za karygodne i nie zgadzam się, aby znaczyły mało, bo nasze obecne życie nie składa się—rzec można—z czego innego. Zostawmy słowa na boku, a pomówny o pismach. Naprzód takie ustawiczne ganieńie i wyszydzenie rodu ludzkiego wyszło już z mody.

El. I mózg mój nie stworzony wedle nowój mody. Nie nowina to, że synowie podobni są do ojców.

Tym. I to nie będzie nowiną, że twoje książki, jak wszystko przeciwne prądowi wieku, nie doznają szczęścia.

El. Nie wielkie nieszczęście. Mimo to szukać chleba u cudzych wrót nie pójdą.

Tym. Przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty filozofowie zwykli byli mruczeć na rodzaj ludzki; lecz dziś czynią przeciwnie.

El. Sądzisz-li, że przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty filozofowie wyrzekając na ludzi, mówili prawdę, czy nieprawdę?

Tym. Raczéj i częściej prawdę—zapewne.

El. Sądysz-li, że od tych czterdziestu lub pięćdziesięciu lat ród ludzki się odmienił?

Tym. Sądzę, że nie, ale to do kwestyi naszej nie należy.

El. Jakto nie należy? Może ludzkość objęła wyższy urząd, albo otrzymała wyższą rangę, że pisarze zmuszeni są dziś schlebiać jój i kłaniać się?

Tym. To żart wobec kwestyi poważnej.

El. Zatem wracając do przedmiotu—wiem dobrze, iż ludzie dzisiejsi czyniąc drugim źle, wedle starój mody, skłonni są przeciwieź mówić o nich dobrze, przeciwnie jak w poprzednim wieku. Lecz ja, co nie czynię złego ani podobnym sobie, ani niepodobnym, nie sądę się obowiązany mówić dobrze o drugich wbrew su-mieniu.

Tym. Jesteś przecież obowiązany, jak wszyscy ludzie dbać o polepszenie twego rodzaju.

El. Jeżeli ród mój nie dba o pomaganie mnie, nie widzę, skądby mi miał wypływać ten obowiązek. Lecz przypuśćmy, że wpływa. Cóż uczynić mam, czego nie mogę?

Tym. Nie możesz i niewielu może—czynami. Możesz jednak wspierać go pismami i powinieś. Nie wesprą go zaś książki gryzące ustawicznie ludzkość, szkodzą mu nawet niepomierne.

El. Przyznaję, że nie wesprą, lecz sądę, że nie szkodzą. Myślisz-że, iż książki mogą przynieść pożytek rodzajowi ludzkiemu?

Tym. Nie tylko ja, ale cały świat tak myśli.

El. Jakiego rodzaju książki?

Tym. Różnego rodzaju—lecz przedewszystkiēm moralne.

Eleander. Cały świat tak nie myśli; ja naprzykład między innymi—w to nie wierzę, (jak odpowiedziała jedna dama Sokratesowi). Jeżeli jakie książki moralne mogą przynieść pożytek, to najwyżej poetyckie; mówię *poetyckie*, biorąc ten wyraz w szerokim zakresie znaczenia; to jest książki pobudzające wyobraźnię, a rozumem nie mniej prozaiczne, jak wierszowane. Nie cenię ja zaś takiej poezyi, która słuchaczowi czy czytelnikowi nie zostawia po sobie w duszy jakiegoś szlachetnego uczucia i nie zdoła przeszkodzić, aby w przeciągu pół godziny nie dopuścił myśli złej lub nie popełnił niegodnego czynu. Lecz choć słuchacz sprzeniewierzy się najwierniejszemu przyjacielowi w godzinę po lekturze, nie odrzucam ja przeto poezyi, bo tym sposobem należałoby odrzucić precz najgorętsze i najszlachetniejsze poematy świata. Nie chcę mówić wcale o czytelnikach wielkich miast, bo tym choćby najuważniej czytali, nie przyda się na nie, ani ich zachwyci, ani wzruszy żaden rodzaj poezyi.

Tymander. Mówisz zwyczajem swym złośliwie, czém dajesz poznać, że się zwykle źle i niesprawiedliwie obchodzą z tobą ludzie; jestto jedna z najczęstszych przyczyn nienawiści i pogardy, jaką niektórzy przeciw własnemu rodzajowi zasadą swą wyznają.

El. Nie powiadam doprawdy, że mię ludzie traktowali lub traktują nader uprzedzająco, zwłaszcza że mówiąc tak, wydawałbym się unikatem. Nie dokuczili mi téż nadzwyczajnie, bo nie żądając nic od nich, ani nie wdając się z nimi, nie wystawiałem się częściej, niż ten i ów, na ich obrazy. Zapewniam cię, że choć czuję i wiem doskonale, iż nic we mnie niéma z tego, co czyni człowieka osobą miłą, ani jestem wyćwiczony w obcowaniu z ludźmi, ani nawet obeznany z życiem, czy to z własnej winy, czy z winy przeznaczenia, przecież cenilibym ludzi mniej jeszcze, niż ich cenię, gdyby ze mną obchodzili się uprzejmie.

Tym. Témbardziej ganić cię należy, bo nienawiść albo chęć zemsty za krzywdę lub obrazę, byłaby niejaka wymówka. Lecz nienawiść twoja, jak powiadasz, nie pochodzi z szczególnej przyczyny, chyba może z rzadkiej i nieszczęsniej ambicyi pozyskania sławy mizantropa jak Tymon; zachcenie obrzydliwe samo przez się, obce zwłaszcza naszemu wiekowi, oddanemu nadewszystko filantropii.

El. Na zarzut ambicyi nie ci nie odpowiem, bo mówiłem już, że nie żądam niczego od ludzi, a choć to nie zda ci się wiarogodne, mimo że prawdziwe, musisz przynajmniej uwierzyć, że nie ambicya wiedzie mię do pisania rzeczy, które dziś, jak sam twierdzisz, przynoszą piszącemu naganę, nie pochwałę. Nienawiści zaś tak jestem względem rodzaju ludzkiego daleki, iż nietylko nie chcę, ale nie mogę czuć ję ku mym krzywdzicielom; jestem téż dla tego uczucia zupełnie niepodatny. Co nawet stanowi jeden objaw owego mego niedołęstwa i niepraktyczności w świecie. Nie mogę jednak tego w sobie naprawić, bo zawsze myślę, że chęci krzywdzenia poddaje się każdy, co wyrządzając szkodę drugiemu, pragnie tém samém przynieść sobie wygodę i pożytek; a zamiarem jego nie jest złość, bo ta nie służy za cel żadnej myśli ni postępкови, ale korzyść własna, pragnienie naturalne i niezastługujące na nienawiść. A przytém widząc w kimś błąd lub winę, nim się na nie oburzę, badam sam siebie, wyobrażając się w podobnych stosunkach i okolicznościach; a czując się zawsze albo zdolny tój samej winy, albo już nią splamiony, nie mam czoła gniewać się. Chocwam zawsze gniew swój do chwili, kiedy ujrzę przestępstwo, którego natura moja byłaby niezdolna; lecz dotąd takiego nie ujrzałem. Nakoniec przeświadczenie o marności wszech rzeczy ogarnia mi ustawicznie umysł tak, że o nie kopii kruszyć nie mam chęci;

a gniew i nienawiść wydają mi się namiętnościami zbyt gwałtownymi, by przystały kruchemu życiu. Porównanie mię z Tymonem, widzisz sam, jak jest niewłaściwe. Tymon nienawidząc i unikając wszystkich, kochał i pieścił jedynie Alcybiadesa, jako przyszelego sprawcę nieszczęść ojczyzny. Ja nie nienawidząc go, unikałbym go przecież bardziej, niż innych, ostrzegłbym obywateli przed niebezpieczeństwem i radził mu zapobiedz. Mówią niektórzy, że Tymon nienawidził nie ludzi, ale zwierzęta w ludzkiej postaci. Ja znów nie nienawidzę ani ludzi, ani zwierząt.

Tym. Ale też nie kochasz nikogo.

El. Słuchaj, przyjacielu. Stworzony jestem do miłości, kochałem i może z takim uczuciem, jakim nie każda istota kochać może. Dziś, choć, jak widzisz, nie doszedłem jeszcze wieku z natury zakrzepłego, ani nawet oziębłego, nie wstydzę się rzec, że nie kocham nikogo prócz siebie, i to z konieczności natury, i najmniej, jak można. Przymiłem gotów jestem i zwykłem nawet wybierać raczej ból, niż stać się kiedykolwiek przyczyną cudzych cierpień. Na co wszystko, choć nie znasz dokładnie mego obyczaju, sądzę, że możesz złożyć świadectwo.

Tym. Nie przeczę.

El. Tak, że z méj strony nie przestaję wspierać ludzkość, zostawiając nawet na boku wzgląd własny, to wielkie i jedyne dobro, które dla mych pragnień pozostało, dobro nie-cierpienia.

Tym. Ale czyż przyznajesz wyraźnie, że ludzkiego rodu nawet w jego całokształcie nie kochasz?

El. Tak jest; wyraźnie. Ale jak zawsze, gdyby zależało ode mnie, karałbym winnych, choć ich nie nienawidzę, podobnie, gdyby to było w méj mocy, wyrządziłbym ludzkości dobrodziejstwo, choć jój nie kocham.

Tym. Dobrze, niech tak będzie. Ależ ostatecznie, jeśli nie kierują tobą doznane krzywdy, nienawiść, ambicja; cóż cię przymusza pisać w ten sposób?

El. Różne przyczyny. Naprzód obrzydzenie wszelkiej obłudy i udania, których jedynie używam niekiedy w mowie, w pismach jednak nigdy; mówić bowiem nieraz nakazuje mi konieczność, pisać jednak nie mię nie zmusza, a gdybym miał mówić to, czego nie myślę, niewielką sprawiałoby mi przyjemność suszenie sobie głowy nad księgami. Śmieje się dziś mądry z tych, co piszą po łacinie, bo nikt nie mówi tym językiem a niewielu go rozumie. Nie widzę, czemu nie miałyby być równie śmieszne, czy w mowie, czy w pismach, to ustawiczne przypuszczenie pewnych zalet, których, jak każdy wie, nie odkryje się dziś w człowieku, oraz pewnych wyrozumowanych i fantastycznych enót, czczonych przed dawnymi

czasy, ale dziś nieistniejących ani dla tego, co o nich mówi, ani co o nich słyszy. Ze używa się maszkar i przebrania dla omamiania drugich lub ukrycia się, nie dziwnego; ale by wszyscy ustroili się w maski jednakowego kształtu i przebrali się na jeden sposób, nie zadając sobie trudu ludzenia drugich i znając się wzajem doskonale, to zdaje mi się dziecinnstwem. Niech zdejmą maski, niech zostaną we własnych sukniach; skutek będzie ten sam, a większa wygoda. Boć ostatecznie to wieczne udawanie, to wieczne przedstawianie się za osobę odmienną od własnej, musi być nieswojskie i utrudzające. Gdyby ludzie z pierwotnego samotnego i dzikiego stanu, przeszli w stan obecnej cywilizacji jednym skokiem, a nie stopniowo, czy można by przypuścić, aby w ich języku istniały nazwiska rzeczy przebrzmiałych a w narodach zwyczaj nieustannego powtarzania ich i rozprawiania o nich tysiąciami sposobami? Zwyczaj ten wydaje mi się, jak owe stare ceremonie i obrzędy, obce obyczajom dzisiejszym, lecz utrzymujące się zawsze siłą przyzwyczajenia. Ale ja nie umiem nastroić się do ceremonij, ani ich obserwowania i piszę językiem nowym, nie zaś pożyczonym od Trojan. Po drugie, nie tyle ja gryzę pismami memi rodzaj ludzki, ile uskarżam się na przeznaczenie. Nic wyraźniejszego — jak sądzę — i dotkliwszego nad konieczną niedolę wszystkich stworzeń żywych. Jeśli ta niedola nie jest prawdziwa, wszystko fałszywe — porzućmy zatem tę i inne rozprawy. Jeżeli jest prawdziwa, czemu niema mi być dozwolone boleć na nią jawnie i swobodnie, i mówić: cierpię? Gdybym ubolewał, płacząc (i to jest trzeci punkt mych argumentów), sprawiłbym przykrość i drugim i sobie bezowocnie. Śmiejąc się z własnych nieszczęść, znajduję niejaka pociechę i usiłuję przynieść ją drugim. Choć mi się to nie udaje, uważam przecież za rzecz pewną, że wyśmianie własnej niedoli jest jedynym pożytkiem, jaki z niej dobyć można, i jedynym lekarstwem. Mówią poeci, że rozpacz zawsze uśmiech na ustach nosi. Nie sądzę, abym nie spółczuł ludzkiej niedoli. Ale gdy nie można jęj naprawić żadną siłą, żadną sztuką, wybiegiem, ugodą, uważam za rzecz godniejszą człowieka, za rozpacz wyniosłą, śmiać się z wspólnego nieszczęścia niż wzdychać, płakać i zgrzytać z innymi, lub ich do tego zachęcać. Nakoniec wypada mi upewnić się, że pragnę, jak ty i jak każdy inny powszechnego dobra mojego rodzaju; lecz się go żadną miarą nie spodziewam; nie umiem się cieszyć i paść wesołemi nadziejami, jak czyni wielu filozofów tego wieku; a rozpacz moja będąc powszechna i ciągła i ugruntowana na pewnym i ustalonym sądzie, nie zostawia miejsca marom i wesołym rojeniom przyszłości, ani odwadze podjęcia sprawy jakiegokolwiek w celu ujrzenia jęj szczęśliwego końca. A wiesz do-

brze, że człowiek nie ośmiela się próbować tego, w powodzenie czego nie wierzy; a jeśli się ośmieli, działa niechętnie i słabo; pisząc zaś na przekór i wbrew opinii własnej, choćby ta była prawdziwa, nie uważa jej za godną rozważenia.

Tym. Ale należy przecież sprostować sąd własny, jeżeli mija się z prawdą, jak w twoim wypadku.

El. Ja sędzę, co się mnie tyczy, że jestem nieszczęśliwy, i wiem, że się nie mylę. Jeśli inni nie są takimi, cieszę się z całego serca. Jestem także pewny, że tej niedoli nie pozbędę się przed śmiercią. Jeśli inni wierzą w co innego, cieszę się równie.

Tym. Wszyscy jesteście nieszczęśliwi i wszyscy niemi byli; mniemam, że nie możesz chęlnie się, aby zdanie twoje było nowością. Ale położenie ludzi może się polepszyć w przyszłości, jak się już polepszyło od dawnych czasów. Zdajesz się zapominać, lub nie chcesz sobie przypomnieć, że człowiek się doskonali.

El. Że się doskonali — zgoda na wiarę twoją; ale że się wydoskonali, o co właśnie głównie chodzi, w to nie wierzę chyba, na wiarę niczyją.

Tym. Nie doszedł jeszcze doskonałości, bo nie było na to czasu, ale niewątpliwie dojdzie jej.

El. Nie wątpię i ja. Te kilka lat, które upłynęły od początku świata do dziś dnia, wystarczyć nie mogły i nie można było wyrobić sobie sądu o naturze, przeznaczeniu i zdolnościach człowieka, nie mając odpowiednich danych. Ale od dziś dnia nie oczekujemy niczego, jak doskonalenia się ludzkości.

Tym. Zapewne, że go oczekuje gorąco cały świat cywilizowany. A bacząc na liczbę i skuteczność środków, powiększonych od niedawna tak ogromnie, można ufać, że się go dostąpi w krótkim czasie; ta zaś nadzieja niemalą jest otuchą w użytecznych przedsięwzięciach i pracach, do których daje pochop. Jeżeli zaś kiedy było szkodliwe i naganne, to dziś jest jeszcze szkodliwsze i ohydniejsze owo objawianie swój rozpacz, owo wmawianie w ludzi konieczności niedoli, próżni życia, niedołęstwa, małości ich rodu i przewrotności ich natury, co nie wydaje innych owoców, jak pogwałcenie ducha, pogardę siebie samych, która jest zwaleniem fundamentów życia zacnego, użytecznego, chwalebego oraz zaniechanie pracy nad własnym dobrem.

El. Chcę, byś mi oświadczył wyraźnie, czy zdaje ci się prawdą czy fałszem to, co utrzymuję i powiadam o niedoli ludzkiej?

Tym. Sięgasz znowu po zwykłą sobie broń; a kiedy przyznam, że to, co mówisz, jest prawdą, mniemasz, żeś wygrał sprawę. Otóż powiem ci teraz, że nie każdą prawdę należy głosić ludziom i nie każdej pory.

El. Odpowiedz mi z łaski swojej jeszcze na jedno pytanie, Czy te prawdy, które wyznają a nie ogłaszam, są w filozofii prawdami zasadniczymi, czy przypadkowemi?

Tym. Co do mnie, sędzę, że są treścią w tej filozofii.

El. Mylą się niezmiernie ci, co myślą i głoszą, że doskonałość ludzka polega na poznaniu prawdy, a jego złe pochodzi z niewiedzy i fałszywych pojęć, i że ludzkość dostąpi nakoniec szczęśliwości, kiedy wszyscy lub przeważna część ludzi pozna prawdę i na jej modłę ustatkuje i urządzi życie. Tak zaś twierdzą zarówno filozofowie starożytni i nowożytni. I oto, zdaniem twojem, ta prawda, co ma być podstawą całej filozofii, winna być skryta przed oczyma większości ludzi, a wierzę, że równie łatwo zgodziłbyś się, by była zapoznana i nieznana wszystkim; bowiem znana i wiecznie tkwiąca w pamięci, nie może nic, jeno szkodzić. Co znaczy to samo, że filozofią należy wykorzenieć ze świata. Wiem, że ostatnia konkluzya dobytą z prawdziwej i doskonałej filozofii jest, iż filozofować nie należy. Z czego wypływa, że filozofia jest napozór nieużyteczna, bo, aby nie filozofować, potrzeba nie być filozofem; po drugie: jest nader szkodliwa, bo utrzymanie tego ostatniego wniosku odbywa się z własną szkodą; utrzymawszy się nawet przy nim, wytrwać nie można, gdy nie jest w ludzkiej mocy za zapomnieć poznanych prawd, i wszelką naturę zezuć łatwiej, niż filozoficzną. Słowem, filozofia spodziewając się i obiecując od początku wyleczyć nasze złe, skupia się ostatecznie w próżnym pragnieniu wyleczenia siebie samej. A gdy to wszystko zważymy, pytam, skąd wiara, że wiek obecny jest bliższy i skłonniejszy do doskonałości niż minione? Może z lepszej znajomości prawdy, która, jak widzieliśmy, jest największą przeciwniczką szczęśliwości? Może stąd, że dziś ten i ów przyszedł do przekonania, że filozofia jest szkodliwa, a mimoto nie ma siły odrzucenia jej? Ależ pierwsi ludzie istotnie nie znali filozofii, a dzieć łatwo się bez niej obchodzą. Czyż posiadamy inne i nowsze i skuteczniejsze, niż nasi przodkowie środki zbliżenia się do doskonałości?

Tym. Posiadamy wiele i bardzo użytecznych, ale wyliczanie ich poszłoby w nieskończoność.

El. Zostawmy je tymczasem na boku; wracając do przedmiotu, powiadam, że jeśli w pismach swoich wymieniam jakąś prawdę twardą i smutną nie dla czego innego, jak dla ulżenia duszy i pocieszenia się uśmiechem, to przecież nigdy nie omieszkać w tychże książkach oplakiwać, odradzać, ganić badania tej nędznej i chłodnej prawdy, której poznanie rodzi niezachęcenie i lenistwo, upodlenie umysłu, nieuczciwość, nieszlachetność i przewrotność; a nawzajem chwale i uwielbiam owe wierzenia, które choć fałszy-

we, budzą wzniosłe, dzielne, szlachetne, dostojne, cnotliwe, pożyteczne dla jednostki i ogółu myśli i czyny; owe mary piękne i błogie, które choć marne, dodają ceny życiu; owe naturalne złudy umysłu; a nakoniec owe błędy starożytne, różne zupełnie od błędów barbarzyńskich, — te bowiem jedynie, nie tamte powinny runąć dziełem filozofii i nowoczesnej cywilizacji. Lecz ostatnie przechodząc granice (rzecz nieunikniona w świecie) krótko potem zwalone barbarzyństwem, wtrąciły nas w drugie niemniej dzikie od tamtego, choć zrodzone z rozumu i wiedzy a nie z nieświadomości; czynniejsze i wyraźniej objawiające się w duchu niż w ciele, o ciężalsze w działaniu i, żeby tak rzec, stateczniejsze i raczej wewnętrzne. W każdym razie wątpię i skłaniam się raczej ku wierzeniu, że błędy starożytne, jak są konieczne dla szczęśliwości narodów cywilizowanych, tak są i coraz bardziej będą niezdolne odnowienia jój. Przysięgam ci, że o doskonałości człowieka, gdyby je był już dostąpił, napisałbym tom przynajmniej, wysławiając ludzkość. Ale że nie zdarzyło mi się dostrzedz jój i nigdy mi się, jak sędzę, nie zdarzy, gotów jestem przeznaczyć testamentem wielką część swego majątku na cel następujący: Skoro ludzkość dostąpi doskonałości, ma się corocznie na jój cześć wygłosić publicznie pewien panegiryk i wystawić prócz tego świątynkę na wzór starożytnych lub posażek, lub coś innego wedle okoliczności.

16. Rozmowa Plotyna z Porfiryuszem.

„Gdy raz (ja Porfiryusz) powziąłem myśl odebrania sobie życia, Plotyn domyślił się tego; a zszedłszy mię niespodziewanie, gdy znajdowałem się w domu i wytłumaczywszy, że zamiar taki powstać może jedynie w chorym umyśle z jakiejś wewnętrznej nierównowagi, zmusił mię do zmiany powietrza“ (Porfiryusz w życiu Plotyna. Podobnie Eunapiusz w życiu Porfiryusza; ostatni dodaje, że Plotyn zebrał rozmowy swoje z Porfiryuszem w tym przedmiocie).

Plotyn. Wiesz, Porfiryuszu, że jestem ci przyjacielem; wiesz, jak szczerem; więc nie dziw się, że baczę na twe postęпки i słowa i usposobienie z pewną ciekawością, co pochodzi stąd, że mi leżysz na sercu. Od kilku dni widzę cię smutnym i mocno zadumanym,

masz jakiś dziwny wyraz oczu, wymykają ci się z ust pewne słowa... nakoniec bez ogródek i odwleceń — sędzę, że nosisz się z jakimś złym zamiarem...

Porfiryusz. Co chcesz powiedzieć?

Pl. Złym zamiarem przeciw sobie samemu. Uważają za złą wróżbę nazwanie go głośno. Porfiryuszu mój, nie ukrywaj przedemną prawdy; nie krzywdź tej miłości, jaką wzajem wyznajemy od tak dawna. Wiem, że ci jest niemiło poruszać kwestyą, i rozumiem, że wolałbyś zamysł swój zachować w tajemnicy; lecz w rzeczach tak wielkiej wagi milczeć nie mogłem i ty nie powinieneś wzdragać się wyznać go osobie, co ci tak dobrze życzy, jak sobie samemu. Pomówmy o tém spokojnie i rozważmy przyczynny; ty odsłonisz duszę swą przede mną, wyplaczesz się, przebolisz; zasłużyłem na to u ciebie; a nareszcie nie przeszkodzę ci spełnić to, co uznamy za rozumne i za pożyteczne tobie samemu.

Porfiryusz. Plotynie mój, nie odmówiłem ci nigdy, czego żądałeś. I teraz wyznam przed tobą, co wolałbym zatrzymać w tajemnicy i czego nie odkryłbym innemu za nic w świecie; powiem, że domysł twój o moim zamiarze był prawdziwy. Jeżeli masz ochotę pomówić o tej kwestyi, to choć sam wzdragam się mocno, gdyż podobne roztrząśnienie odprawia się raczej w najgłębszym milczeniu, a duch myśląc o tém, lubi być samotny i skupiony w sobie, jestem przecież gotów popolgować twój chęci. Rozpocznie ja sam i wyznam ci, że ten mój popęd nie wynikł z żadnego nieszcześcia, któreby mię dotknęło, lub któregobym oczekiwał; ale z obrzydzenia sobie życia; ze zniechęcenia tak gwałtownego, że równa się boleści i napadom choroby; z pewnego nie już poznania, ale widzenia, smakowania, dotykania próżności wszech rzeczy snującej mi się dzień cały przed zmysłami. Tak, że nietylko umysł mój i wszystkie zmysły, ale całe ciało pełne są (aby użyć wyrażenia dziwaczego, choć odpowiedniego) tej próżności. I tu naprzód nie będziesz mi mógł twierdzić, że to usposobienie jest bezrozumne: choć przyznam, że w wielkiej części wynikało z jakiejś ułomności cielesnej. Niemniej jest nader rozumne a nawet jedynie rozumne, gdyż wszyskie inne poza niem, w których się trwa wierząc, że życie i dzieła ludzkości mają wartość jakową, wypływają z błędu i fałszywych urojeń. I nie niema rozumniejszej podstawy niż nuda. Rozkosze wszystkie są próżne. Cierpienie samo—mówię o cierpieniach duszy—po większej części są próżne, bo skoro przyjrzy się dobrze ich przyczynom i istotcie, i zbadasz je uważnie, znajdziesz w nich rzeczywistości niewiele lub nic wcale. To samo strach; to samo nadzieja. Jedynie nuda, rodząca się zawsze z próżności rzeczy, jest niepróżna i niemylna; nigdy nie oparta na fał-

szu. Można więc rzec, że ponieważ wszystko inne jest próżne, na nudę ogranicza się i na niej polega, co w życiu jest istotnego i rzeczywistego.

Plotyn. Niech tak będzie. Nie chcę teraz zaprzeczać ci w tym punkcie. Ale należy nam natychmiast rozważyć fakt, który spełnić zamierzasz, to jest rozważyć ściślej, czém jest sam w sobie. Nie potrzebuję ci mówić, jak sądzę, iż jest to zdanie Platona: że niewolno człowiekowi sposobem zbiegłego niewolnika wykradać się własnowolnie z tego niby więzienia, w którym znajduje się z nakazu bogów; to jest samowolnie pozbawiać się życia.

Porfirjusz. Proszę cię, mój Plotynie, zostawmy na boku Platona i jego doktryny i jego fantazyje. Insza jest chwalić, bronić, zalecać pewne mniemania szkół i książek, insza naśladować je w życiu praktycznym. W szkole i w księgach wolno nam przyklaskiwać sentymentom Platona i naśladować je; bo taki dziś zwyczaj; w życiu nietylko ich nie uznaję, ale owszem gardzę nimi. Powiadają podobno, że Platon rozsiał w pismach swych pewne doktryny o życiu przyszłym, ażeby ludzie niepewni, co się z nimi stanie po śmierci, z tój nieświadomości i z obawy kar i plag przyszłego życia powściągali się od niesprawiedliwości i innych złych czynów. A gdybym wiedział, że to Platon jest sprawcą tych wątpliwości i obaw i że one są jego wynalazkiem, rzekłbym:

„Widzisz przecież, Platonie, jak bardzo natura czy los, czy konieczność, czy jakaś inna potęga, twórczyni i pani wszechświata, była i jest zawsze nieprzyjazną naszemu plemieniu. Któremu z wielu, a nawet z niezliczonych przyczyn możnaby zaprzecć tój wyższości, jaką sądzi dumnie mieć nad zwierzętami; nie znajdzie się jednak argument ścierający zeń to znamię, które mu już stary Homer przypisywał: to jest znamię nieszczęśliwości. Natura przecież wskazała jako lekarstwo wszystkich niedoli—śmierć, której ci, co nie są wysokim obdarzeni rozumem, nie obawiają się, inni jój pożądają. A byłoby nader słodką pociechą naszego życia, pełnego tyłu boleści, oczekiwanie końca i rozmyślanie nad nim. Ty tą straszną wątpliwością obudzoną w duszy ludzkiej odebrales jój wszelką słodycz i napoileś nawet przykrzejszą goryczą. Ty sprawiles, że nieszczęśliwi obawiają się bardziej portu niż burzy i przed tём jedynym lekarstwem i odpoczynkiem chronią się w ustawiczną siedzibę boleści i lęku. Okrutniejszy stałes się ludziom niż los i konieczność i natura. A że tój wątpliwości nigdy pozbyć się ani myśli otrząsnąć z niej nie można, przywiodłes bliźnich twoich do stanu, w którym śmierć stanie się pełna boleści i nędzniejsza nawet niż życie. Stąd za sprawą twoją, podczas gdy inne stworzenia umierają bez lęku, ostatniej godzinie człowieka będzie odebra-

ny na wieki spokój i zaufanie. Tego jeszcze, o Platonie, brakowało tak wielkiej niedoli ludzkiego rodu!"

"Pomijam, że nie dopiąłeś pożądanego zamiaru powstrzymania ludzi od gwałtów i nieprawości. Bo te wątpliwości i niepewności straszą ludzi w ostatniej godzinie, kiedy nie są zdolni wyrządzenia krzywdy; w życiu przestraszają jedynie dobrych, którzy palają chęcią nieszkodzenia lecz pomagania; przestraszają istoty bojaźliwe i słabowite, co do gwałtów i nieprawości nie są ani skłonne, ani dość silne sercem i ręką. Ale zapaleńcy i junacy i nieobdarzeni bujną wyobraźnią, a w końcu ci, którym trzeba by mocniejszego niż prawo wędzidła, nie lękają się ich ani się dadzą niemi w występkach pohamować, jak to widzimy codziennie i jak uczy znajomość wszystkich wieków po dzień dzisiejszy. Prawa, dobre wychowanie, kultura obyczajów i umysłów zachowują społeczeństwu ludzkiemu prawość i powściągliwość; bo umysły wygładzone i okrzeseane nieco oświatą oraz nawykłe do zastanawiania się nad postępowaniem swém i do działania z rozmysłem bezsprzecznie i prawie zawsze wzdragają się ściągnąć rękę na osobę i krew bliźniego; mniej są skorzy wyrządzić mu szkodę jakim bądź sposobem, a rzadko i niechętnie narażają się na skutki nieposłuszeństwa wobec praw. Nie objawiają się już tak dobroczynnie groźne obrazy i smutne oczekiwanie rzeczy dzikich i strasznych; a jak liczba i okrucieństwo wyroków śmierci wykonywanych w państwach, tak i owe wzmagają z jednej strony zdziwienie umysłu, z drugiej strony ztwardziałość, główne plagi społeczeństwa i najbardziej mu wrogie.

"A potem naznaczyłeś jeszcze i przyobiecałeś nagrodę dobrym. Jaką nagrodę? Stan, co wydaje się być pełnym nudy i mniej jeszcze znośnym niż to życie. Przystępna jest pojęciu każdego gorycz twoich kar; ale słodycz nagród ukryta jest i tajemna i umysł ludzki pojąć jej nie zdoła. Stąd niezbyt skutecznie może nadzieja tych nagród zanęcać do prawości i enoty. I doprawdy, jeżeli mało zbrodniarzy hamuje się w występkach z obawy przed twym przerażającym Tartarem, mam chęć powiedzieć ci, że żaden człowiek dobry nie powodował się w najdrobniejszym postępku pożądanym twójgo Elizyum. Musi więc ono w umyśle naszym nie przedstawiać się jako godne pożądanie. A obok słabiej pociechy, jaką dać może nawet pewność dostąpienia owego dobra, czyż dużo dodałeś nadziei nawet enotliwym i sprawiedliwym, jeżeli twój Minos i Eakos i Radamantys, sędziowie srodzy i nieublagani, nie przebaczą nikomu nawet cienia grzechu? A któryż człowiek może czuć się i sądzić tak niezmazanym i czystym, jak żądasz? W ten sposób dopięcie tój szczęśliwości, jakakolwiek ona jest, staje się niemożliwe i nie wystarczy najrzetelniejsze sumienie, najpra-

cowitsze życie do upewnienia człowieka w ostatniej godzinie wobec niepewności przyszłego życia, wobec obawy kar. W skutek twych nauk zatem strach, przewyższywszy o wiele nadzieję, stał się panem człowieka, a ostatecznym ich owocem jest, że człowieczy ród, wzniosły wizerunek doczesnej niedoli, nie tylko nie widzi w śmierci końca swój nędzy, ale oczekuje w niej początku nowych utrapień. Tak okrucieństwem przewyższyłeś nie tylko naturę i fatum, ale najdzikszego tyрана, najchciwszego krwi kata na świecie“.

„Ale z jakimże już barbarzyństwem da się zestawić twój zakaz zabraniający człowiekowi położyć kres cierpieniom, boleściom, obawom i zwyciężywszy grozę śmierci dobrowolnie wygnąć z siebie ducha. Bezsprzecznie nie istnieje w innych zwierzętach żądza dokonania życia, bo ich nieszczęśliwość ma ciaśniejsze niż ludzka granice, nie stałoby im nawet odwagi pozbawiania się go dobrowolnie. Lecz gdyby z natury zwierząt usunęły się te właściwości, wolność śmierci nie znajdowałaby i u nich przeszkody; żaden zakaz, żadna wątpliwość nie hamowałyby im łatwości pozbywania się cierpienia. Oto, czem także czynisz nas niższymi od zwierząt, a tej wolności, którąby posiadały zwierzęta, gdyby im wypadało użyć jej, której sama natura, tak reszta skąpa, nam nie odmówiła, z twego powodu ludziom obecnie zabrakło. I jedyny rodzaj stworzeń, zdolen pożądaną śmierci, sam jeden nie ma posiadać nad nią władzy? Natura, przeznaczenie i przypadek siekają nas ustawicznie do krwi wśród nieopisanych cierpienia; ty podbiegasz, wiążesz nam ściśle ramiona i okuwasz nogi łańcuchem, aby nie można było obronić się lub ujsć ich razem. Zaiste, gdy rozmyślam nad ogromem niedoli ludzkiej, dostrzegam, że winny temu bardziej niż wszystko inne, twoje zasady i że ludzie winniby boleśniej skarżyć się na ciebie niż na naturę, która choć mówiac prawdę nie przeznacza nam innego życia nad nieszczęśliwe; daje przeciw władzę zakończenia go każdej chwili swobodnie. Naprzód, nie można już mówić, aby wielką była ta niedola, która za mą wolą może stać się krótkotrwała; a potem, choć kto w rzeczywistości nie ma zamiaru odebrania sobie życia, sama myśl, że w każdej chwili może pozbyć się nędzy, stanie mu się taką pociechą i ulgą w dolegliwościach, że nią pokrzepiony łatwiej znieść je potrafi. W ten sposób nieznośne brzemień niedoli zawarte jest właściwie nie w czem innym, jak w obawie, iż można przypadkiem, przecinając dobrowolnie nic życia, wpaść w większą nieszczęśliwość niż obecna. Nie tylko większą, ale tak straszniejszą i dłuższą, że wobec przeciwdziałania, iż doczesność jest znana, a owe kary nieznanne, naturalnym sposobem strach przewyższy bez miary uczucie najżywszej doczesnej boleści. Wątpliwości te, Platonie, bardzo prędko udało ci się

obudzić, ale wprzód zginie ludzkość, nim się ich nanowo pozbędzie. Nie żalobniejszego, nie zgubniejszego nad gieniusz twój nie urodziło się ani nie urodzi człowieczeństwu“.

Tobym powiedział, gdybym wierzył, że Platon był twórcą tych doktryn; raduję się jednak, że nim nie był. Bądź-co-bądź, dosyć powiedzieliśmy już w téj materyi i pragnąłbym ją porzucić.

Pl. Porfiryuszu, wiesz, że szczerze kocham Platona, to jednak nie skłania mię opierać się na cudzej powadze, zwłaszcza w rozprawie z tobą i o przedmiocie tak ważnym; chcę go roztrząsnąć ze stanowiska rozumu. A jeżeli dotknąłem mimochodem tego Platonowego zdania, chciałem go jedynie za wstęp dysputy użyć. Podejmując więc argument, który miałem w myśli, powiadam, że nie Platon ani inny filozof jedynie, ale sama natura zda się wzbraniać samobójstwa. Niepotrzebuję nad tym punktem długo się rozwodzić, bo jeżeli pomyślisz, niepodobna, abyś sam nie zrozumiał, że zabijanie się własną ręką i nieprzymuszenie, jest przeciwne naturze. Jest nawet, aby rzec lepiej, czynem najprzeciwiejszym, jaki przypuścić można. Bo cały porządek świata wywróciłby się, gdyby istoty żywe niszczyły się same. I zda się tak niewłaściwem, aby ktoś używał życia do pozbycia się życia, jak aby był służył niebytowi. Prócz tego jeżeli jaki rozkaz i obowiązek nakłada na nas natura, to obowiązek ścisły i powszechny nietylko dla ludzi ale dla wszystkich tworów wszechświata, obowiązek zachowania własnej istoty i dbania o nią wszelkimi środkami, rzeczy wbrew przeciwne samobójstwu. A pominąwszy wszystkie dowody, czyż nie czujemy, że skłonności same nas ciągną i każą nienawidzić śmierci i bać się jej i czuć ku niej obrzydzenie nawet wbrew woli? Jeżeli więc samobójstwo przeciwne jest naturze i to bardzo przeciwne, nie mogą przyznać, aby było dozwolone.

Porfiryusz. Zważyłem ja to wszystko, bo niepodobna, jak powiedziałeś, aby umysłowi nie nasunęły się te myśli, jeżeli choćby na chwilę nad tym przedmiotem się zastanowił. Sądzę, że na twoje argumenta można odpowiedzieć argumentami różnego rodzaju; lecz postaram się być krótkim. Watpisz, czy wolno nam umrzeć nieprzymuszenie, pytam cię, czy dozwolono nam być nieszczęśliwymi. Natura wzbrania samobójstwa. Dziwnem-by mi się zdało, aby nie mając woli i mocy uczynienia mię szczęśliwym i wolnym cierpienia, posiadała władzę zmuszania mię do życia. Zaiste, jeśli natura wpoila w nas miłość zachowania własnego jestestwa i nienawiść śmierci; niemniej wpoila nam nienawiść niedoli i miłość szczęsnego bytu, ostatnie skłonności o tyle silniejsze i bardziej zasadnicze, że szczęśliwość jest ostatecznym celem każdego naszego czynu i miłości i nienawiści; że nie unika się śmierci, ani kocha

życia dla nich samych, ale dla miłości lepszej doli oraz nienawiści złego i własnej szkody. Skądże więc może się to dziać wbrew naturze, iż chcę skryć się przed niedolą w tém jedyném miejscu, w którém ludzie skryć się mogą, to jest poza światem: wszak żyjąc, w żaden sposób ująć jej nie mogę. I skądże ma być prawda, że natura wzbrania mi cześcić się śmierci, która bezwątpienia jest mém największém dobrem, i pogardzić życiem, co widocznie jest dla mnie złe i szkodliwe, nie służąc dlaczego innego jak dla cierpienia i doń istotnie z konieczności wiodąc?

Pl. Wszystko to nie przekonywa mię, aby samobójstwo nie było wbrew naturze; wszak umysł nasz czuje zbyt wyraźny wstręt i niechęć ku śmierci; widzimy też, że zwierzęta, co, jeżeli nie są gwałcone przez ludzi lub wyrodzone, działają zawsze przyrodzonym sposobem; nietylko nie dopuszczają się nigdy téj ostateczności, ale wśród najcięższej pracy i bólu nie zdają się o nią myśleć. A wreszcie żadne nie dopuszczają się jej stworzenie prócz człowieka, a równie żadne z plemion żyjących w stanie natury i niema takiego między niemi, któryby samobójstwa nie potępił, jeżeli ma o niem jakie takie pojęcie; ludy to jedynie nasze, wyrodzone i zepsute, co nie żyją wedle praw natury, znają je.

Por. Zgoda, przyznam ci nawet, że ten postępek jest przeciwny naturze, jak utrzymujesz. Ale cóż tu znaczy, że nie jesteśmy istotami naturalnemi, to jest, żeśmy wyszli ze stanu dzikości? Porównaj nas, nie mówię już z istotami odmiennego gatunku, ale z ludami Indyj i Etyopii, które, jak powiadają zachowały jeszcze obyczaj pierwotny i dziki, a z trudnością przyjdzie ci powiedzieć, że ci i owi ludzie są istotami jednego rodzaju. A te nasze rzekome przekształcenia, ta zmiana sposobu życia, a zwłaszcza umysłu według mego przekonania nie działy się bez nieskończonego wzrostu nieszczęśliwości. Bezwątpienia dzikie owe ludy nie czują nigdy chęci zakończenia życia; ani postanie w ich wyobraźni, że śmierci pożądać można; podczas gdy ludzie ukształceni na naszę modłę, to jest cywilizowani pożąдают jej i sprowadzają na się. Jeżeli zaś cywilizowanemu człowiekowi wolno i żyć wbrew naturze, i być nieszczęśliwym wbrew naturze, czemuż mu niewolno wbrew naturze umierać? Kiedy my qwój świeżej niedoli, co nam ze zmiany stanu wynikła, w żaden sposób prócz przez śmierć pozbyć się nie możemy? Z drugiej strony powrót do pierwotnego stanu i do życia wytyczonego nam przez naturę czy to z powodów zewnętrznych, czy dla wewnętrznych warunków—co ważniejsza—jest niemożliwy. Co jest naturalną ułomnością medycyny, tak w téj gałęzi, gdzie operuje się ręką, jak, gdzie działa się lekami? To, że w obu razach, tak ze względu na operacye,

które wykonywa, jak na leki, instrumenta, środki, których używa, odstrychnęła się nader od natury, a zwierzęta i ludy dzikie jęj nie znają. A choć takie choroby, które nią się leczą, nie są stanem naturalnym i nie istnieją z innych powodów jeno cywilizacyi, to jest zepsucia przyrodzonego stanu, niemniej kunszta owe, mimo swą nienaturalność, są uznane za korzystne i konieczne i tak jest wistocie. Więc też samobójstwo, oswobadzające nas od niedoli przywleczonęj z zepsuciem, choć przeciwne naturze, niekonieczne musi być naganne, jako że na nienaturalne zło potrzeba nienaturalnego lekarstwa. I byłoby rzeczą srogą i niesłuszną, aby ten sam wzgląd, który w innych wypadkach gardząc naturalnością, sprawia, że jesteśmy najnieszczęśliwsi wbrew pierwotnemu stanowi, w tym wypadku sprzysięgał się z nią, aby nam wydrzcć ostatnią deskę ratunku, tę jedyną, którą sam rozsądkiem wskazuje, oraz przymuszał trwać w ustawicznęj nędzy.

Prawda w tém leży, Plotynie: Natura pierwotna starożytnych narodów, oraz ludów dzikich i barbarzyńskich nie jest już naszą naturą; nawyknięcia i rozum stworzyły nam drugą; tę zachowujemy i zachowamy nazawsze w miejsce pierwszję. Nie było człowiekowi wrodzone od początku zadawanie sobie śmierci ani było naturalne pożądanie jęj. Dzisiaj obie skłonności stały się naturalne, to jest przystósowane do naszjęj nowęj natury, która prac nas i zwracając ustawicznie podobnie, jak owa prastara—ku temu, co się nam wydaje najlepsze, sprawia, że wielokroć szukamy i pożądamy najlepszego istotnie dobra—śmierci. I nie dziwnego; tą drugą naturą bowiem rządzi i kieruje rozum. Ten zaś upewnia nas, że śmierć nietylko nie jest złem, jak dyktuje pierwszy ruch myśli, ale owszem, jest jedynęm skutecznęm lekarstwem na zło, najpożądanęszęm ludziom i najlepszęm. Pytam więc: czy kieruje się człowiek w reszcie czynności swoich naturą pierwotną, i kiedyż to i w jakich czynnościach? Nie pierwotną, ale tą drugą naturą, rozumem. Czemuż jedynie ma się rządzić samobójca pierwszą a nie drugą? Czemu natura pierwotna, nie nakładająca już praw życiu naszemu, ma nakładać je śmierci? Czemu rozum nie ma mieć władzy nad śmiercią, gdy ją posiada nad życiem. Widzimy też istotnie, że tak rozum, jak niedola naszego obecnego stanu nietylko stłumiają, zwłaszcza w nieszczęśliwych i przygnębionych, ów wstřet ku śmierci, jak utrzymywałeś, ale zamieniają go na tęsknotę i miłość, jak właśnie ja twierdziłem. Skoro już zrodziły się to pożądanie i miłość, które z praw natury nigdy zrodzić się nie były powinny, skoro utrwaliła się już niedola wykwitła z przemiany naszego stanu, a nie leżąca w zamiarach natury, zrozumiała jest opór i nieposłuszeństwo naturalnemu zakazowi samobójstwa wbrew

stające. Te argumenta rozstrzygają zdaniem mojem kwestyą, czy samobójstwo jest dozwolone. Pozostaje wyrzec, czy jest użyteczne.

Pl. O tém nie potrzeba mówić, Porfiryszu, bo jeżeli czyn ten jest dozwolony (niedozwolony i nieprawy, nie przypuszczam, aby mógł być użyteczny), o użyteczności jego jestem przekonany. Cała tedy kwestya sprowadza się do dwu pytań: Co z dwu rzeczy jest lepsze: Cierpieć czy nie cierpieć. Wiem, że wszyscy ludzie wybiorą raczej uciechę przeplecioną cierpieniem, niż brak uciechy, tak jest zasiana, że tak powiem — w duszy żądza rozkoszy. Ale kwestya nasza wychodzi po-za granicę tych pewników, bo uciecha i rozkosz — mówiąc po prostu — są tak niemożliwe, jak cierpienie nieuniknione. Rozumiem zaś cierpienie ustawiczne, odpowiadające ustawicznemu pożądaniu i potrzebie szczęśliwości nigdy nie zaspokojonéj; — zostawiając na boku boleści chwilowe i przypadkowe, dotykające każdego, a równie nieuchronne (łżejsze czy dotkliwsze, w tym czy owym sposobie), nawet w najbardziej niestatecznym życiu. I zaprawdę, jedna, krótka boleść, którójby ktoś w dalszym ciągu życia napewno się spodziewał, wystarczałaby do przełożenia, jak rozum każe, śmierci nad życie; cierpienie owo bowiem nie byłoby niczém nagrodzone, ile że życie prawdziwéj rozkoszy zaznać nie może.

Por. Mnie zdaje się, że sama nuda i brak nadziei lepszego bytu wystarczają do obudzenia żądzy zakończenia życia, nawet u tego, którego stan fortuny jest nietylko nie zły, ale pomyślny. I wielokroć dziwiło mię, że nigdzie nie czyta się wzmianki o książętach, co pragnęli umrzeć z samego zniechęcenia i przesyty, jak się czyta i słyszy codziennie o ludziach zostających w nędzy. Do takich należeli ci naprzykład, co wysłuchawszy wykładów filozofa cyrenejskiego Hegezyasa o nędzy życia, wychodzili ze szkoły i zadawali sobie śmierć, z którój to przyczyny nazywany był Hegezyasz przydomkiem: *namówca śmierci*; a powiadają, o czém wiesz zapewne, że nakoniec król Ptolomeusz zakazał mu prawić w téj materyi. Jeżeli czyta się o samobójstwie niektórych książąt, jak Mitrydatesa, Kleopatry, Ottona rzymskiego i kilku innych, to wiadomo, że motywem ich było nieszczęście i boleść oraz chęć uniknienia nędzniejszój doli. Mnie zdaloby się wiarogodnym, że książęta prędzéj niż inni obrzydzają sobie stan swój i uczuwają wstręt do świata, oraz pożądanie śmierci. Bo stojąc na szczycie tego, co się nazywa szczęśliwością ludzką, nie mogą spodziewać się wielu, albo żadnego może z upragnionych dóbr ziemskich (skoro posiadają je wszystkie), oczekują z dnia na dzień podobnego dniowi obecnemu jutra. Zawsze zaś terażniejszość, choćby najradośniejsza, będzie smutną i niemłą; podobać się zdolna przyszłość jedynie. Bądź-co-bądź, musimy ostatecznie zrozumieć, że (wyjawszy strach przyszłego świa-

ta), to co powściąga ludzi od samowolnego porzucenia życia; to co skłania ludzi kochać je i przekładać nad śmierć, nie jest czém inném, jak najprostszą i najjawniejszą omyłką rachunku i miary w obliczeniu i zestawieniu z sobą szkód i korzyści. Ta zaś omyłka zdarza się, rzecz można, tyle razy, ile jest momentów, w których każdy z nas obejmuje ramionami życie i zgadza się na nie i cieszy zeń czy to w przekonaniu i woli, czy téż w czynie tylko.

Pl. Tak jest istotnie, Porfiryuszu mój. Z tém wszystkiém pozwól, że ci poradzę, i ścierp, że cię proszę, podać ucha w téj kwestyi naturze raczój, niż rozumowi. Owój naturze pierwotnej, matce naszój i wszechświata, która choć nie nauczyła nas kochać się wzajem i uczyniła nieszczęśliwemi, jest nam przecież mniej wroga i złośliwa niż my sobie sami umysłem własnym, ciekawością nieustanną i bezgraniczną, dociekaniem, rozprawami, snami, nieszczęsnemi przekonaniem i doktrynami; owszem, ona usiłowała wyleczyć niedolę naszą, ukrywając przed nami, przeobrażając większą część zjawisk swoich. A chociaż wielkie jest przekształcenie się ludzkości i nader uszczuplone w nas władze natury, nie są one jednak zniweczone zupełnie i nie jesteśmy zmienieni i przerodzeni do tyła, aby nie pozostała w nas wielka doza pierwotnego człowieka, To, co nazywasz omyłką rachunku, błąd prawdziwy i nie mniej ważny jak namacalny, popelniają ustawicznie, nie tylko głupcy i tępogłowi, ale równie rozsądni, uczeni i mądrzy; i pełniać będą go wiecznie, jeżeli sama natura, co ten nasz rodzaj stworzyła, nie zaś mędrkowanie i ręka ludzka go sprostuje. I wierz mi, że nie istnieje obrzydzenie życia, rozpacz, przekonanie o nicości wszech rzeczy, o błahości trosk, o samotności człowieka; ani nienawiść świata i siebie samego, któreby trwały dostatecznie długo; choć te stany umysłu wynikają z rozumu a przeciwne im są nierozumne. Z tém wszystkiém po pewnym przeciągu czasu, skoro zwolna powróci równowaga cielesna, potrosze, a często od jednego razu, z przyczyn drobnych i nieraz niewidzialnych: wraca ochota życia, budzą się nowe nadzieje, świat przybiera uprzejmieszczą postać i pokazuje się godnym zajęcia — jeżeli nie rozumu, to przynajmniej, aby tak rzec — zmysłów duszy. To zaś wystarczy, aby człowiek, choć świadom i przekonany o prawdzie, mimo to wbrew rozumowi trwał dalej w życiu i wiódł je dalej jak inni; zmysły nim bowiem owe (powiedzieć można), a nie rozum rządzi.

Niechże będzie rozumne samobójstwo, niech będzie przeciwne rozumowi i nagięcie duszy do życia; pierwsze zostanie zawsze czynem dzikim i nieludzkim. A piękniejszy jest zawsze i miłszy człowiek, według natury, niż według rozumu potwór. Czemu przetém nie chcemy baczyć na przyjaciół, krewnych, na dzieci, rodzeń-

stwo, rodziców, żonę, na osoby poufałe i znajome, z którymi żyliśmy czas długi, a które umierając, trzeba porzucić nazawsze: czemu nie zważamy na serdeczny ból z tego rozłączenia, ani nie pomyślimy, ile przecierpią oni już w skutek straty osoby ukochanej i blizkiej, już to w skutek okropności zdarzenia? Wiem ja, że umysł mędrca nie powinien być zbyt miękki, że nie należy, aby go zaraz przemogła litość i czułość, tak, iżby się zachwiał i upadł i wił się po ziemi, stając się więcej niż podłym, by folgował łom niemiernym i czynom niegodnym tego, który ma pełne i jasne rozeznanie ludzkiego stanu. Tę jedną siłę ducha zastosować należy w wypadkach smutnych, zdarzonych losem i nieodwołalnych, nie zaś nadużywać jej, pozbawiając się dobrowolnie nazawsze widoku, obcowania, bliskości osób najdroższych. Nie mieć za nic boleści z rozłączenia, utraty rodziców, powinowatych, znajomych; i nie być zdolnym w tym razie żadnego bólu, oznacza nie mędrca, ale barbarzyńcę. Nie baczyć, że samobójstwo zasmuci przyjaciół i domowników, znaczy nie dbać o drugich, a dbać zanadto o siebie. W istocie, samobójca nie dba i nie myśli o drugich; szuka własnego jeno pożytku; odwraca się, aby tak rzec — plecyma do bliźnich i do całego rodzaju ludzkiego i tym sposobem w samobójstwie objawia się najprostsza w świecie, najbrudniejsza i bezwątpienia najmniej piękna i najmniej wolnomyślna miłość własna.

Ostatecznie, Porfiryuszu mój, troski i przykrości życia, choć mnogie i ustawiczne, przecież, jeżeli, jak w twoim dziś wypadku, nie przystępują do nich ciosy i klęski nadzwyczajne, lub nieznośne cielesne cierpienie, nie są znów tak do przetrwania trudne, zwłaszcza dla człowieka mądrego i hartownego, jak ty jesteś. Życie zresztą jest rzeczą tak małą, że człowiek sam przez się nie powinien bardzo troszczyć się ani o jego utrzymanie, ani porzucenie. Dlatego nie wążac sprawy zbyt ciekawie, jeżeli mu się zdarza choć drobna okazyja czepienia się raczej pierwszego niż drugiego, nie powinien działać losowi na przekór. Więc jeżeli przyjaciel go prosi, czemu ma go nie posłuchać? Otóż ja proszę cię gorąco, Porfiryuszu, na pamięć lat, któreśmy w przyjaźni przetrwali, porzuć zamiar swój, nie rań smutkiem wiernych, kochających cię przyjaciół i miłe, któremu jesteś osobą najmiłszą, towarzyszem najślodszy. Pomóż nam raczej znosić życie, miast nas tak zapominać i porzucać. Żyjmy, Porfiryuszu mój, i pocieszajmy się wzajem; nie wzdrağajmy się znosić cząstkę tego złego, którą nam z powszechnej niedoli ludzkiego rodu los wyznaczył. Usiłujmy trzymać się razem, dodając sobie wzajem otuchy i wyciągając ku sobie pomocne ręce na podjęcie z większą łatwością ciężaru życia. Trud bezwątpienia nie będzie trwał długo. A kiedy zbliży się śmierć, żalu nie zaznamy;

w ostatniej chwili pocieszą nas przyjaciele i towarzysze i rozweleli nas myśl, że gdy się zatracimy, oni nas zapamiętają jeszcze i jeszcze kochać będą.

17. Rozmowa przekupnia kalendarzy z przechodniem.

Przekupień. Kalendarze, kalendarze nowe! Kupujcie panowie! Kalendarze!

Przechodzień. Kalendarze na rok nowy?

Przek. Tak panie.

Przech. Jak sądzicie, przyjacielu? Będzie-ż szczęśliwy ten rok nowy?

Przek. O! z pewnością, wielmożny panie.

Przech. Tak szczęśliwy, jak rok miniony?

Przek. O! wiele, wiele szczęśliwszy.

Przech. Jak rok zaprzeszły?

Przek. O! jeszcze, jeszcze szczęśliwszy.

Przech. Więc jak któryś z dawniejszych? Czy nie chcielibyście, aby rok nowy był podobny któremuś z ostatnich?

Przek. Nie chciałbym, panie.

Przech. Od wielu lat sprzedajecie kalendarze?

Przek. Dwadzieścia lat już będzie, wielmożny panie.

Przech. Do któregoż z tych lat chcielibyście mieć podobny rok przyszły.

Przek. Ja? rzec nie umiem.

Przech. Nie przypominacież sobie ani jednego szczęśliwego roku?

Przek. Żeby tak rzec — żadnego, panie.

Przech. A przecież piękna to rzecz — życie? Czy nie prawda?

Przek. Tak, bez ochyby.

Przech. Czy nie chcielibyście przeżyć nanowo tych dwudziestu lat i wszystkiego minionego czasu od godziny urodzenia?

Przek. O! drogi panie, dałby Bóg, aby to stać się mogło!

Przech. Ale gdyby wam przyszło przeżyć to życie nie mniej, nie więcej jak z wszystkimi uciechami, smutkami, co się wam zdarzyły?

Przek. Tego broń mię Boże!

Przech. Czyjeż więc życie chcielibyście przeżyć nanowo? Moje życie, albo życie księcia lub inne? Myślicież, że ja, albo

książę, albo ktobądź inny, nie odpowiedziałby temi samemi co wy, wyrazami, że mając do odnowienia żywot już raz przeżyty, pragnąłby cofnąć swoje lata?

Przek. Prawdę pan powiada.

Przech. Nie chcielibyście więc przeżyć go pod temi warunkami, gdyby inaczej nie można?

Przek. Nie! doprawdy, nie chciałbym, panie!

Przech. Jakiegoż więc chcielibyście życia?

Przek. Takiego, jakie Bóg mi zesłał, bez nijakich warunków.

Przech. Więc życia, jak się zdarzy, o którym nie wiedzieliście więcej, niż w roku przysłym.

Przek. Tak właśnie.

Przech. Tego samego jabym pragnął, gdyby mi przyszło żyć nanowo, podobnie też wszyscy inni. Ale jest to znak, że los aż do dnia dzisiejszego z wszystkiemi niełaskawie się obszedł. Wykrywa się bowiem stąd jasno przekonanie każdego, że wszystko złe, które go dotknęło, więcej waży, niż wszystko dobro, jeżeli mając żyć nanowo ze wszystkiém złem i dobrem, żaden żyć nanowo nie ma ochoty. To życie, które nazywamy rzeczą piękną, nie jest życie, które się zna, ale którego się nie zna; nie minione, ale przyszłe. Z nowym rokiem los zacznie być łaskawy i wam i mnie i wszystkim innym, i rozpocznie się życie szczęśliwe. Nie prawdaż?

Przek. Miejmy nadzieję.

Przech. Pokażcież mi więc najładniejszy, jaki macie, kalendarz.

Przek. Oto jest, wielmożny panie. Kosztuje trzydzieści soldów.

Przech. Proszę, oto trzydzieści soldów.

Przek. Dziękuję, panie. Bywajcie zdrowi.—Kupujcie kalendarze, kalendarze nowe!

II. MYŚLI.

I. Wzdragalem się bardzo długo wierzyć w to, co powiadam poniżej, bo pominawszy, że usposobienie moje nadto było tego wszystkiego dalekie, duch zaś usiłuje zawsze sądzić drugich według siebie, — sama skłonność popychała mię zawsze ku miłowaniu ludzi, nie nienawidzeniu. Ostatecznie jednak gwałtem skłoniło mię do wiary w poniższe zdania — doświadczenie; a jestem przekonany, że czytelnicy, którzy wiele i w różnych okolicznościach obcowali z ludźmi, przyznają sądom moim słuszność; wszyscy inni uznają je za przesadne, póki doświadczenie, jeżeli trafi się im okazać dokładnego poznania ludzkiej społeczności, nie stawi im ich w całej prawdzie przed oczy.

Powiadam, że świat to sprzysiężenie łotrów przeciw uczeiwym, podłych przeciw szlachetnym. Jeżeli dwaj łotrowie po raz pierwszy się spotkają, poczują się odrazu, jakby mocą znaku i odrazu przylgną do siebie; a jeżeli interesa ich na to pozwalają, czują ku sobie istotny pociąg i mają dla się wzajem wysoki szacunek. Jeżeli łotr ma związki i sprawy z innemi łotrami, zazwyczaj dochoduje mu wiary i jest dla niego rzetelny; jeżeli z ludźmi czcigodnemi, niepodobna, aby ich nie zdradził i nie pragnął obedrzeć, gdzie zysk dla siebie widzi, choćby to były osoby odważne i mocne pomśczenia się; spodziewa się bowiem, — i zwykle dochodzi celu — pobić zdradami swemi ich odwagę. Widziałem często ludzi tchórzliwych, między łotrami tchórzliwszemi jeszcze; i widziałem, jak osoba trzecia, pełna odwagi stawała ze strachu po stronie łotrów; tak się zdarza zwykle, gdy w podobnych wypadkach znajdują się ludzie pospolici; bo drogi człowieka odważnego i szlachetnego są proste i jawne; drogi łotra skryte i różnorodne. Wiadomo zaś, że rzeczy skryte większy budzą strach, niż znane, i łatwo ustrzedz się zemsty szlachetnych, od której nawet ten sam strach i uniże-

nie ocala; ale żaden strach, żadne poniżenie nie oswobodzi się od tajnych prześladowań, zasadzek, a nawet jawnych ciosów spadających z ręki wroga podłego. Zwyczajnie w codzienném życiu mało kto boi się prawdziwej odwagi już dlatego, że pozbawiona wszelkiego udania nie nosi téj maskary, co ją robi straszną, i że się w nią pospolicie nie wierzy; łotrów obawiają się i dlatego jeszcze, że sztuką udania wydają się odważnemi.

Rzadko widzi się łotrów ubogich, bo nie mówiąc już o innych powodach—jeżeli ucziwy popadnie w ubóstwo, nikt mu nie śpieszy z pomocą, a dla wielu jest to uciecha; jeżeli zubożeje łotr, cała miasto bieży podeprzec go. Przyczynę pojąć można łatwo! Naturalnym jest objawem, że bolą nas nieszczęścia towarzyszy i przyjaciół, zdają się one bowiem nam samym niejako zagrażać; toż chętnie, gdy to w naszej mocy, zapobiegamy im, bo to zapobieżenie rodzi w nas równocześnie pewność, że w podobnym wypadku nam się dopomoże. Otóż, łotrowie znajdujący się na świecie w przeważnej liczbie i z przeważnemi środkami, wspomagają natychmiast innych łotrów, nawet nieznanych i niewidzianych, przez pośrednictwo ich współników i przyjaciół i w potrzebie czują się związani z niemi tym rodzajem spójni, o jakiej mówiłem. Wydaje im się nawet hańbą, aby człowiek znany jako łotr widziany był w nędzy, która w świecie, rzekomym czcieliu cnoty, w podobnych razach zazwyczaj nazywana jest karą, więc obraca się na wstyd, a może obróci się i na szkodę ich wszystkich. W odwracaniu więc owéj hańby działają tak skutecznie, iż mało spotyka się łotrów, chyba że to są istoty zupełnie ukryte w cieniu, którzyby, popadłszy w niedostatek, nie przywrócili wnet spraw swych do znośnego stanu. Przeciwnie, dobrych i szlachetnych, jako nieumiejących przystosować się, uważa ogół za istoty odrębnego gatunku, a wskutek tego nietylko nie szuka między niemi współników i towarzyszy, ale odmawia im udziału w sprawach społecznych i jak powszechnie się widzi, prześladowuje o tyle mniej lub więcej srogo, o ile upadek umysłowy i złość epoki i ludów wśród których się mozolą i żyją, są mniej lub więcej znaczne; bo jak z ciał zwierzęcych natura usiłuje zawsze wyprzec te soki i pierwiastki, które z ich składnikami zgodzić się nie mogą, podobnie w społeczeństwach ludzkich ta sama natura żąda, aby ten, co różni się jaszkrawo od ogółu, zwłaszcza, jeżeli te różnice są zarazem przeciwieństwami, bądź-co-bądź został wydzielony lub zniszczony. I dlatego jeszcze nienawidzi się dobrych i szlachetnych, że zwyczajnie są szczerzy i nazywają rzeczy po imieniu. Co jest nieprzebaczalnym u ludzkości grzechem, bo mniej ona nienawidzi przestępcę i sam grzech niż tego, który je wymienia. Toż często zdarza

się, że ten, co czyni złe, otrzymuje bogactwa, zaszczyty i władzę; ten, co je nazywa, stawiany bywa pod pręgierz; gotowi są bowiem ludzie cierpieć wszystko od nieba i bliźnich, byle w słowach od tego ich uwolniono.

II. Przebież biografie znakomitych ludzi, szukając nie między pisarzami, ale ludźmi czynu, a z trudem znajdziesz ledwie kilku prawdziwie wielkich, którymby nie zabrakło ojca już w pierwszych latach życia. Pozostawiam na boku, że między temi, którzy żyją z kapitału, ten co posiada bogatego ojca, zazwyczaj jest człowiekiem niedoleżnym, wskutek czego nie na świecie nie działa, tém bardziej, że posiadając widoki majątku, pracą własną zdobyć go się nie stara, co mogłoby stać się zarodkiem jakiegoś wielkiego dzieła; tak się jednak nie dzieje zawsze, bo zwykle ci, co dokonali dzieł wielkich, byli majątni i zapewne zaopatrzeni w dobra fortuny od samego początku. Ale pomijając te wypadki, władza ojcowska u wszystkich narodów posiadających prawa, nakłada na dzieci pewien rodzaj niewoli, która będąc domową i ściślejszą i dotkliwszą niż społeczna; chociażby ją łagodziły same prawa i zwyczaje i usposobienie osobiste rodziców, nie przestaje nigdy zgubnych wywoływać następstw: jest nim uczucie, które człowiek, póki ojciec jego żyje, ustawicznie w duszy nosi, tém bardziej, że utwierdza go w niem widoczne i niezawodne zdanie tłumu. Mówię o uczuciu jakoby podległości i zawisłości i braku swobody nad sobą samym; uczuciu, że się nie jest osobą całą, ale częścią i członkiem jedynie; że się imię swe drugiemu winno, a uczucie to, głębsze w tych, co sposobniejsi są do czynu, gdyż mając umysł lepiej rozwinięty, łatwiej odczuwają i wyraźniej widzą prawdę swego położenia, nie zdoła iść w parze nietylko z czynem ale zamysłem wielkim. Nie potrzeba zaś mówić, że gdy w ten sposób przeminie młodość, i w czterdziestym lub pięćdziesiątym roku dopiero czuje się człowiek po raz pierwszy panem siebie, nie czuje bodźca, lub lub gdyby go czuł nawet, nie posiada już zapału ani siły, ani dostatecznego czasu do stworzenia dzieł wielkich. Sprawdza się i w tym względzie, że nie istnieje na świecie dobro, któremoby nie towarzyszyło złe tej samej miary: korzyść bowiem nieoceniona z posiadania w młodości doświadczonego i kochającego przewodnika, jakim jest ojciec, równoważy się rodzajem błahości tak młodego wieku, jak życia.

III. Mądrość gospodarska naszego wieku da się zmierzyć pokupem, jaki mają wydania zwane stereotypowemi, gdzie mało użytkuje się papieru a ogromnie dużo miejsca. Choć na obronę oszczędności papieru dodać można, że charakterem tego wieku jest drukować dużo a czytać mało. Równie jak porzucenie czcionek

okrągłych, używanych w wiekach minionych w całej Europie i zastąpienie ich czcionkami podłużnemi, oraz zastosowanie welinu, rzeczy pięknych, ale szkodliwych dla oczu; nie mniej jednak racjonalnych w czasie, w którym drukuje się dla oczu a nie dla czytania.

V. W kwestyach niezbadanych idź zawsze raczej za zdaniem mniejszości. Głupstwem jest przypuszczać to, co nazywają zgodą narodów w pytaniach filozoficznych; na zgodę tę nie zważa się zupełnie w badaniach przyrodniczych i podległych zmysłom, jak naprzykład w badaniu ruchów ziemi i w tysiącu innych. Odwrotnie szalonem jest, niebezpiecznym a przedewszystkiem nieużytecznym opierać się zdaniu większości w przeważnej liczbie zagadnień społecznych.

VI. Śmierć nie jest złem, bo uwalnia od wszystkiego złego, a z dobrami zabiera i pożądaną. Starość jest złem najwyższym, bo pozbawia człowieka wszystkich uciech, pozostawiając mu żądze; niesie też z sobą wszystkie cierpienia. Niemniej obawiają się ludzie śmierci, a pożądamy dosyć starości.

VII. Istnieje — rzecz od powiedzenia dziwna — pogarda śmierci i odwaga podlejsza i bardziej wzgardzona niż strach; a mianowicie odwaga kupców i innych ludzi żądnych gromadzenia majątku, kiedy dla drobnych nawet zysków i z brudnych oszczędności uparcie zaniedbują środków ochronnych, koniecznych dla bezpieczeństwa i narażają się na największe hazardy, w których często niekzemni bohaterowie marną giną śmiercią. Tej wstrętnej odwagi znacznych przykładów widziano wiele, a wynikały z nich często szkody i plagi dla niewinnego ludu, jak podczas zarazy zwaną cholera srożącą się w ostatnich czasach.

IX. Kto wbrew opinii innych przepowiedział powodzenie jakiejś rzeczy, a przepowiednia się sprawdziła, niech nie sądzi, że przeciwnicy jego nawet wobec dokonanego faktu przyznają mu słuszność i nazwą go rozumniejszym i bystrzejszym od siebie: zaprzeczą oni raczej albo faktu, albo przepowiedni, albo będą twierdzić, że okoliczności ich nie były zawarte w sporze, — słowem wszelkimi sposoby będą starali się dowieść i sobie i drugim, że ich zdanie było słuszne a przeciwnika niesłuszne.

XI. Są wieki, które — zamilczając resztę — w sztukach i umiejętnościach podejmują przerobienie wszystkiego, nie bowiem nowego stworzyć nie potrafią.

XII. Jeżeli ten, co wśród bólu i mokołu albo dopiero po długim oczekiwaniu zdobył sobie jakieś dobro, widzi, że drugi dostał go łatwo i prędko, to choć nie traci nic ze swego, czuje się nadzwyczaj boleśnie dotkniętym, bo zdobyta fortuna marnieje

i karli się w wyobraźni na widok, że ją posiada i drugi a co więcej, pozyskaną małym trudem i wydatkiem. Dlatego to robotnik ewangeliczny skarży się jako na krzywdę, że go wynagrodzono równo z temi, co mniej pracowali; a mnichy pewnych zakonów zwykli zadawać różnego rodzaju przykrości nowicyuszom, z obawy, aby nie doszli bez trudu tego stanowiska, ku któremu oni z mołem się pieli.

XIV. Nie mały ból wychowawcom, a przedewszystkiem rodzicom sprawiłaby myśl, że ich dzieci—co jest istotnie prawdą—jakikolwiek posiadają wrodzone skłonności, i jakkolwiek wielki trud, pilność i wydatki poświęcone ich wychowaniu, stają się przez doświadczenie świata, jeżeli śmierć ich zabrać nie pospiesz, nieomylnie gorszemi. Byłoby to może silniejszym i słuszniejszym argumentem niż odpowiedź Talesa, który zapytany przez Solona, czemu się nie żeni, odparł, że dla niepokoju, któreby stąd mogły wyniknąć rodzicom i dla nieszczęść i niebezpieczeństw grożących dzieciom. Byłby powód silniejszy i słuszniejszy, gdyby mędrzec wytlómaczył się był wstrętem powiększenia liczby złych.

XVI. Gdyby winnemu i niewinnemu, — mówił cesarz Otto za świadectwem Tacyta, — był zgotowany ten sam koniec, więcej niż jeden człowiek zginałby niewinnie. Tak samo—sądzę—myśla ci, eo z duszą wielką i stworzoną dla cnoty wszedłszy w świat i doświadczywszy niewdzięczności, niesprawiedliwości, zobaczywszy bezwstydną zawziętość jednych przeciw drugim, zwłaszcza cnotliwym, popadają w przewrotność, niech by zepsuli się, albo poszli za złym przykładem, jak ludzie słabi; ani z interesu, ani z pożądania podłych i lekkich dóbr; ani nakoniec w nadziei uchronienia się powszechniej przewrotności, ale z dobrowolnego wyboru i chęci pomszczenia się na ludziach i odpłacenia im własną ich bronią. A ta przewrotność tém jest głębsza, im z gruntowniejszego pochodzi poznania cnoty, i straszniejsza, jeżeli połączona — rzecz niezbyt pospolita, — z wielkością i siłą umysłu; jest zaś wtedy pewnym rodzajem heroizmu!

XVII. Jak więzienia i galery pełne są ludzi—można rzec — najniewinniejszych, tak urzędy publiczne i godności różnego rodzaju piastują ludzie wezwani i posadzeni w nich mimo swą wolę. Niepodobna prawie znaleźć kogoś, coby przyznał, że zasłużył na karę, którą cierpi, albo szukał zaszczytów, któremi się cieszy; ostatnie jeszcze niemożliwsze, niż pierwsze.

XVIII. Widziałem we Florencyi człowieka, który ciągnąc na kształt jucznego zwierzęcia — jak tam panuje obyczaj — wózek pełen szmat, postępował ulicą z wielkim gniewem krzycząc i rozkazując przechodniom usuwać się z drogi; i zdał mi się wizerunkiem

wielu, co także idą drogą pełni dumy, łącząc drugich z przyczyn nie różnych od owęj, co wywoływała gniew tamtego, to jest, z tej racji, że swój wózek ciągną.

XIX. Znajdują się na świecie osoby, skazane na poróżnienie się z ludźmi w każdej sprawie, nie aby były niedoświadczone lub mało знаły życie społeczne, ale że wskutek niepodatności swęj natury nie zdołają pozbyć się prostoty ani przybrać w udanie i jakoby sztuczną i kłamaną szatę, którą wszyscy inni, nawet ludzie tępego umysłu wzięli na siebie, nawet mimowiednie, i swobodnie ją noszą, a którą na nich trudno rozpoznać od naturalnej i oni sami jej nie rozróżniają. Takie więc osoby, wyróżniając się widocznie między innymi, cenione są lekko, jako uznane za niedojrzałe do ludzkiego towarzystwa; potrącane nawet przez niższych i nieszanowane przez podwładnych; bo wszyscy mają się za coś więcej od nich i poglądują na nie z dumą. Ktokolwiek z nimi się zetknie, próbuje oszukać je i skrzywdzić na zysk własny, śmieliej niż kogo innego, uważając to za rzecz łatwą i bezkarną: ze wszelkich stron doznają wiarołomstwa, usuwane są jako zbyt cenne, uszczuplane w prawie i należności. Spółzawodnicząc w czémś, zawsze wychodzą pobici, nawet wobec niższych od siebie nie tylko zdolnościami i innymi wewnętrznymi przymioty, ale tém co świat jako najwyższe uznaje i ceni, to jest pięknoscia, młodością, siłą, odwagą, nawet bogactwem. Nakoniec, jakiegokolwiek jest ich stanowisko społeczne, nie dostępują nawet tego poważania, jakiego dostąpić mogą kramarze i tragarze. Przyczyna téż tego jest słuszną, bo niemałym jest niedostatkiem i błędem ich natury niezdolność nauczania się tego, czego nauczą się nawet najtępsi z wielką łatwością, to jest tej sztuki, która sama jedna sprawia, że ludźmi zdają się ludzie i dzieci; niezdolność, jak powiadam, niepoprawna. Potém, osoby takie choć z natury skłonne do dobrego, przecież poznawszy życie i ludzi lepiej niż drudzy, nie są (choć się czasem zdają) lepsze nad to, ile poczciwym być wolno bez ściągnięcia na się wstydu mieszczącego się w tym tytule; nie posiadają téż światowego ułożenia, nie przez dobroć lub obrzydzenie go, ale że daremne były w nauczaniu się go najszczerze ich chęci i usiłowania. Nie pozostaje im więc nic, jak pogodzić się z losem, a przedewszystkiém strzedz się chęci ukrycia lub oslonienia owęj wrodzonej prostoty i naturalności, bo nie nie wypada tak źle, ani staje się tak śmieszne, jak udawanie przyswojonego w innych udania.

XX. Gdybym miał talent Cervantesa, napisałbym książkę na oczyszczenie jak on Hiszpanii z błędnych rycerzy, tak ja Włoch i całego oświeconego świata, z wady, która ze względu na życie się w obyczaje obecnego wieku, a także z innych względów nie

mniej staje się okrutna i barbarzyńska jak dzikości średnich wieków, które karci Cervantes. Mówię o wadzie czytania i recytowania drugim utworów własnych, która choć bardzo starożytna przecież w wiekach minionych była plagą znośną, bo rzadką; ale dziś, kiedy wszyscy tworzą i rzecz jest nader trudna znaleźć człowieka, któryby nie był autorem, stała się zarazą, klęską społeczną i nową burzycielką życia ludzkiego. A nie żartem ale prawdą twierdzę, że przez nią znajomości stały się podejrzane a przyjaźni niebezpieczne; i że niema dnia ani godziny, aby ktoś niewinnie nie był zagrożony napaścią i skazany od razu albo powleczoney na skazanie, gdzie mu każą słuchać prozy bez końca, wierszy na tysiące, nie już pod pozorem, iż zdanie jego znać się pragnie, pozorem służącym w dawnych czasach zwyczajnie za motyw takich recytacji;—ale jedynie i wyraźnie na ucieszenie autora słuchaniem, prócz pochwał nieodzownych przy końcu. Z przekonania powiadam, że w niewielu rzeczach objawia się tak wyraźnie z jednej strony dziecięstwo natury ludzkiej, oraz najwyższa ślepotą i głupota, do jakich przywiodła człowieka miłość własną; z drugiej strony stopień, do jakiego dochodzi w ludzeniu się dobrowolnym umysł nasz wiedzący, co znaczy recytowanie własnych utworów. Bo choć każdy jest w sobie świadom niewypowiedzianej przykrości, jaką sprawia mu zawsze słuchanie pism cudzych; choć widzi, że osoby zaproszone do słuchania mieszają się i bledną, wymawiają przeszkodami różnego rodzaju, a nawet ratują się ucieczką i ukryciem, przecież z metalowem czołem, z zadziwiającym uporem, jak zgłodniały niedźwiedź szuka i ściga ofiarę swą po całym mieście, a dognawszy, wlecze, gdzie sobie postanowił. A wśród recytacji, choć domyśla się naprzód po ziewaniu, potem po przeciąganiu się, niepokoju i tysięcznych znakach, śmiertelnych mąk, jakich doświadcza słuchacz nieszczęśliwy, przecież nie przestaje i nie puszcza go, ale coraz dzikszy i groźniejszy ciągnie dalej, deklamując i podnosząc głos przez całe godziny, a nawet dni i noce, aż ochrypnie i aż, dawno już przygnębiwszy słuchacza, sam się poczuje bezsilnym, choć zawsze niesytym. Przez cały czas tej krwawej łaźni, którą wyprawia bliźniemu, sam niewątpliwie doświadcza rozkoszy szczytnych, rajskich, widzimy bowiem, że dla tej przyjemności porzucają ludzie wszystkie inne uciechy, zapominają snu i jada i świat cały tracą z przed oczu. A rozkosz ta polega na silném przekonaniu, że słuchający zdumiewa się czytaniem dziełu i lubuje w niem; inaczej wróciłby się autor na puszcę raczej, niż ku ludziom. Jaką zaś ucezuwa lubość słuchający (umyślnie mówię *słuchający* nie *słyszający*), o tém każdy wie z doświadczenia, autor zaś ze spostrzeżeń; wiem też, że wielu wybrałoby, niż rozkosz

podobną, raczej ciężkie cielesne cierpienie. Nawet najpiękniejsze i najcenniejsze dzieła zdolne są zabić nudą, jeżeli sam autor je czyta; a dobrze rzekł jeden mój przyjaciel filolog, że jeżeli prawdą jest, iż Oktawia, słysząc Wergiliusza recytującego szóstą pieśń Eneidy, zemdlala, to stało się to nie przez wspomnienie — jak mówią — syna Marcelego, ale raczej wskutek nudy sprawionej czytaniem.

Taki jest człowiek. A błąd, o którym mówię, tak barbarzyński i śmieszny, sprzeciwia się téż rozsądkowi stworzeń rozumnych, i jest istną chorobą rodu ludzkiego; bo niema ludu tak okrzęsianego, ani pory, ani wieku, w którychby nie grasowała ta plaga. Włosi, Francuzi, Anglicy, Niemcy, osoby sędziwe, pełne mądrości w innych razach, gienialne i znakomite, znające wybornie życie społeczne i jego warunki; lubiące piętnować głupotę i wyszydzać ją; — wszystkie stają się okrutnymi dziećmi w okazyi czytania własnych utworów. Jak zaś w naszych czasach jest błędem, podobnie był nim za czasów Horacego, któremu już zdał się nieznośny, za czasów Marcyala, który zapytany przez kogoś, dlaczego nie czyta swoich wierszy, odpowiedział: aby nie słuchać twoich; niemniej za szczęśliwych czasów Grecyi, kiedy to Dyogenes Cynik, znajdując się w towarzystwie umierającym z nudy pośród takich lekcyj, zobaczywszy w ręku autora na końcu księgi zjawiającą się kartę białą, rzekł: Odwagi, przyjacielu: ład spostrzegam.

Dzisiaj jednak sprawa zaszła tak daleko, że słuchacze choć zmuszeni siłą, nie wystarczają już wymaganiom autorów. Stąd niektórzy moi znajomi, ludzie wynalazczy, zastanawiając się nad tym punktem i rozumiejąc, że recytowanie własnych utworów jest jedną z potrzeb ludzkiej natury, umyślili zapobiedz potrzebie i równocześnie obrócić ją, jak się obraca wszystkie potrzeby społeczne, na wspólną korzyść. Ku temu celowi otworzą wkrótce szkołę czy akademią, czy ateneum, gdzie o każdej porze dnia i nocy oni, oraz ludzie przez nich oplaceni obowiązują się słuchać autorów za stałą zapłatą; to jest za prozę: pierwsza godzina płaci się skud, druga dwa skudy, trzecia cztery skudy, czwarta ośm skudów, i t. d. w postępie geometrycznym. Poezyą ceni się podwójnie. Gdy ustęp raz czytany pragnie autor — jak się zdarza — powtórzyć, płaci lir od wiersza. Jeżeli słuchacz zaśnie, zwraca się autorowi trzecią część należnej sumy! Od wypadku konwulsyj, zemdleń, i innych napadów lekkich i ciężkich, mogących wydarzyć się śród czytania jednej lub drugiej stronie, szkoła będzie zaopatrzona w krople i lekarstwa, zadawane *gratis*. Tak uczyniwszy narzędziem zysków rzecz dotąd nieplodną, t. j. uszy, otworzy się nową drogę przemysłu z powiększeniem powszechnej zamożności.

XXI. Nie doświadcza się śród mówienia tak żywej i trwałej przyjemności, jak kiedy wolno rozprawiać o sobie samym, lub o rzeczach, które nas obchodzą, które nas jakimś sposobem dotyczą. Każda inna rozmowa wnet zmienia się w nudę; a to, co nam jest miłe, słuchającemu staje się wstrętne. Tytuł miłego pozyskać można jedynie za cenę cierpienia, bo miłym w rozmowie jest ten jedynie, co pochlebia cudzej miłości własnej, co przedewszystkiem słucha długo,—rzecz sama przez się pełna nudy; co następnie pozwala, aby drugi mówił o sprawach własnych, ile mu chęci starczy, co sam za cel rozmowy te sprawy bierze i puszcza się o nich w dysputę, aż póki przy rozstaniu jeden nie wychodzi rad i zadowolony z siebie, drugi najokropniej znudzony. Bo wogóle, jeżeli najlepszym towarzystwem jest to, które opuszczamy pełni zadowolenia z siebie samych, najbardziej znudzonym i znużonym jest równie ono. Wynika stąd, że w dyspacie lub jakiegokolwiek rozmowie, której celem jest jedynie rozrywka, przyjemność jednych jest nieuniknienie nudą drugich i, rozpoczynając ją, można się spodziewać albo nudy albo uciechy; wielkie zaś szczęście, jeśli uda się obu doświadczyć w równej mierze.

XXIII. To, co powiadają powszechnie, że życie jest komedią, sprawdza się zwłaszcza w tém, że cały świat mówi ustawicznie inaczej, a działa inaczej. A że na tej komedii wszyscy są dziś aktorami, bo wszyscy recytują na jedną modłę; nikt zaś widzom, bo próżna gadanina świata nie oszuka dziś nikogo, prócz starych i dzieci, następstwem tego jest, że przedstawienia owe stały się rzeczą zupełnie głupią, stały się nudą i niepotrzebną męką. Byłoby więc godnym wieku naszego zadaniem uczynić życie nanowo rzeczą nie udaną lecz prawdziwą i pogodzić po raz pierwszy na świecie sławną niezgodę słów i czynów. A że czyny, wskutek dość długiego doświadczenia uznane zostały za niezienne, nie wypada zaś, aby ludzie mozolili się szukaniem niemożebności, wypada pogodzić ją środkiem, który równocześnie jest jedyny i nadzwyczaj łatwy, dotąd jednak niepróbowany, to jest wypada zmienić słowa i nazywać raz już przeciwie rzeczy po imieniu.

XXIV. Albo się mylę, albo rzadko dziś znaleźć osobę powszechnie wielbioną, której pochwały nie poeżyłyby się z jej własnych ust. Takie jest samolubstwo, taka zazdrość i nienawiść ludzka, że chcąc pozyskać imię, nie dość ci świetny czyn wykonać, ale potrzeba go chwalić albo znaleźć—co na jedno wychodzi—kogoś, coby go chwalił i wysławiał ustawicznie w twojem imieniu, kładąc go wielkim głosem w uszy publiczności, aby tak mocą przykładu, i zapalem i uporem zmusić ją do wzięcia udziału w tych pochwałach. Nie spodziewaj się, aby rozpoczęły je tłumy z własnego

popędu, oczarowane wielkością, ceną i pięknnością wykonanego przez cię dzieła. Patrzą na nie i mileżą zawsze, a mogąc, przeszkadzają, by je ktoś drugi oglądał. Kto chce wznieść się, nawet mocą zasługi, niech precz z siebie wygna skromność. I w tym względzie świat podobny jest do kobiety: Wstydlivością i powściągliwością nie się od niej nie zyska.

XXV. Nikt nie jest tak zupełnie rozczarowany światem, ani go zna tak do gruntu, ani takim ku niemu pała gniewem, aby, gdy ten raz nań spojrzy łaskawie, nie czuł się częściowo pojednanym; podobnie jak nie znamy człowieka tak złego, któryby, pozdrowszy nas uprzejmie, nie wydał się zaraz mniej złym niż przedtem. Te uwagi mają na celu wskazanie słabości człowieka, nie zaś usprawiedliwianie złości i świata.

XXVII. Niema wyraźniejszego dowodu na to, że ktoś jest mało filozofem i mało mądrym, jak, jeżeli żąda, aby mądre i filozoficzne było całe życie.

XXVIII. Ludzkość, a mówiąc o indywidualach—każda jej część dzieli się na dwa obozy: jedni używają swęj przewagi, drudzy ją znoszą. Ponieważ ani prawo, ani władza żadna, ani postęp filozofii i oświaty nie zdołają przeszkodzić, aby człowiek urodziwszy się nie należał do jednych lub drugich, staje się, że kto posiada swobodę wyboru, wybiera. Prawda téż, że nie wszyscy posiadają ją i nie zawsze.

XXIX. Żaden zawód nie jest tak jałowy, jak zawód pisarski. A przecież, tyle w świecie znaczy fałsz, że z jego pomocą nawet literatura staje się korzystną. Fałsz jest duszą—aby tak rzec—życia społecznego i sztuka, bez której istotnie żadna sztuka i rzemiosło, sądząc ze skutków, jakie w ludzkich duszach zostawia, nie są doskonałe. Jeżeli porównasz fortunę dwu osób, z których jedna pod jakimbądź względem ma wartość prawdziwą, druga fałszywą, zawsze znajdziesz, że druga jest zasobniejsza, a nawet w większej ilości wypadków jedynie zasobna w porównaniu z drugą. Nie pochodzi to, jak sądę, ze złych skłonności naszego rodu, ale stąd, że prawda jest zawsze uboga i ułomna; człowiekowi zaś, aby się ucieszył, lub porwał do czynu, potrzeba zawsze urojenia i złudy i obiecanki czegoś więcej, niż się dać może. Sama natura ma mi człowieka i czyni, że życie staje się mu znośnêm jedynie z pomocą wyobraźni i złudzenia.

XXX. Jak rozdzaj ludzki ganiąc terażniejszość zwykły był chwalić przeszłość, podobnie przeważna część podróżnych, póki są w podróży, chwalą sobie kraj rodzinny, przenosząc go z pewnym rodzajem gniewu nad ten, w którym się znajdują. Skoro powrócą,

stawiają go z tym samym gniewem niżej wszystkich, które zwiedzili.

XXXI. W każdym kraju błędy i zło powszechne ludzi i społeczeństwa uważane są za szczegól jemu jedynie właściwy. Nie znam miejsca, gdziebym nie słyszał skarg: u nas kobiety są próżne i niestale, czytają mało i są nieoświecone; to znów: tłum jest ciekawy spraw cudzych, gadatliwy i złośliwy; na inném miejscu: tu pieniądze, względy, uniżenie znaczą wszystko: tu grasuje zazdrość, przyjaźni są nieszczerze; tak wszędzie na tę samą nutę, jakby gdzieśindziej działa się inaczej. Ludzie są nędzni z konieczności, a skłaniają się do wierzenia w swą nędzę z przypadku.

XXXII. Postępując naprzód w praktycznym poznaniu życia, człowiek łagodzi w sobie tę surowość, dla której młodzież szukająca zawsze doskonałości i spodziewająca się znaleźć ją i przymierzająca wszystko do ideału, zawartego w swój duszy, tak nielato przebacza ułomności i folguje szacunku zaletom szczupłym i szwankownym lub małoceennym pochwałam, jakie się jój od ludzi dostały. Potem, spostrzegłszy, jak wszystko jest niedoskonałe, i przekonawszy się, że mimo te drobne cnoty, któremi wzgardziła, świat nie stał się lepszy, i że prawie nie i nikt nie jest zaprawdę godzien szacunku, powoli, ukróciwszy miary i przykładając to, co się jój stawia przed oczy, nie do doskonałości lecz prawdy, przyzwyczajają się przebaczać wolnomyślnie i przyznawać cenę już każdej średniej zachości enocie, każdemu cieniowi godności i nawet słabiuchnym zdolnościom; tak że w końcu wydają się jój chwalebniemi osoby i rzeczy, które przedtém ledwo znośne się jój przedstawiały. Co dochodzi tych granic, że ku czemu pierwotnie nie była zdolna uczuć estymy, teraz ku temu samemu nie zdolna obudzić pogardy, zwłaszcza młodzieńcy bogatsi rozumem. Zaiście, wielka wzgardliwość i nieukontentowanie pierwszej młodości nie jest dobrym znakiem; ludzie téj natury musieli byli, albo z braku inteligencyi, albo z braku doświadczenia mało świat poznać, albo téż należą do głupców, co gardzą drugimi przez zbytnią cześć, jaką czują ku sobie. Nakoniec prawdą jest, choć nieprawdopodobnym się zdaje i nie wskazuje na nic innego, jak na nieskończoną nizkość wszechrzeczy twierdzenie, że znajomość świata uczy raczej cenie niż pogardzać.

XXXIV. Młodzież sądzi zwyczajnie, że przydaje sobie wdzięku, przystrajając się w smutek. I może, kiedy jest udany, smutek na chwilę może się podobać, zwłaszcza kobietom. Lecz od prawdziwego uciekają wszyscy, a w społeczeństwie ludzkim podoba się i znajduje popyt przeważnie wesolość; bo ostatecznie, wbrew mnie-

maniom młodzieży świat lubi śmiać się nie płakać i ma w tém słusność.

XXXV. W niektórych miejscach napół oświeconych, napół barbarzyńskich, jakim jest naprzykład Neapol, można wyraźniej spostrzedz coś, co zresztą sprawdza się na każdym miejscu: że człowiek znany ubogim nie jest prawie uważany za człowieka; znany bogatym znajduje się zawsze w niebezpieczeństwie śmierci. Stąd pochodzi, że w takich miejscach jest rzeczą konieczną—i tak się zwykle czyni—stan swój pieniężny uczynić tajemnicą: aby tłum nie wiedział, czy ma gardzić tobą, czy cię zaklóc; przez co stajesz się tém, czém są zwyczajnie ludzie: napół wzgardzonym, napół szanowanym; raz nienawistnym, raz obojętnym.

XXXVI. Wielu pragnie swobody niecenego obchodzenia się z tobą, a równocześnie wymaga, abys ty, pod groźbą ich nienawiści, z jednej strony uprzejmie nie przeszkadzał im krzywdzić cię, z drugiej strony nie uważał ich za niecnych.

XXXVII. Niema nieznośniejszego przymiotu w życiu powszednim i rzeczywistym mniej znoszonego, jak nietolerancya.

XXXVIII. Jak sztuka szermierska staje się nieużyteczna, kiedy walczą z sobą dwaj szermierze równej biegłości, bo jeden tak nie ma przewagi nad drugim, jak gdyby obaj nie byli biegli; podobnie zdarza się bardzo często, że ludzie napróżno używają fałszu i złości, bo spotkali się z równymi sobie; a tym sposobem skutek jest ten sam, co z zetknięcia się szczerego ze szczerym, prawego z prawym. Niewątpliwie, sądząc po przykładach, złość i dwulicowość wtedy tylo niosą zyski, kiedy wsparte są siłą, lub mają do czynienia z mniejszą złością i chytrością lub z prawdziwą dobrocią. Ostatni wypadek jest rzadki; drugi, tycejący się złości nie zbyt powszechny, bo ludzie są źli przeważnie na jeden sposób i prawie w równym stopniu. Nie można jednak obliczyć, ile razy potrafiliby, czyniąc dobrze jedni drugim, pozyskać z łatwością to samo, co zdobywają z trudem, lub czego wcale nie zdobywają, używając przemocy, lub przymuszając się do jej użycia.

XL. Nieznośna jest rzecz mówić wiele o sobie samym. Ale ludzie młodzi, im żywszą posiadają naturę, wyższy nad mierność umysł, tém trudniej umieją ustrzedz się tego błędu; prawią téż o sobie z szczególnym zapalem, przekonani, że słuchacza obchodzi to najmniej, jak ich samych. Tak czyniącym wolno przebaczyć, nie tylko ze względu na niedoświadczenie, ale, iż widoczną jest rzeczą, że szukają ulgi, pomocy, wylania się w słowach wobec burzliwych zapalów swego wieku. I zdaje się dziać za powszechném przyzwoleniem, że młodzież posiada jakoby prawo i swobodę zdobycia sobie myślą całego świata.

XLI. Rzadko zdarza się, aby człowiek czuł się obrażonym słowy rzeczonemi o nim, nie w jego obecności i nie w zamiarze doniesienia ich jego uszom, bo gdyby zechciał sięgnąć pamięcią i rozważyć swoje nawyknięcia, nie znalazłby przyjaciela tak drogiego, ani osoby tak szanownej, którymby nie sprawiły przykrości niejedne uwagi i wyrazy, co się mu z ust w ich nieobecności o nich wymknęły. Z jednej strony, nasza miłość własna jest tak drażliwa i tak podejrzliwa, że niepodobna, aby słowo jakieś wyrzeczone o nas² poza plecyma, jeżeli powtórzone jest wiernie, nie zdało się niegodne nas albo mało godne i nie sprawiało nam przykrości; z drugiej strony trudno opisać, jak postępowanie nasze dalekie jest od zasady nie czynienia drugim, co nam byłoby nie miłe, oraz do jakiego stopnia wolność brania drugich na języki uznawana jest za niewinną.

XLIII. Ludzie uznani w świecie za uczciwych są ci, z którymi obcując możesz, nie spodziewając się żadnej łaski, nie obawiać jednakże pokrzywdzenia.

XLV. Najskuteczniejszém lekarstwem na złorzeczenia, podobnie jak na pogńebienie ducha, jest czas. Jeżeli świat gani jakieś nasze przedsięwzięcie lub postępek, dobry czy zły, należy nam jedynie wytrwać. Po niejakiś czasie przedmiot się uprzykrzy, złośliwi porzucą go, szukając nowego. Im stalsi i mniej pomieszani okazemy się wśród prześladowań, gardzą ludzką mową, tém prędzej rzecz potępiana pierwotnie i uważana za dziwaczną, zostanie uznana za rozumną i naturalną; bo świat, nie wierzący nigdy, aby ten, co nieustępuje, nie miał racyi, nakoniec potępi siebie a nas usprawiedliwi. Skąd wynika, rzecz znana, że słabi żyją po woli świata, mocni zaś po swojej woli.

XLVI. Nie przynosi wiele zaszczytu—nie wiem, czy ludziom, czy cności—sposzczerzenie, że we wszystkich językach cywilizowanych, starożytnych i nowożytnych te same wyrazy oznaczają dobroć i głupotę; to samo znaczy *pocziwicie* co *gluptas*. Podobne wyrazy, jak włoskie *dabbenaggine*, greckie εὐθήτης, εὐθήθεια, pozbawione pierwotnego znaczenia, z którym mało może byłyby w użyciu, zatrzymują albo noszą od początku jedynie drugie. Oto, jak człowiek cenił dobroć zawsze i wszędzie; sąd jego o niej i jej pojęcie zdradzają się nawet mimo jego wiedzę w formach języka. Niezmiennym przekonaniem człowieka, a niemniej—sądząc po zjawiskach mowy—zawsze ukrytym jest, że nikt, mogący wybrać, nie wybiera dobroci; głupcy są dobrmi, bo innemi być nie umieją.

XLVII. Człowiek skazany jest albo na bezcelowe spędzenie młodości, która jest jedyną porą przynoszącą owoce następnej porze życia i zapobiegającą równocześnie własnym potrzebom; albo

téż na gromadzenie uciech dla téj epoki życia, która cieszyć się niemi już nie będzie zdolna.

XLVIII. Jak wielka jest wrodzona nam miłość ku stworzeniom tego samego gatunku, można rozpoznać z zachowania się zwierzęcia lub niedoświadczonego dziecka, jeżeli przypadkiem obaczy odbicie swoje w zwierciadle; to jest widząc je istotą podobną do siebie, wpada w złość i zaciętość, starając się wszystkimi siłami dokuczyć jéj i pięścią pobić. Ptaszeta domowe, tak łaskawe z natury i przyswojenia, rzucają się przeciw zwierciadłu, krzyczą, z podniesionemi skrzydłami i otwartym dziobem, kłując je; a małpa, gdy go dostanie, rzuca na ziemię i depce nogami.

XLIX. Z natury nienawidzi stworzenie podobnego sobie, a gdy tego wymaga korzyść własna, krzywdzi je. Dlatego przed nienawiścią i krzywdami ludzkiemi ochronić się nie można; przed wzgardą można, nawet często. Stąd zazwyczaj bezużyteczna jest człobitność, jaką młodzież i ludzie nie znający świata składają tym, z którymi się zetkną, nie z uniżenia albo dla wyzyskania ich, ale z dobrotliwej chęci odwrócenia nieprzyjaźni i zjednania sobie przychylności. Ta chęć nie dojdzie celu, a godność ich doznaje szwanku; bo w człowieku tak uszanowanym rośnie rozumienie o swéj wartości, w unizonym zmniejsza się. Kto nie szuka z ludzi korzyści lub poklasku, niech téż w nich nie szuka miłości, bo jéj nie znajdzie, a jeżeli chce iść za mą radą, niech godność swą zachowa w całości, nie świadcząc nikomu nad to, co mu się należy. Tak będą go ścigać i nienawidzić bardziej niż innych, ale mniej za to mieć go w pogardzie.

L. W jednym hebrajskim zbiorze sentencyj i zdań, przełożonym według jednych z arabskiego, według drugich hebrajskiego pochodzenia, czyta się śród innych rzeczy małej wagi, że jakiś mędrzec na oświadczenie czyjes: „Jestem ci przychylny“, odpowiedział:— „Dlaczegożby nie? kiedy nie jesteśmy ani jednéj religii, ani krewnemi, ani sąsiadami, ani jesteś moim opiekunem“. Między podobnemi tam największa nienawiść, gdzie największe podobieństwo. Młodzież skłonniejsza jest z wielu przyczyn do przyjaźni, niż kto inny. Niemniej, prawie niepodobna jest trwała miłość między dwoma, którzy używają zarówno, jak to mówią, pełnéj młodości, to jest sposobu życia poświęconego dziś głównie zabiegom wobec kobiet. Między takimi przyjaźni jest najniemożliwsza, już-to dla namiętnych wybuchów, już-téż dla rywalizacyi i zazdrości nieuniknionych, już-téż, że jak zauważyła pani de Staël, powodzenie u kobiet budzi zazdrość w najgorliwszym nawet przyjacielu. Kobiety są po pieniądzach tą rzeczą, wobec których ludzie są najmniej powściągliwi i najmniej zgodni; wobec których znajomi,

przyjaciele, bracia zmieniają oblicze i postępowanie; bo ludzie są sobie przyjaciółmi, krewnemi, są wogóle istotami cywilizowanymi, nie aż do stopni ołtarza, jak mówi starożytne przysłowie, ale aż do zetknięcia się ze złotem i kobietą; potem stają się dzikiem zwierzęciem. W zabiegach o względy kobiet, jeżeli mniejsza jest nieludzkość, zazdrość jest większa niż w kwestyach pieniężnych; bo tam przedewszystkiem zaczepiona jest próżność, albo, lepiej mówiąc, miłość własna, między wszystkimi uczuciami najbardziej osobiste i najbardziej drażliwe. I choć każdy w podobnych wypadkach postępuje podobnie, nikt nie uśmiechnie się ani powie grzeczność kobiecie, aby natychmiast obecni nie starali się albo jawnie, albo między sobą zachowanie się jego okryć śmiesznością. Stąd, jakkowiek połowa przyjemności wynikającej z powodzeń tego lub odmiennego rodzaju leży w opowiadaniu ich, to przecież nie jest rzeczą poradną zwierzać się z miłosnemi zdobyczami, jak to zwykła czynić młodzież; bo żadne opowieści nie są nad tę przykrzejsze i najczęściiej, choć prawdziwe, bywają wyszydzone.

LII. Niech nikt nie sądzi, że nauczył się żyć, jeżeli nie nauczył się uważać za marną monetę obiecanek czynione mu przez kogokolwiek, głównie zaś obiecanek dobrowolne, choćby to były najuroczystsze i najuporniejsze przyrzeczenia, a więcej jeszcze gorące i nieskończone namowy i prośby rzekomego dobrodzieja, abyś ze stosunków jego korzystał, wymieniającego przytém sposoby i okoliczności i usuwającego przeciwnie argumenta. A jeżeli ty, albo przekonany, albo uczuwszy wstręt ku takim prośbom, albo z jakiegokolwiek bądź przyczyny skłonisz się w końcu napomknąć takiemu dobrodziejowi o jakiegóś potrzebie, spostrzeżesz, że nagle zblednie, zwróci rozmowę na inny przedmiot, odpowie ci niewyraźnie i pozostawi bez decyzji; a odtąd dużo upłynie czasu, nim uda ci się spotkać go i to szczęście wiele cię będzie kosztowało zabiegów, równie jak otrzymanie na list przypominający cię jego względem—odpowiedzi. Ludzie nie kwapią się z dobrodziejstwami, jużto, że wymagają one same przez się mozołu, już téż, że kłopoty i przykrości znajomych sprawiają im osobliwego rodzaju przyjemność; lecz lubią tytuł dobroczyńcy i wdzięczność cudzą i tę przewagę, którą nadaje dobrodziejstwo. Czego zatem nie mogą ofiarować, przyrzekają, a im cię widzą dumniejszym, tém skwapliwiej nastają naprzód, aby cię poniżyć i zawstydzić, następnie ponieważ tém mniej obawiają się, że ich chwycisz za słowo. Odważnie więc prowadzą rzecz aż do ostateczności, gardząc niebezpieczeństwem narażenia się na nazwę kłamcy, a mając pełną nadzieję pozostania dobroczyńcami;—aż na pierwszy wyraz, tracący prośbą, szukają w ucieczce ratunku.

LIII. Mawiał Bion, starożytny filozof: „Nie można podobać się tłumowi, chyba stając się ciastkiem, albo słodkim winem.“. Lecz tego niepodobieństwa, póki trwa społeczeństwo ludzkie, szukać zawsze będą wszyscy, nawet ci, co mówią, albo wierzą, że za niem nie gonia; tak jak póki istnieje ród nasz, najdoświadczeni si nawet będą uparci aż do śmierci szukać szczęścia i ufać w nie.

LIV. Uznano za pewnik, że człowiek nie przestaje nigdy — chyba na czas krótki — mimo jawność i przekonanie, że się rzecz ma przeciwnie, wierzyć, wiarę swoją ukrywając nawet przed drugimi, w prawdziwość tych rzeczy, które dają spokojność umysłu i, żeby tak rzec, możebność życia. Starzec zwłaszcza światowy nie przestaje do ostatka w kącie swój duszy żywić przekonania, choć przy każdej sposobności przeciw temu się zastrzega, że przez szczególny jakiś wyjątek od powszechnej reguły, jakimś nieznanym i niepojętym jemu samemu sposobem zdoła jeszcze wyrzucić niejakię wrażeń na kobiety; bo stan jego stałby się zbyt nędznym, gdyby czuł się nazawsze i zupełnie wykluczonym od tego dobra, którego zdobyciu raz tym, raz owym sposobem, raz z większym, raz z mniejszym mozołem poświęca wszystkie zabiegi żywota człowiek, przynajmniej człowiek oświecony. Kobieta rozwiozła, choć spozstrzega nieustannie objawy opinii publicznej jej wartości dotyczące, sądzi trwale, że ogół uważa ją za uczciwą i że tylko mała liczba jej zaufanych, starych i nowych (mówię mała ze względu na publiczność) zna i ukrywa przed światem, a nawet wzajem przed sobą jej prawdziwą wartość. Człowiek podłych obyczajów już to wskutek tej podłości, już z braku odwagi zaniepokojony sądem drugich wierzy, że postęпки jego tłómaczy się w najlepszy sposób i że ich prawdziwe pobudki nie są znane. Podobnie w szczególnym zastosowaniu robi uwagę Buffon, że chory w chwili śmierci nie wierzy ani lekarzowi ani przyjacielom, ale jedynie wewnętrznej nadziei, obiecującej mu wyjście z obecnego niebezpieczeństwa. Nie mówię o zdumiewającym zaufaniu lub nieufności mężów ku żonom, nieustanny przedmiot powieści, komedyj, żartów i szyderstw u tych ludów, gdzie związek małżeński jest nierozzerwalny. Niema też na świecie rzeczy tak fałszywej i tak bezrozumnej, którejby nie wzięli za prawdę ludzie nawet najwytrawniejsi zawsze, kiedy umysł nie może się pogodzić z jej przeciwieństwem i uspokoić się wewnętrznie. Pośpieszam dodać, że ludzie starzy mniej są skorzy niż młodzież utrzymać wiarę w to, co im boleść sprawić może, a pozbyć się mrzonek złudnego szczęścia; bo duch jej silniejszy, bo stanął oko w oko z złem i wytrzymałszy dla utrzymania wiary lub niewiary w zło lub dobro.

LV. Wysztydzą kobietę, która zbyt gorzko i serdecznie opła-

kuje zmarłego męża, ale oburzają się, jeżeli z jakiegóś koniecznej przyczyny zjawi się na publiczném zebraniu lub zrzuci przed zwyčajnym czasem żądobę. Tak to zdanie utarte, a nie ze wszystkiém trafne, że świat zadawalnia się pozorami. Dodać należy dla uzupełnienia go, że świat nie zadawalnia się nigdy samą treścią; często nie dba o nią, a często jój nie znosi. W świecie starożytnym człowiek starał się raczej być dobrym, niż się zdawać; świat wymaga, aby wydawać się dobrym, lecz nim nie być.

LVI. Prostota wtedy jest pożyteczna, kiedy się jój używa dla sztuki, lub kiedy dla rzadkości nie daje się jój wiary.

LVII. Ludzie rumienia się nie zadanych krzywd, lecz doznanych. Dlatego chcą zmusić krzywdziciela do zarumienienia się, nie pozostaje nic innego, jak wzajem mu odplacić.

LVIII. Bojaźliwi nie mniejszą posiadają miłość własną, jak zuchwali; większą nawet, lub raczej drażliwszą; dlatego właśnie boją się i wystrzegają obrazić drugich nie przez szacunek większy niż u junaków i zapaleńców, ale dla uniknienia wzajemnej obrazy, która sprawiłaby im przykrość niepomierną.

LIX. Powiedziano powielekroć, że o ile upadają prawdziwe enoty, o tyle wznoszą się pozorne. Zdaje się, że głoski podlegają temu samemu losowi, zauważyć bowiem można, że w czasach naszych, im bardziej ginie nie tylko użytek, ale pamięć kaligrafii, tём bardziej upiększają się czeionki drukarskie. Zadne klasyczne dzieło nie było drukowane dawniej z tём staraniem, z jakim dziś drukują się dzienniki i fraszki polityki codziennój, przeznaczone na jedną tylko dobę—sztukę pięknego pisania zaś zna się zaledwo z imienia. I mniemam, że każdy dobrze myślący człowiek, otworzywszy książkę nowożytną, uczuje litość nad temi kartami i literami tak wypięknionemi a służącemi do wypowiedzenia myśli potwornych.

LX. Wypowiada La Bruyère zdanie bardzo prawdziwe, że łatwiej miernemu dziełu zdobyć rozgłos mocą sławy, którą autor już posiada, niż autorowi pozyskać imię za pomocą doskonałej książki. Dodać można, że najprostszą może drogą zdobycia sławy jest utrzymywanie z uporem i pewnością siebie, ile okoliczności pozwolą, że się ją już zdobyło.

LXI. Wyszędlszy z lat młodzieńczych, człowiek gubi własność udzielania się i—aby tak rzec—wpajania się drugim; a utraciwszy ten rodzaj wpływu, wywieranego na otoczenie i łączącego je z nim i sprawiającego, że czuje ono ku niemu niejakaś skłonność, poznaje nie bez nowego smutku, że znajduje się w towarzystwie jakby odosobniony i otoczony istotami, które choć uczuciowe, obojętniejsze są dla niego, niż istoty bez czucia.

LXII. Pierwszy warunek gotowości do poświęceń w pewnych wypadkach jest wysokie o wartości swój mniemanie.

LXIII. Pojęcie, jakie ma artysta o swojej sztuce, a uczony o swojej umiejętności, zostaje w odwrotnym stosunku do pojęcia, jakie wyrobił sobie jeden i drugi o swojej w nich biegłości.

LXV. Jeżeli artysta, albo uczony, albo mistrz jakiegokolwiek sztuki nauczy się porównywać siebie nie z innymi adeptami téjże, ale z nią samą, tém niższe będzie miał o wartości swój pojęcie, im będzie doskonalszy, bo poznawszy gruntownie jęj głębokości, obaczy się wobec nięj nader maluczkiem. Stąd prawie wszyscy wielcy ludzie są skromni; porównują się bowiem nie z innymi, ale z ideałem doskonałości, chowanym w duszy, o wiele czystszy i dostojniejszy, niż ideał tłumu, i rozmyślają, jak od dostąpienia go są dalecy. Ludzie pospolici przeciwnie: wierzą łatwo i pewnie, że nie tylko urzeczywistnili, ale przewyższyli ideał w duszy urojony.

LXV. Żadne towarzystwo, kiedy się przedłuża, nie jest mile, chyba to, którego coraz wzrastające pochwały zysk nam niosą lub uciechę. Dlatego kobiety, nie chcąc, by ich towarzystwo wnet się sprzykrzyło, powinny czynić się zawsze tak cennymi, aby ich pochwały były pożądane.

LXVI. W wieku obecnym murzyni uznani są za rasę innego zupełnie pochodzenia niż biała, a przecież zrównani z nią zupełnie wobec prawa. W wieku XVI przyznawano, że należą do tego samego szczebu co biała, a nawet do téj samej familii, a przecież co się tyczy korzystania z praw, jak utrzymywali głównie teologowie hiszpańscy, mieli być tak z natury, jak z woli bożęj nieskończenie od nas niższemi. W obu epokach sprzedawano i kupowano ich i pędzono pracować w łańcuchach pod batem. Taka jest epoka i tak przekonania o moralnych powinnościach idą ręką w rękę z czynami.

LXVIII. Nietrafnie się powiada, że nuda jest złem powszechnem. Powszechnie jest próżnowanie lub otrząsanie się z zajęć, nie nuda. Nuda ogarnąć zdolna tych jedynie, których umysł nie jest pospolity. Im potężniejszy w kim umysł, tém nuda częstsza, boleśnieszka, straszliwsza. Większa część ludzi znajduje dostateczne zajęcie w czémkolwiek, dostateczną uciechę w zajęciu błahem, a choć nie są zupełnie zajęci, nie sprawia im to wielkięj męki. Stąd to pochodzi, że tak bardzo nuda ludzi uczuciowych staje się niepojętą, dziwną i śmiesznią drugim, kiedy mówią o nięj i skarżą się na nią tak boleśnie, jakby na jakie ciężkie a nieuniknione nieszczęście.

LXVIII. Nuda jest pod pewnym względem najwznieślejsem z uczuć ludzkich. Nie przeto, abym sądził, że z rozbioru tego uczu-

cia wynikają następstwa, jak twierdzą niektórzy filozofowie, podobnego rodzaju; niemniej jednak niemożebność zaspokojenia się żadną ziemską rzeczą, ani nawet światem całym; rozważenie nieoceanionych obszarów przestrzeni, liczby i cudownej masy światów i znalezienie, że to wszystko jest małe i bardzo małe dla zapełnienia naszego umysłu; wyobrażanie sobie liczby światów nieskończoną, wszechświata bezgranicznym i uczucie, że duch i pragnienia nasze zawsze jeszcze większe są od wszechświata; wieczne oskarżanie wszech rzeczy o niedostatki i nicłość, ustawiczne uczuwanie braku, próżni a więc nudy, zda się mi poważniejszym znakiem wielkości i szlachectwa, niż się między ludźmi powszednimi spotrząga. Dlatego to mało znają nudę ludzie nizkiej inteligencji, jeszcze mniej znają zwierzęta.

LXX. Wielka liczba tych błędów, które nazywa się dziecinnościami a które są właściwe nieznającej świata młodzieży oraz tym młodzieńcom czy starcom, co z przekleństwa natury są więcej niż ludźmi a zdają się zawsze dziećmi, polega, zastanowiwszy się uważnie, na tém jedynie, że wyżej wymieniami myślą i postępują, jak gdyby ludzie mniej byli dziećmi, niż są wistocie. Bezwątpienia, co naprzód i co najmocniej zadziwi dobrze wychowanego, w świat wstępującego młodego człowieka, to hłałość codziennych zajęć, rozrywek, rozmów, skłonności i umysłów; do téj hłałości jednak przez nawyknienie zwolna się przyzwyczajają, nie bez trudu i męki, gdyż zdaje im się z początku, że po raz drugi przebywają wiek dziecięcy. Tak jest istotnie; młodzieniec zdolny i wykształcony, skoro zaczyna żyć, musi koniecznie w tył się cofnąć, i dziecięcinie trochę; z tego powodu widzi się zawiedzionym w téj ufności, którą posiadał, że teraz skończonym staje się człowiekiem i zrzuca z siebie dziecinną naturę. Kiedyż przeciwnie, powszechném jest zjawiskiem, że im dalej ludzie postępują w latach, tém wyraźniej ich życie nosi pozory dzieciństwa.

LXVI. Z powyżej przytoczonego sądu młodzieży o ludziach, to jest, że uważają ich więcej niż za ludzi, pochodzi bojaźliwość zdradzana przy każdym potknięciu się; lękają się, że utracili szacunek tych, którzy błąd ich widzą lub znają. Pociuszają się téż potrosze, nie bez zdumienia widząc, że są traktowani w ten sam sposób co dawniej. Ludzie nie są tak bardzo skorzy do ujmowania komuś szacunku, musieliby bowiem czynić to ustawicznie; zapominając téż o cudzych błędach, widzą ich bowiem i dopuszczają się sami aż nadto. Nie są téż tak dostojnie stateczni, aby nie patrzyli dziś z zachwytem na tego, kogo wysmiewali wczoraj. Wiadoma téż rzecz, jak często my sami, już to ostro, już téż napół żartem ganimy kogoś nieobecnego, a przecież nie tracimy dlań by-

najmniej szacunku, a kiedy jest obecny, obchodzimy się z nim zupełnie inaczej.

LXXII. Jak młodzież ludzi się w podobnych obawach, tak w nadziejach ludzą się ci, co upadłszy lub straciwszy wiele w cudzej opinii, usiłują podnieść się mocą wyświadczenia łask i grzeszności. Szacunku nie zdobywa się czolobitnością; prócz tego jest on podobnie jak przyjaźń, kwiatem niby, co raz przydeptany i zwiędły, już się nie pokrzepi. Zowych więc, rzec można, poniżej nie zyskuje się nie, prócz większej pogardy. Prawda, że wzgarda, nawet niesprawiedliwa tak jest bolesna i nieznośna, że widząc się nią dotkniętym, mało kto dość jest silny, by się nie poruszył, i nie starał wszelkimi, nawet bezużytecznymi środkami z niej się otrząsnąć. Jest też powszechną nawyczką ludzi mierniej inteligencji zjawiać się dumnymi i wgardliwymi wobec ludzi mało znaczących i okazujących im względy szacunku, a na pierwszy znak lub podejrzenie niedbałości stawać się unizonymi, by jej zapobiedz i czterostokrotnie uciekać się do postępów upadających. Z tej więc równie przyczyny, jeżeli ktoś objawia względem ciebie swą wyższość, winieś odpłacać mu objawieniem jeszcze większej przewagi, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ujrzysz, że duma jego zmienia się w pokorę. W każdym razie celu nie chybisz, bo uczuje obrazę tak dotkliwą, a równocześnie szacunek ku tobie tak zwiększony, że mu starczy to za dostateczną karę.

LWXIV. Wobec ludzi wielkich a zwłaszcza tych, w których przebija się niezwykajna męskość, świat zachowuje się jak kobieta. Nie tylko podziwia ich, ale kocha: zakochuje się w owój przewadze. Często podobnie jak u kobiet miłość taka staje się większa i proporcjonalna do pogardy, jaką objawiają ludziom, do traktowania, jakim ich upokarzają, i strachu, jaki w nich budzą. Tak Napoleon był ulubieńcem Francji i prawie bóstwem żołnierzy, których nazywał karmią dla armat i za taką używał. Generałowie, co tak samo nazywali i wyzyskiwali ludzi, byli za życia bożyszczami wojska, a dziś czarują uczącego się dziejów czytelnika. W takich ludziach podoba się nam nawet pewien rodzaj brutalności i dzikich wybryków, jak kobietom w kochankach. Dlatego tak bardzo ulubiony jest Achilles, gdy przeciwnie dobroć Eneasza i Godryda, mądrość ich i Ulisesa budzą coś nakszałt niechęci.

LXXV. W wielu też innych względach jest kobieta niejako symbolem świata; bo słabość jest właściwością większej części ludzi i sprawia, że wobec najsilniejszych czy umysłem, czy sercem, czy ręką tłum staje się takim, jaką kobieta wobec mężczyzny. Stąd niejako tą samą sztuką podbija się świat i kobiety; zapalem

złączonym z słodyczą, cierpliwością wobec odmowy, mocnym i prawie bezwstydnym uporem dochodzi się celu i otrzymuje rzecz żadaną od potężnych, od bogatych, od wszystkich ludzi w szczególności, od narodów i wieków. Jak od kobiety potrzeba odpędzić rywali i uczynić wkoło siebie pustkę, tak na świecie rzeczą jest konieczną powalić spóźzawodników i utorować sobie drogę przez ich ciała; zwalcza się zaś jednych i drugich tą samą bronią, najskuteczniej potwarzą i szyderstwem. U kobiet i świata, nie zyska nie, albo nader nie po chęci, kto kocha je miłością nieudaną i lękliwą oraz kto ich korzyści nad swoje przekłada. Świat zawsze jest jak kobieta: kto go uwiedzie, ma rozkosz zeń, a potem go depce.

LXXVI. Niema nie rzadszego na świecie jak osoba nieodmiennie znośna.

LXXVIII. Jeżeli dwie lub kilka osób w miejscu publicznem lub na jakimś zebraniu śmieją się między sobą w sposób widoczny, to choć nikt nie wie z czego, każdy zaczyna uczuwać żywe zajęcie; rozmowa owych osób staje się czems ogólnie ważnem; wielu z obecnych zamilka, odziera się od swego towarzystwa, a najśmielsi wchodzą między śmiejących się, usiłując narzucić się na uczestników wesołości. Tak gdyby usłyszano nagle w ciemności huk artylerji, i wszyscy obecni poszliby w rozsypek, nieświadomi, gdzie mogą paść pociski, jeżeli puszkarze uzbrojeni są w kule. Śmiech budzi uszanowanie i poważanie nawet w nieświadomych, zwraca ku sobie uwagę obecnych i nadaje śmiejącym się pewien rodzaj wyższości. Gdybyś przypadkiem znalazł się w miejscu, gdzie jako niepożądany byłbyś przyjęty dumnie i lekceważąco, nie potrzebujesz zrobić nic innego, jak wybrać sobie między obecnymi jednego, który ci się wyda odpowiednim, na cel szyderstwa, i drwić z niego śmiało, otwarcie i bez przestanku, okazując przytém, że śmiech ci idzie z serca; jeżeli zaś jest tam kto, co na ciebie śmieszność zwróci, śmiać się donośniej i wytrwalej niż szyderca. Musiałbyś nie mieć wcale szczęścia, jeśliby śmiech twój spostrzegłszy, najbardziej puszający się i mędrkujący, oraz ci, co się od ciebie odwracali, po krótkim oporze albo nie wynieśli się, albo nie prosili dobrowolnie pardonu, pragnąc odzyskać twe względy i nawet ofiarując się z przyjaźnią. Wielką i straszną potęgą jest między ludźmi śmiech: przeciw niemu nikt w swoim sumieniu nie czuje się dość silnie obwarowanym. Kto ma odwagę śmiać się, jest panem świata, podobnie, jak ten kto ma odwagę gotowości na śmierć.

LXXX. Oglądając po upływie wielu lat osobę, którą znałem młodzińcem, zawsze w pierwszej chwili uczuwałem wrażenie, że widzę kogoś, co doznał jakiegoś wielkiego nieszczęścia. Wyraz

twarży wesoły i otwarty właściwy jest jedynie młodemu wiekowi; a uczucie tego, co się traci, i tych cielesnych dolegliwości, co z dnia na dzień wzrastają, formuje nawet w najweselszych, najłżejszych i najszcześniejszych wyraz twarzy i postaci zwany poważnym, który w porównaniu z wyrazem twarzy dziecięcej i młodzieńczej istotnie jest smutny.

LXXXI. W rozmowie dzieje się jak w pismach; zrazu podobają się niezmiernie: ze względu na nowość dowcipów, na oryginalny koloryt; w dalszym ciągu zaczynają nudzić, bo jedna część książki jest naśladowaniem drugiej. Podobnie w rozmowie; w osobach nowo poznanych ceni się i uważa wysoce sposób wyrażania się, styl opowiadania; też same przez zużycie stają się nudne i upadają w opinii słuchacza, ludzie bowiem koniecznie, jedni mniej drudzy więcej, — jeśli nie naśladowują drugich, muszą naśladować siebie. Dlatego to ludzie, co wiele podróżują, zwłaszcza jeżeli posiadają talent i dar opowiadania, zostawiają po sobie w miejscach, które przebyli, opinią korzystniejszą, niż zasługują, rozumie się, jeżeli znajdą warunki ukrycia zwyczajnej wady umysłów, t. j. ubóstwa. Bo te wiadomości, któremi błysną w jednej lub kilku zaledwo okazjach, mówiąc głównie o przedmiotach swego powołania i to bez sztucznego zwrócenia na nie rozmowy, wyciągnięni grzecznością i ciekawością drugich na słowo, uważane bywają nie za ich cały skarb, ale za najmniejszą jego cząstkę; za zdawkową monetę obecnej doby, nie zaś, jak się ma może w większej części wypadków, za sumę lub przeważną część ich umysłowego bogactwa. Ta zaś wiara utrwała się nazawsze z powodu braku okazji zburzenia jej. Te same przyczyny sprawiają, że z drugiej strony podróżni stają się przedmiotem złudzenia, rozumiejąc zbyt wysoce o zdolnościach osób, z którymi im spotkać się uda.

LXXXII. Nikt nie stanie się skończonym człowiekiem, póki sam na sobie nie uczyni jakiegoś wielkiego spostrzeżenia, które odsłaniając go przed sobą samym i ograniczając własne o sobie rozumienie, ustala poniekąd los jego i stanowisko w życiu. Spostrzeżeniom takim, bez których nikt nigdy nie będzie czémś więcej jak dzieckiem, świat starożytny nasuwał łatwo nieskończone okoliczności; dziś jednak życie prywatne tak jest ubogie w wypadki, i wogóle takiej natury, że wielka część ludzi umiera, nie zrobiwszy tego spostrzeżenia, a przeto pozostaje aż do śmierci dziećmi. Jednym poznanie i opanowanie siebie samych zwykło przychodzić z potrzeb i nieszczęść, lub z jakiejś wielkiej, to jest silnej namiętności, najrychlej z miłości, kiedy ta jest namiętnością gwałtowną, co się niezawsze zdarza. Kiedybydź ona człowieka oświadcza, czy na zaczęciu życia, czy w wieku późniejszym, czy po wielu

lekkich miłośkach, jak prawdopodobnie dzieje się w przeważnej części wypadków; bez wątpienia po przejściu miłości wielkiej i gwałtownej, zaczyna on potrosze poznawać istoty ludzkie, wśród których przyjdzie mu wybijać się na wierzch z pragnieniami, z potrzebami wielkiej wagi, nieznanymi może przedtem; poznaje z bliska naturę namiętności, bo gdy jedna zapłonęła, oświeciły się w niej wszystkie; pojmuje miarę zdolności i sił własnych i umie teraz zdać sobie sprawę, czego wypada mu spodziewać się, czego zaś nie, po sobie, i odgadnąć, jakie stanowisko gotuje dlań przyszłość. Nakoniec życie przybiera w jego oczach postać nową, zmieniwszy się ze słyszanego na widziane, z wymarzonego na rzeczywiste; i czuje się mocą tego wszystkiego, jeżeli nie szczęśliwszym, to, rzecz można, mocniejszym, niż przedtem, to jest zdolniejszym do panowania nad sobą i nad innymi.

LXXXIII. Gdyby ta szczupła garstka ludzi prawdziwie cennych, szukająca sławy znalazła po jednym wszystkich tych, co składają publiczność, u której wśród tysiącznych mozołów usiłują cześć sobie zjednać, prawdopodobnie ochłodliby bardzo w swych zapalach i może zupełnie trudzić się przestali. Tylko, że duch nasz nie potrafi wyzwoić się z pod powagi, jaką w wyobraźni stwarza liczba: i można nieraz zauważyć, że ceni się a nawet szanuje nie już tłum, ale dziesięć w jednej izbie zebranych osób, z których każda po szczególe żadnej nie zda się mieć wartości.

LXXXIV. Jezus Chrystus był pierwszy, co napiętnował tego chwalcę i głosiciela wszystkich cnót udanych, uwłóczyciela i prześladowcę prawdziwych; tego przeciwnika wszelkiej wewnętrznej i istotnej wartości człowieka; szydereę wobec uczuć wzniosłych, jeśli ich niema za udane, czułości słodkiej, jeśli ją ma za szczerą, tego niewolnika możnych, tyrana słabych, wzgardziela nieszczęśliwych, którego Jezus Chrystus nazwał imieniem: Świat, przechowaniem we wszystkich oświeconych językach aż po nasze czasy. Ta idea ogólna, mieszcząca w sobie tyle prawdy i przynosząca po wsze czasy tyle korzyści, nie powstała — jak sądzę — przed czasem owym w myśli niczyjjej i nie przypominam sobie, aby znajdowała się tak wciśniona w jeden wyraz i tak dokładna co do formy w którymkolwiek filozofie starożytnym. Może dlatego, że przed owym czasem podłość i zdrada nie dojrzały jeszcze zupełnie, a cywilizacya nie dorosła jeszcze tego punktu, gdzie większa część bytu spleta się z stanem zepsucia.

Takim więc, jak go skreśliłem, i jak skreślił go Jezus Chrystus jest człowiek zwany cywilizowanym: to jest człowiek, którego rozum i pojęcie nie objawiają, którego księgi i mistrzowie nie zapowiadają, którego natura zawsze sądzi bajecznym; którego tylko

doświadczenie daje poznać i obaczyć rzeczywistym. A zauważyć trzeba, że idea ta, choć ogólna, znajduje się zupełna w nieskończonej liczbie osobników.

LXXXV. U pisarzy pogańskich ogół ludzi cywilizowanych, których my nazywamy społeczeństwem lub światem, nigdy nie jest nazwany ani ogłoszony wyraźnie nieprzyjacielem enoty, ani szkocą dobrych zasad i prawych umysłów. Świat — nieprzyjaciół dobra jest pojęciem, o ile donośnym w Ewangelii i u pisarzy nowożytnych, nawet niekościelnych, o tyle nieznanym, lub mało znanym starożytnym. Nie zadziwi to nikogo, kto rozważy fakt bardzo widoczny i prosty, mogący służyć za zwierciadło każdemu, co zechce porównać stan moralności starożytnych i nowożytnych: to jest, że gdy wychowawcy nowocześni obawiają się społeczności, starożytni jej szukali; gdzie nowocześni w ukryciu domowym, w odosobnieniu i samotni szukają młodym ludziom ochrony przed zarazą obyczajów, starożytni wyciągali młodzież chociażby przemocą z ukrycia i wychowanie jej przedkładali oczom świata, świat zaś równocześnie ich oczom, uważając przykład za zdolny raczej nauczenia niż zepsucia.

LXXXVI. Najpewniejszym środkiem ukrycia przed ludźmi granic swój wiedzy jest — nieprzekraczanie ich.

LXXXVII. Podróżujący wiele ma tę przed innymi korzyść, że przedmioty w jego pamięci prędko się oddalają, tak iż w krótkim czasie zdoła się tym pięknem i poetycznością, które w innych wypadkach potrzebują oddalenia czasu. Kto wcale nie podróżował, tę ma niekorzyść, że wszystkie jego wspomnienia dotyczą rzeczy, pod pewnym względem obecnych; obecnymi bowiem są wszystkie miejsca, których pamięć ich się czepia.

LXXXVIII. Zdarza się nierzadko, że ludzie próżni i zarozumiali miast być samolubnymi i nieludzkiemi, jakby się zdawać mogło, są łagodni, dobroczynni, towarzyscy, a nawet przyjacielscy i usłużni. Sądząc się podziwianymi powszechnie kochają rozumie się swych rzekomych wielbicieli, przysługując się im, gdzie można, choćby dlatego, że uważają to za obowiązek tej wyższości, którą ich, jak mniemają, los obdarzył. Wdają się chętnie w pogadanki, bo sądzą świat pełnym ich imienia; obejście ich jest ludzkie; chwałą sami w duchu tę swoją powolność i tę umiejętność zniżenia się i zastosowania do maluczkich. Zauważyłem zaś, że ze wzrostem rozumienia o sobie wzrasta też ich łaskawość. Nakoniec wiadomość rzekomej przewagi i pewność, że cały świat ją uznaje, odbiera usposobieniu wszelką szorstkość; nikt bowiem nie objawia szorstkiego charakteru, kto jest zadowolony z siebie i z ludzi; układa ich też ona do takiego spokoju, że niekiedy przybierają pozór osób skromnych.

LXXXIX. Kto mało obcuje z ludźmi, rzadko jest mizantropem. Prawdziwi mizantropi zaajdują się nie w samotności, lecz pośród świata, poznanie życia bowiem, a nie zaś filozofowanie jest tém, co uczy nienawiści ku ludziom. Gdy ktoś taki usunie się z ludzkiego towarzystwa, traci w odosobnieniu swoje mizantropią.

XCI. Jeśli cię ktoś komuś przedstawia, a pragnie, aby rekomendacya wywarła wrażenie, niech zostawi na boku zalety istotne i wewnętrzne, a wymieni jedynie dostępne oczom i szczęsnym zdarzone ci losem. Jeżeli jesteś w świecie znakomity i możny, niech powie: znakomity i możny, jeżeli bogaty, niech powie: bogaty; jeżeli tylko szlachetnie urodzony, niech powie: szlachcic; niech jednak nie mówi: wielkiego umysłu, ani: zaeny, ani: dobrze wychowany, ani: miły; ni nie podobnego, chyba mimochodem; chociażby te przymioty były prawdziwe i znaczne. Jeżeli jesteś człowiekiem pióra i posiadasz niejaki rozgłos, niech nie mówi uczony, ani: głęboki, ani: wysoce uzdolniony, ani gienialny, niech powie: sławny; bo jak powiedziałem gdzieindziej, szczęście znajduje szczęście u świata nie wartość.

XCII. Powiada Jan Jakób Rousseau, że prawdziwa uprzejmość polega na obyczajach okazywania się laskawym. Ta uprzejmość zachowa cię może od nienawiści, ale nie pozyska ci miłości, chyba u tych nielicznych, dla których laskawość jest bodźcem odplacenia się. Kto pragnie,— jeżeli nagiąć się umie,— zdobyć u ludzi przyjaźń a nawet miłość, niechaj da poznać, że ich ceni. Jak wzgarda obraża i boli bardziej niż nienawiść, tak szacunek milszy jest nad laskawość i wogóle ludzie bardziej dbają i ubiegają się, aby ich ceniono, niż kochano. Objawy prawdziwego lub udanego szacunku (znajdując niezawodnie wiarę u tych, których dotyczą), będą prawie zawsze wdzięczność; a ci, co nie podnieśli by palca w usługach prawdziwych swych przyjaciół, z zapalem się rzucają na rozkazy tego, co objawia pozorami, że ich ceni. Takie pozory łagodzą nujskuteczniej obrażonych, nie pozwala im bowiem natura ludzka mieć w nienawiści kogoś, co swój szacunek słowy wyznaje. Stąd nietylko jest rzeczą możebną, ale istotnie zdarzającą się widzieć ludzi, nienawidzących i unikających tego, co ich kocha, nawet co im świadczy dobrodziejstwa. Bo jeżeli sztuka opanowania czyjegoś umysłu w obcowaniu polega na skutecznieniu, że ktoś odchodzi bardziej zadowolony z siebie niż był przyszedł; to rzeczą jest pewną, że objawy szacunku skuteczniejsze okażą się w tém łowieniu ludzi, niż objawy laskawości. A im mniej zasłużony będzie szacunek, tém skuteczniejsze jego objawienie. Ci, co używają zawsze rzeczonych uprzejmości, bywają wszędzie mile widziani, bo ludzie lecą jak muchy do miodu,

na lep tej słodczy widzenia się cenionemi. Oddaje się mu też wysokie pochwały, bo z pochwał, któremi w rozmowie kogoś obsypują, rodzi się wysokie pojęcie o pochwałach, które im się należą, już to z wdzięczności, już też, że leży w interesie naszym, aby byli chwaleni i wysoce cenieni ci, co nas cenią. Tym sposobem ludzie mimo swą wolę i wiedzę, mocą jakoby wspólnego układu wysławiania takich osób, wynoszą je w towarzystwie wyżej siebie samych a oni wzajemnie starają się nieustannie dowieść swęj niższości.

XCIV. Kto nigdy nie wyszedł z miejsc ciasnych, gdzie panuje niska ambicya i pospolite skąpstwo i wroga nienawiść wszystkich przeciw wszystkim, to jeżeli uważa za bajkę wielkie wady, nie inne ma też pojęcie o istotnych i hartownych cnotach społecznych. Tak naprzykład o przyjaźni mniema, że należy do poematów i starych dziejów, nie zaś do życia społecznego. Myli się. Nie mówię Piladesów i Piryteusów, ale dobrych i serdecznych przyjaciół znajdziesz na świecie i nierzadko. Do usług, jakich można oczekiwać i żądać od takich przyjaciół, to jest, których istotnie świat daje, należą rady częstokroć nader pożyteczne; niekiedy usługi czynne, rzadziej już pieniężne; a człowiek rozumny i roztrotny rzeczy podobnych domagać się nie powinien. Prędzej znajdzie się taki, co dla obcego narazi na szwank życie, niż taki co dla przyjaciela nie mówię poświęci, ale stawi na niepewne skuda.

XCv. Nie są w tym względzie ludzie bez niejakięs wymówki, bo do rzadkości należy taki, co miałby więcej niż mu potrzeba, ile że wymagania mierzą się nawyknięciami, a wydatki są proporcjonalne do majątku, a często go przeważają. Ci, co gromadzą pieniądze, nie wydając ich, znajdują właśnie potrzebę w gromadzeniu ich, czy dla osobistych celów, czy z obawy przyszłych potrzeb. Nie znaczy nic, że ta i owa potrzeba jest urojona, bo zbyt mało jest na świecie rzeczy, co by nie polegały całkowicie lub w większej części na urojeniu.

XCvi. Z biegiem lat człowiek szlachetny łatwo staje się nieczuły na pochwały i zaszczyty, ale nigdy, jak sądzę, na naganę i pogardę. Pochwała i cześć ze strony najdosłojniejszych osób nie zrównoważą boleści, powstałej z wyrazu lub objawu lekceważenia ze strony najlichszego człowieka. Między łotrami dzieje się może przeciwnie, bo przyzwyczajeni do hańby, a nie nawykli do prawdziwej pochwały, na owę będą nieczuli, ale na tę drażliwi, jeżeli przypadkiem dotknie ich nią człowiek rozumny.

XCvii. Ma pozor paradoksu, ale przez doświadczenie okazuje się prawdziwem zdanie, że ludzie, których Francuzi nazywają oryginałami, nietylko nie są rzadcy, ale tak pospolici, że ośmielam się twierdzić, że trudną byłoby sprawą znaleźć w towarzystwie

ludzkiem człowieka, któryby istotnie nie był, jak to mówią, oryginalnym. Nie mówię już o małych różnicach, między człowiekiem a człowiekiem; mówię o nawyknieniach komuś właściwych, a które drugim wydają się obce, dziwne, niedorzeczne; i twierdzą, że rzadko zdarzy ci się obcować przez czas dłuższy z najoświecszą nawet osobą, abyś w jej obejściu się nie znalazł dziwactwa i niedorzeczności przejmujących cię zdumieniem. To odkrycie uczynisz prędzej gdzieindziej, niż u Francuzów; prędzej może między ludźmi dojrzałymi, sędziwymi niż młodemi, co czasem szukają ambicyi w upodobnieniu się do innych, a prócz tego, jeżeli odebrali dobre wychowanie, w korbach trzymać się usiłują. Prędzej jednak czy później odkryjesz to zjawisko w większości tych, z którymi obczujesz. Tak odmienne są natury i tak niepodobnym jest cywilizacyi, dążącej do zrównania ludzi, naturę wogóle zwyciężyć.

XCVIII. Podobną uwadze powyższej jest następująca: Człowiek, co ma, lub miał kiedykolwiek do czynienia z ludźmi, przypomni sobie, jeśli tylko pomyśli nieco, że był po wielekroć widzem a nawet uczestnikiem scen rzeczywistych, które widziane w teatrze, albo czytane w komedjach lub romansach uważają się ze względu na słuszność za udane. Oznaczało to nie innego, jak, że złość, głupstwo i błędy różnego rodzaju oraz śmieszności ludzkie w słowie lub w czynach powszechniejsze są, niż sądzimy i niż może zgodne to jest z prawdopodobieństwem, pominałszy zjawiska zdające się codziennymi albo z drugiej strony przesydnymi.

IC. Ludzie stają się śmieszni jedynie wtedy, kiedy chcą здаwać się lub być tém, czém nie są. Ubogi, niuczony, prostak chory, stary nie są nigdy śmieszni, póki zadawalniają się być sobą i pozostają w granicach zakreślonych temi właściwościami; stają się jednak niemi, jeżeli starzec chce udawać młodzieńca, chory zdrowego, ubogi bogatego, niuczony chce odgrywać rolę mędrca, wieśniak mieszczanina. Same ułomności cielesne, choćby były bardzo znacznymi, wywołałyby uśmiech jedynie przelotny, gdyby człowiek nie usiłował ukryć ich, to jest chciał okazać, że ich nie ma, to znaczy chciał być tém, czém nie jest. Uważając bacznie spostrzeże się, że skłonności i niedostatki nie są śmieszne same przez się; śmieszne jest usiłowanie pokrycia ich i udawanie, że się jest od nich wolnym.

Ci, co dla uczynienia się miłszymi udają usposobienie odmienne od własnego, błędzą niezmiernie. Przymus, którego po pewnym przeciągu czasu podtrzymać niepodobna, aby nie stał się widoczny, oraz kontrast prawdziwego i przybranego charakteru, który od czasu do czasu ustawicznie prześwieca, czynią człowieka niemiłszym i wstrętniejszym, niżby był w swój właściwej, śmiało wyja-

wianej postaci. Każdy charakter, choćby najnieszcześniejszy, ma pewne jasne strony, które we właściwej chwili odsłonię, jako prawdziwe, milsze sprawią wrażenie, niż najpiękniejsze a udane zalety.

Wogóle dążność do przeinaczania się, psuje wszystko na świecie, i nie z innej przyczyny staje się nieznośnemi mnóstwo osób, co mogłyby zachwycać, gdyby były sobą. Nietylko pojedyncze osoby, ale towarzystwa, ale ludy; znam miasta prowincjonalne oświecone i kwitnące, co stałyby się miłą siedzibą, gdyby nie małpowały stolicy, to jest: nie usiłowały być same przez się raczej stolicami niż prowincyą.

CI. Głosząc swoje nieszczęścia, chociażby jawne, człowiek szkodzi częstokroć szacunekowi i miłości, jakie okazują mu jego najdrożsi: tak jest konieczne, aby każdy silnym ramieniem sam się podtrzymywał, i aby w każdym stanie, mimo wszelkie nieszczęścia, objawiając sam ku sobie szacunek stały i niezmienny, dał przykład czci drugim i niejako skłaniał ich własną powagą do oddawania mu téjże. Bo jeżeli szacunek czyjś nie poczyna się od niego samego, rzadko poczyna się skądinąd: jeżeli w nim nie ma trwałej podstawy, z trudnością się utrzyma. Społeczeństwo ludzkie podobne jest do plynu; każdy w nim molekula i każda cząstka prac i z dołu i z góry i z boków na sąsiednie a za ich pośrednictwem na dalsze, z drugiej strony napierane tak samo, jeżeli tylko w którejś części utracą albo osłabiają siły oporu, przed upływem jednego momentu cała masa plynu na nie się wali i miejsce ich zajęte bywa nowemi molekułami.

CII. Lata dziecięctwa są we wspomnieniu każdego jakoby bajecznymi czasami żywota; podobnie w pamięci narodów bajeczną epoką jest pora ich dziecięctwa.

CIII. Pochwały oddawane nam mają moc uszlachetniania w naszym mniemaniu zalet przedtém lekceważonych, jeżeli pochwały owe jednej z tych zalet dotyczą.

CV. Chytróść, właściwość rozumu, używana bywa niekiedy do wypełnienia jego braków w jednych, do stłumienia jego nadmiaru w drugich.

CVI. Świat śmieje się z tych rzeczy, które raczej należałoby mu podziwiać, a goni, jak lis Ezopa, te, którym zazdrości. Wielkiej miłosnej pasyi, z wielkimi pociechami wśród męki zazdrości się powszechnie i dlatego téż gani bardzo ostro. Szlachetne postępowanie, czyn heroiczny winienby być podziwiany, ale ludzie podziwiając drugich, zwłaszcza sobie równych, sądziłiby, że się poniżają, dlatego, miast podziwiać, sztydzą. Co wywiera wpływ taki, że w życiu codziennym, musi się ukrywać pilniej czyny szla-

chetne niż niskie; bo nizkość jest powszechna, więc bywa przynajmniej przebaczona, szlachetność jest niezwykła, uważana jest za chęć błyszczenia i domagania się hołdów, których świat, a zwłaszcza bliżcy, szczerze wyznawać nie lubią.

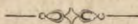
CVII. Wiele błahostek powiada się w towarzystwie dla podtrzymania rozmowy. Za to młodzież, która się ceni, wstąpiwszy w świat, popełnia błąd innego rodzaju; to jest czeka z odezwaniami się, aż mu na myśl przyjdą rzeczy niezwykłej piękności i wagi. Tak oczekując, kończy na tém, że nie odzywa się wcale. Najrozsądniejsza rozmowa i najdowcipniejsza składa się po większej części ze zdań lekkich i utartych, które bądź-co-bądź osiągną cel swój: zabicie czasu mówieniem. I staje się rzeczą konieczną zgodzić się na mówienie rzeczy błahych, aby mózdz czasem odezwać się z niebłahemi.

CIX. Człowiek jest prawie zawsze tyle złym, ile mu potrzeba. Jeżeli postępowanie jego jest prawe, można wnosić, że złość nie jest mu konieczna. Widziałem, jak osoby najłagodniejszego usposobienia, najuczciwsze popełniały najdziksze czyny, aby uniknąć ciężkiej jakiejś szkody, w inny sposób nieuchronnej.

CX. Ciekawe jest spostrzeżenie, że prawie wszyscy ludzie znakomici mają obejście się proste, i że prawie zawsze obejście się proste uważane jest za znamię małej wartości człowieka.

CXI. Usposobienie milczące w towarzystwie wtedy podoba się i chwali, kiedy nie ulega wątpliwości, że osoba milcząca potrafi, kiedy będzie potrzeba, mówić dzielnie i do rzeczy.

III. Z LISTÓW.



1. Do Piotra Giordani'ego w Medyolanie.

Recanati, d. 30 kwietnia 1817 r.

Ileż razy, drogi i upragniony Panie, błagałem nieba, aby mi dało znaleźć człowieka o wielkiem sercu, umyśle i wiedzy, którego bym znalazłszy prosić mógł o zniesienie się ku mnie z swą przyjaźnią! I nie ufałem istotnie, że będę wysłuchany, nie sądziłem bowiem, aby te trzy zalety tak trudne do znalezienia oddzielnie, mogły się odkryć razem w jednym człowieku. A teraz błogosławiony niech będzie Bóg! (z pełni serca wołam), że mi zesłał, o co prosiłem, i błąd mój dał poznać. Niech panuje odtąd między nami—proszę—najotwartzsze zaufanie, pełne szacunku z mojej strony, jak przystoi mniejszemu, pełne swobody z Waszój. Każecie mi, Panie, miarkować się w pracy, zalecacie folgę tak gorąco i troskliwie, że chciałbym otworzyć serce, abys widział rozezulenie pisnem twém sprawione; uczucie zaś to nie zginie nigdy, póki się kształt i treść serca nie odmieni. Wywzajemniając się wedle sił za tę pieczołowitość, wyznaję, że kompleksya moja jest słaba i bardzo słaba i nie zaprzeczę, że potrzeba jej pokrzepić się po sześćdziesięciu trudach. Pofolgowałem im obecnie niemało; nie pracuję nad sześć godzin dziennie, często mniej jeszcze; nie piszę prawie nic; lekturę moję stanowi wydanie klasyków w trzech językach, w małym formacie, książka dająca się łatwo w rękę nosić, tak, że odbywam studia

na wzór perypatetyków i *quod maximum dictu est*, znoszę często przez wiele, wiele godzin straszną karę stania z rękoma za pasem.

Któżby pomyślał, że Giordani podejmie obronę Rekanatów? Drogi Panie, to przypomina mi *si Pergama dextra*. Sprawa jest tak rozpaczna, że nie obroni jój adwokat, stu adwokatów. Łatwo powiedzieć: Plutarch, Alfieri kochali Cheroneę i Asti. Kochali, lecz nie mieszkali w nich. Tak i ja pokocham moję siedzibę, gdy się z nią dobędę; nienawidzę jój, póki w niej siedzę, bo ostatecznie ta biedna miejscina nie mi nie winna. Piękna i słodka ma być rzecz przypominać sobie miejsce, gdzie się przeżyło niemowlęctwo. Pięknie się powiada: Tuś się urodził, tu cię przeznaczyła Opatrzność. Powiedzcie choremu: Chcesz wyzdrowieć? Lecz się z Opatrznością. Powiedzcie biedakowi: Chcesz się zbogacić? Występujesz przeciw Opatrzności. Powiedzcie Turkowi: Niech ci się nie marzy chrzest przyjmować, bo Opatrzność zrobiła cię Turkiem. Taka maksyma jest rodzoną siostrą fatalizmu. „Ale tu liczysz się do pierwszych, w większém mieście pójdiesz między czwartych i piątych“. To wydaje mi się dumą niską i niegodną dostojnego umysłu. Zasługą i zdolnością można wejść między pierwszych, a któż zaprzeczy, że tacy w wielkich miastach błyszczą jaśniej, niż w małych? Chcieć przodować majątkiem i zadowalać się nim bez nieskończonych rozkoszy—nie mówię zmyslowych, bo te mię nie wabia, ale duchowych—dla miłości władzy i przodownictwa jedynie, to zda mi się zabytkiem czasów barbarzyńskich; tak mógłbym zarzewieć i dziedzic. „Tu jednak możesz stać się użyteczniejszy, niż gdzieindziej“. Naprzód, nie myślę poświęcać życia dla tych niewielu, ani rzekać się wszystkiego, by żyć i umrzeć w jamie, byle pośród nich. Nie sędzę, aby mię ku temu stworzyła natura, ani tak ciężkiej ofiary wymagała po mnie, enota. A potem, cóż to myślicie sobie: że Marchia i południowa część rzymskiego państwa podobna jest Romanii i północnej Italii? Tu słyszy się często wyraz: literatura; tu znaleźć można dzienniki, akademie, rozprawy, księgarnie. Panowie czytają coś niecoś. Nieświadomość panuje jeno u tłumu, który bez niej nie byłby tłumem i wielu tu próbuje uczyć się, wielu mniema się poetami, filozofami, sam nie wiem, czém. Nie są tém wszystkiém, ale tém być pragną. Wszyscy czują się powołani prawie o literaturze. Niedorzeczne zdania, które wygłaszają, budzą spólzawodnictwo, wywołują dysputy, rozprawy, uśmiechy nad prawdziwą wiedzą. Wielki umysł tu wypływa na wierzch. Są tu tacy, co zdolni go podziwiać, szanować, zazdrościć mu i pałac żądzą przewyższenia; rzesza ta umie ustępować i ustępuje zasłudze. Tu popieranie literatury zadaniem zda się pożyteczném, celem szlachetnej ambicyi... O, tu drogi

Panie, wszystko martwe, wszystko bezmyślne i głupie. Dziwią się oby tój ciszy, temu powszechnemu uspieniu. Literatura jest wyrazem niesłychanym. Imiona Pariniego, Alfieri'ego, Monti'ego, Tassa, Aryosta i wszystkich innych potrzebują komentarzy. Niéma tu nikogo, coby pragnął być czémkolwiek, nikogo, komu-by niestosowne było imię: ignorancya. Darzą się niém wzajemnie z całą szczerością i prawda ich nie bodzie. Sądysz-li, że umysł wyższy byłby tu ceniony?—Jak perła w kałuży. Dobrze wyrzekłeś sam (gdzie, pomniśz), że im rzadsza wiedza, tém mniej jest ceniona, bo mniej wtedy znana jój wartość. To właśnie zjawisko spostrzega się w Recanati i w tych prowincjach, gdzie talent nie liczy się, między dary natury. Nie jestem niewątpliwie niczém wielkiem, a jednak mam znajomych w Medyolanie, otrzymuję dzienniki, sprowadzam książki, drukuję czasem coś swego; nie czynił tego nigdy żaden Rekanateczyk a *Recincto condito*. Zdawałoby się, że wielu winnoby mieć mię na uwadze, żądać dzienników, czytać moje drobnostki, pytać o pisarzy naszego wieku. Gdzież tam! Dzienniki, skoro przejrzy je moja rodzina, idą na półkę. O pisma moje nikt nie dba, i z tém mi dobrze;—o inne mniej jeszcze; powiem bez dumy, że nasza biblioteka nie ma równej w całej prowincyi, posiadając jeszcze dwie, wiele uboższe. Nad bramą napisano, że wystawiona jest równie dla obywateli i otwarta wszystkim. Czy ja kto nawiedza? Nigdy.—Widzisz sam, że nie jest to pole pod zasiew. A studia moje czy mogą tu postępować swobodnie? Mimo całą bibliotekę brak mi nieraz książek nietylko pożądaných, ale niezbędnych; nie dziw się téż, spostrzegłszy kiedy, że nie znam kóregoś klasyka. Chcąc czytać książkę, której się nie posiada, chcąc jeno zajrzeć w nią na moment, trzeba ją kupić, sprowadzić z daleka, bez wyboru, bez oceny przed nabyciem, wymagającym jeszcze tysiąca trudności. Nikt tu inny książek nie sprowadza; pożyczyć się tu nie da, ani iść do biblioteki, zajrzeć gdzie potrzeba i polożyć: tak, że kosztą nie rozdzielają się, ale ciążą na nas samych. Łoży się na nie ustawicznie, ale wydatki są nieskończone, zamysł nabywania wszystkiego szalony. Potém człowieka uczonego tu nie znaleźć, z którymby zabawić się można; zaś zachowywać myśli swe dla siebie, nie módz przewietrzyć i roztrząsać własnych opinij, lub ucieszyć się niewinną pompą własnej wiedzy, nie widziéć znikąd pociechy i rady w chwilach i dniach znużenia i zniechęcenia—sądysz-li, że jest wielką rozkoszą? Miałem zrazu głowę pełną teoryj nowożytnych, gardziłem, nie znosiłem nawet badań z rodzimego zakresu; wszystkie moje oryginalne piśmidła były przekładami z francuskiego; lekceważyłem Homera, Dantego i wszystkich klasyków; czytaé ich chęci nie miałem; smakowałem w tój lekturze,

ku której dziś wstępnie czuję: co mię skłoniło smak odmienić? Łaska boża;—żaden człowiek z pewnością. Kto mi ułatwił poznanie potrzebnych nieodzownie języków? Łaska boża. Kto mię upewni, że w studyach mych nie idę raczym krokiem? Nikt. Lecz dajmy temu pokój.—Co jest w Recanati pięknego? Co widzieć i nabywać warto? Nic. A przecież Bóg stworzył ten świat tak pięknym, tyle pięknych rzeczy zdziałali ludzie, a ludzi na nim tak wielu, że nie jest bezmyślnem pragnienie widzenia i poznania wszystkiego; ziemia ubrana jest w cuda, a ja w 18 latach mam powiedzieć: W tej jamie żyć będę, umrę, gdzie się urodziłem. Czy takie popędy należy poskramiać? Czy są nieprawe, dumne, przesadzone? Głupstwem-li jest kontentowanie się niewidzeniem niczego, nie kontentowanie się Rekanatami? Złe Wam doniesiono, Panie, że powietrze tego miasta jest zdrowe. Jest zmienne, słono wilgotne, zabójcze nerwom i dla swego rozrzedzenia niektórym kompleksyom szkodliwe. Ztémwszystkiem łączy się uparta, czarna, straszna, dzika melancholia, która mię gryzie i żre, studyami się odżywia, w bezczynności olbrzymieje. Wiem ja, czém jest, bo doświadczyłem—choć dziś już nie doświadczam—ta melancholia słodka, przez którą świat pięknieje; słodsza niż wesołość, będąca, że tak rzekę, zmierzchem, podczas, gdy owa jest ciemną i potworną nocą, jest, jak powiadasz sam, trucizną, niszczącą siły ciała i ducha. A czy można pozbyć się jęj, nie czyniąc nic, myśląc jedynie, myślami żyjąc bez chwili światowej rozrywki. Jak uczynić, aby zniknął skutek, póki trwa przyczyna? Co powiadasz o rozrywkach? Jedyłą rozrywką w Recanati jest dla mnie nauka, a ta uciecha mię gubi; reszta jest nudą. Wiem, że nuda mniej mi wyrządza szkody niż utrudzenie, toż z dwojga złego ją często wybieram; lecz z nią rośnie melancholia: a gdy czasem zdarzy mi się nieszczęście rozmawiać z sąsiadami, wracam potem do swęj pracy pełen smutku i ślęczę i dumam w ponurych pograżony marzeniach. Rady na to znaleźć nie podobna, ani przeszkodzić zanikowi mego słabego zdrowia, chyba porzucając to miejsce, co dało początek złemu, co je powiększa co dnia i wzburzonej myśli bynajmniej nie koi. Czuję, że chcąc postępować w studyach, potrzeba od czasu do czasu przerwać je i oddać się chwilowym zajęciom, które zwą się światowemi; na to jednak potrzeba świata, coby mię rozweselić, uśmiechnąć się do mnie, świata, coby błyszczał (choćby fałszywym blaskiem) i był zdolny oderwać mię na chwilę od tego, co boli; nie zaś świata, przed którym wzdrygam się przy pierwszym spotkaniu, co mi psuje krew i złością napawa, i rozżalonego zmusza szukać pociechy w tém, od czego uciec chciałem. Wiész sam, że mam słusność; wskazuje na to list Wasz drugi, ra-

dzący, abym odbył podróż po Włoszech, mimo że później (wiem dlaczego) z znacnym zamiarem, za który szczerą wdzięczność czuję, słowa Twe cofasz. Rozpisałem się tak szeroko, aby Ci dowieść, że za pewne uważam wszystko, co Tobie takim się wydaje.

.....

Czytam z zachwytem, że w miłym twym liście z 15 kwietnia raczysz mówić o moich studyach. Odpowiem na wszystkie kwestye, wyznając zawsze szczerze, w czém moje opinie z Waszemi, Panie, się nie zgadzają, abyś widział, jak bardzo kierownictwa Twego mi potrzeba, i abyś folgując niedostatkom i małości myśli moich sprostować i podnieść je raczył. Że szczególna właściwość pojęć i wyrażen jest właśnie tém, co wyróżnia pisarza klasycznego od pospolitego i że tém trudniejsza jest do zachowania, im język bogatszy, prawda to tak namacalna, że na nią natychmiast trafiłem, skorom tylko zaczął zastanawiać się poważnie nad literaturą; wkrótce doszedłem z łatwością, że najprostszym środkiem przyswajania sobie podobnej właściwości jest przekładanie z jednego języka na drugi dobrych pisarzy. Ale by było prawdą, że skoro umysł dojrzeje, utrwalą się i potrafi już z całą świadomością rozeznaczyć, w jaką stronę natura go ciągnie, z konieczności wtedy skłania się napozór ku prozie niż wierszowi—na to powiem otwarcie—zgodzić się nie mogę. Sądząc po sobie, mogę błędzić; wyznam jednak, co mi się zdaje, co mi się wydarzało i wydarza. Skoro tylko zacząłem cokolwiek pojmwować piękno, ten popęd odzwierciedlania przekładami i przyswajania sobie wszystkiego, co czytam, przychodził mi jedynie z lektury poetów, ze skłonności malowania jedynie natury i ludzkiej pasyi, ale w sposób dobitny i podniosły; słonności rozpiętej niejako duszę i mówiącej do mnie: Oto poezya, a do jej wyrażenia potrzeba wierszy nie prozy—więc pisałem wiersze. Czyż nie każesz mi dziś czytać Homera, Wergiliusza, Dantego i innych wielkich? Nie wiem, czy mógłbym o nich zapomnieć, gdyż czytając doznaję rozkoszy, która się nie da opowiedzieć słowy, i często zdarza mi się, że gdy siedzę spokojnie, myśląc o czém inném, a ktoś z rodziny wymówi przypadkiem wiersz któregoś z klasyków, zadrzę nagle i coś mnie zmusza snuć w pamięci wiersze następne. Zdarzało mi się téż, że gdy siedziałem w swym gabinecie z myślą spokojną i wolną, w godzinie przyjemnej muzom, a wziąłem w rękę Cycerona, czytając czulem, jak dusza moja usiłowała podnieść się, a zmęczona powolnością i ciężkością téj prozy, zmuszała mię porzucić czytanie i wziąć do ręki Horacego. A jeżeli dozwalasz mi téj lektury, jakże chcesz, abym znając tych wielkich, smakując w nich i wdychając w sie-

bie i na ich piękności ciągle poglądając, pohamował się potem i nie poddał? Gdy patrzę na wdzięki natury w miejscach istotnie czarujących (jedynę zaleciej mój rodzinnej siedziby), zwłaszcza zaś w czasie obecnym, czuję się tak uniesiony, że zdaloby mi się grzechem śmiertelnym nie zwracać na to uwagi, pozwolić minąć temu młodzieńczemu zapałowi, pragnąc zostać naprzód dobrym prozaikiem, i po dwudziestu dopiero latach zwrócić się do poezyi; naprzód, wtedy żyć już nie będę, powtóre, myśli ulecą a dusza ochłodnie, przynajmniej nie będzie już tak jak dziś gorąca. Nie powiem, abym rozumiał, że skoro natura powołuje cię ku poezyi, masz iść za jej popędem, nie troszcząc się o nic więcej; świadom też jestem, że poezya wymaga nieskończonej nauki i trudu i że sztuka poetycka tak jest głęboka, że im dalej się postępuje, tém wyraźniej poznaje się, że doskonałość spoczywa na dnie w głębi, o jakiej się pierwotnie nie marzyło. Zda mi się tylko, że sztuka nie powinna stłumiać natury; a robienie się naprzód dobrym prozaikiem, aby zostać później dobrym poetą jest, jak sądzę, przeciwne naturze, która przecież naprzód robi cię poetą, a dopiero potem w wieku chłodniejszym udziela ci dojrzałości i stateczności potrzebnej dla prozy. Czyż nie pofolgujesz tej *mens divinius* Horacego? Jeżeli tak, czemu żądasz, aby się kryła, aby, kto ją posiada, nie spostrzegł tego w zachwycie młodych lat na widok natury, wśród czytania poetów? A spostrzegłszy, czyż może stać się, aby wahał się i marudził i dążył naprzód do skończoności dobrego prozaika a potem dopiero, jak żądasz, nieśmiało próbował poezyi? Chcesz może twierdzić, że ta „myśl boska“ jest bajką i że rodzaj jej zaginął? Któż więc jest prawdziwym poetą? Czy ten, co więcej się uczył? Czemu nie wszyscy, którzy wiele się uczyli i wielki posiadają umysł, są poetami? Nie sądzę, aby wymienić można przykład prawdziwego poety, któryby poetyzować nie zaczął już w wieku młodzieńczym, oraz wielkich poetów, którzyby równie byli znakomici w prozie; a zda mi się, że i ta mała liczba z poetów dopiero przerobiła się na prozaików. Sądzę, że co się tyczy języka, łatwiej utrzymać jego doskonałość bez przesady, z całą swobodą i żywością w prozie niż wierszu, bo w prozie afektacją i wymęczenie widzi się (mówiąc po florentyjsku), jak byka na śniegu, w poezyi zaś nie tak łatwo; naprzód, że wiele rzeczy jest przesadą i wymęceniem w prozie, a czém innym w poezyi; po drugie, że w poezyi nawet to, co jest istotnie przesadą, ukrywa się łatwo w harmonii i obrazowości języka, tak, że ledwo się ją spostrzeżę. Kiedy przekładam poezye, udaje mi się łatwo (choć dbam o zachowanie wyrażen i siły oryginału), nadać przekładowi jego ducha i zagładzić pracę; aby to samo osiągnąć w prozie, poe-

się niezmiernie i nakoniec prawdopodobnie daleki jeszcze jestem od pierwowzoru. Dlatego zdanie moje jest, że przekład poetycki wymaga umysłu wyższego, natchnionego i tysiąca innych rzeczy: przekład prozaiczny zaś większego ćwiczenia, dłuższej lektury i może jeszcze (zdaje mi się to koniecznym) kilku lat pobytu w kraju, gdzie się mówi dobrym językiem: we Florencyi. Podobnie w tworzeniu: jeżeli chcę iść w ślad Dantego, może uda mi się przykroić język i nagiąć myśli do pisania wierszy, o których nie będzie można, przynajmniej tak skoro, powiedzieć: to jest naśladowanie; przeciwnie stanie się, jeżeli będę chciał doścignąć listy Caro'na. Przez litość, kochany Panie Giordani, nie chciaj uważać mię za szaleńca, że tak śmiało i tak nie bacząc mój małości powiedziałem to, co czułem. Nie wzdragaj się pouczyć mię, w czem potrzeba. Będzie to praca łatwa sama przez się, a godna litości i dobroci Twego serca. ect. ect.

2. (88). Do Piotra Giordani'ego w Medyolanie.

Recanati, 19 grudnia 1819.

Myślałem, że zdolność kochania, jak zdolność nienawidzenia, wytarła się w mój duszy. Teraz spostrzegam, list twój czytając, że żyje jeszcze i działa. Widocznie świat jest czemś, a ja nie ze wszystkiem umarłem, kiedy czuję się rozgrzany miłością ku twemu dobremu sercu. Powiedz, gdzie znajduję podobnego tobie; gdzie znajduję, kogobym tak namiętnie kochał? O droga duszo, jedyna *infandos miserata dolores* mnie nędznego, sądzisz-li, że wzrusza mię twa litość, ponieważ jest zwrócona ku mnie? Otóż niema dla mnie wzruszeń, bo niema innego życia nad łyzy i stan politowania godny, a jeżeli kiedy czuję się cokolwiek pocieszonym, wtedy mam siłę płakać; płaczę, bo jestem nieco weselszy; płaczę nędzy ludzkiej i nicości wszechświata. Był czas, kiedy złość ludzka i pogwałcenie cnoty budziły we mnie oburzenie a z oglądania na zbrodnie ból się w sercu wszczynał. Teraz płaczę niedoli niewolników i tyranów, uciśnionych i ciemięsców, dobrych i złych; już iskrą gniewu się nie zapalam, życie to nie zda mi się godne zabiegów. Tym mniej posiadam siły chować niechęć ku głupcom

i prostakom, z którymi nawet próbuję pogodzić się; a że nawyknięcia moje i tryb życia, codzienne wypadki i miejsca nie zmieniły się od czasu dziecięctwa, ściskam obiema rękoma te ostatnie ślady i cienie błogostawionego, błogiego czasu, kiedy spodziewałem się i marzyłem szczęśliwość, a spodziewając się i marząc, miałem ją; przeminał, nie wróci nigdy, z pewnością nigdy. W okropnym przeobrażeniu widzę, że z dziecięctwem skończyły się świat i życie dla mnie i dla wszystkich, co myślą i czują, tak, że do śmierci żyje tylko tych niewielu, co pozostali dziećmi całe życie. Drogi mój przyjaciela, jedyna istota, którą widzę w tej ponurzej puszczy świata, ja czuję, że już umarłem; a choć zawsze sądziłem się zdolnym wznioślejszego jakiegoś czynu, nie myślałem, że los każe mi pozostać niczém. Nie troskaj się więc o mnie, bo gdzie zabrakło odwagi, tam już niema miejsca dla niepokojów; raczej kochaj mnie cicho jako nieprzeznaczonego ku niczemu i przekonanego, że życie moje się skończyło. Ja wywzajemnię się tém ciepłem, jakie pozostało duszy zmrożonej i skostniałej. Karol i Paolina ¹⁾ pozdrwiają cię z serca. Addio.

3. (93). Do Piotra Giordani'ego w Piaczency.

Recanati, 6 maja 1820.

Pożądam gorąco pięknej wiosny, w której widzę jedyne lekarstwo na mą zgnębiałą duszę; a przed kilku dniami, nim się spać układałem, otworzyłem okno mój sypialni, i widząc czyste niebo i łagodny blask miesiąca, czując powiew ciepłego powietrza i gdzieś w dali psów szczekanie słysząc, spostrzegłem powstające we mnie jakieś stare obrazy i zdało mi się, że serce ogarnia wzruszenie; więc zacząłem płakać jak szaleniec i błagać litości naturę, co się do mnie snać odezwać chciała. A w téjże chwili ogarniając wspomnieniem stan mój miniony, do którego wnet niechybnie powrócić miałem, jak się téż stało, strętwiałem z przestachu, nie mogąc po-

¹⁾ Brat i siostra poety.

jąć, jak można cierpieć życie bez złudzeń i uczuć gorętszych bez marzeń i zapału, z których składały się dni moje zeszłego roku i które mimo pracę tak mię czyniły szczęśliwym. Teraz schudłem i wyschłem jak trzcina, żadne pragnienie nie ma wstępu do méj biednej duszy, a nawet wieczysta, potężna siła miłości zemdlała we mnie—tak rychło. Tymczasem opowiadam ci, czego bym nie powiedział nikomu, przekonany, że nie weźmiesz mię za romansowego; wszak wiiesz, jak nienawidzę nadewszystko nie-szczęśliwego udania, psującego tyle rzeczy pięknych; jesteś też jedyną osobą, co mię pojąć zdolna, więc nie mogąc komu innemu, zwierzam się tobie z tych moich myśli, których po raz pierwszy nie nazywam próżnemi. Bo jest to nieszczęsnym warunkiem ludzkiego życia, okrutnym fatalizmem rozumu, że gdy rozkosze i smutki ludzkie są próżną złudą, ta męka, która powstaje z przeświadczenia o nicości wszechrzeczy jest zawsze i jedynie słuszna i rzeczywista. A choć kierując całe nasze życie wedle poczucia téj nicości doprowadzilibyśmy do zaniku świat i słusznie zasłużylibyśmy na miano szalonych, przecież formalnie byłoby to szaleństwo rozumne pod każdym względem, a tobie nawet cała wiedza musiała by wydać się głupią; gdyż wszystko na tym świecie dzieje się przez proste i ustawiczne zaprzeczanie téj powszechnej prawdy, że nie jest rzeczywiście prócz nicości. Chciałbym, żeby te uwagi zawstydziły tych biednych mędrków, którzy pocieszają się niezmiernym wzrostem rozumu i myślą, że szczęśliwość ludzka polega na poznaniu prawdy, podczas gdy niema innej prawdy nad nicość; ta zaś świadomość i zachowywanie jęj w pamięci, jak rozsądek wymaga, musi doprowadzić prosto i koniecznie do przekonania, o jakim mówiłem, a które byłoby bezrozumnym według natury, zaś doskonałą i skończoną mądrością wedle rozumu. ect. ect.

4. (183). Do Jacoppsena w Bruges.

(w oryginale po francusku)

Recanati, d. 23 czerwca 1823.

Bez wątpienia, drogi przyjacielu, potrzeba albo nie żyć, albo ciągle czuć, ciągle kochać, ciągle spodziewać się. Uczucie byłoby

najkosztowniejszym darem przyrodzenia, gdyby można użyć go, gdyby było do kogo zwrócić je na tym świecie. Mówilem Ci, że sztuka nie-cierpienia jest obecnie jedyną, której próbuję nauczyć się... bo o nadziei życia już zwątpilem. Gdybym od pierwszych prób nie był przekonany, że ta nadzieja dla mnie jest marna, nie pragnąłbym, nie znałbym nawet innego życia nad entuzjastyczne. Przez pewien czas czułem próżnią istnienia, jak gdyby to był przedmiot realny, który mi ciężył dotkliwie na duszy. Niccoś wszechrzeczy jedynie była dla mnie rzeczywistość. Była mi ona zawsze przytomna, jak obrzydła mara, nie widziałem wkoło siebie nic, prócz pustyni, nie pojmowałem, jak można oddawać się codziennym troskom, których wymaga życie, będąc pewny, że te usiłowania nie przydadzą się na nic. Ta myśl opanowała mię prawie do utraty rozumu. Dobrze mówisz, mój drogi, że świat nie zna zupełnie swych celów i korzyści. Zgadzam się, jeżeli chcesz, że cnota, tudzież wszystko, co piękne, i wszystko, co wielkie, nie jest niezem, jak złudzeniem. Lecz niechby to złudzenie było powszechne; niechby wszyscy ludzie wierzyli w cnotę i pełnili ją; niechby byli litośni, dobroczynni, wspaniałomyślni, pełni zapału;—jednym słowem: niechby świat był czuły—(nie robię bowiem różnicy między czułością ¹⁾, a tém, co nazywają cnotą)—czyż nie byłoby się wtedy szczęśliwym? Czy każde indywiduum nie znajdowałoby tysiąca pociech w społeczeństwie? Czy ostatnie nie powinniśmy dbać o urzeczywistnianie tych złudzeń, ile sił mu starczy, jeżeli szczęście człowieka w rzeczywistości polegać nie może? W miłości wszystkie uciechy, których doznają dusze pospolite, nie ważą rozkoszy, płynącej z jednej chwili zachwyty i głębokiego wzruszenia. Ale jak uczynić, aby uczucie to było trwałe, lub się często w życiu odnawiało? Gdzie znaleźć serce, odwzajemnić się zdolne? Czestokroć unikałem przez kilka dni spotkania osoby, której postać w rozkoszonym śnie mię zachwycała. Wiedziałem, że prysnąłby czar za zbliżeniem się rzeczywistości. Nie widząc, myślałem o niej, a nie odtwarzałem jój sobie według rzeczywistego wyglądu, ale według wymarzonej we śnie postaci. Czy to szaleństwo? Czy jestem romansowy? Sam wiész najlepiej. Prawdą jest, że przywyknienie do rozmyślań, właściwe zawsze naturom uczuciowym odbiera często władzę działania a nawet swobodę uciechy. Nadmiar życia wewnętrznego wypiera indywidualizm człowieka nazewnątrz, ale w ten sposób, że człowiek, co ma poczynać, nie wie. Obejmuje wszystko, chciałby zawsze być pełny,

¹⁾ Sensibilité.

tymczasem przedmioty wysuwają mu się z rąk, właśnie dlatego, że są mniejsze, niż jego objęcie. Wymaga on zawsze od najdrobniejszych swych czynności, od słów, giestów, ruchów więcej wdzięku i wykończenia, niż człowiek dokonać zdolny. W ten sposób, nie mogąc nigdy być z siebie zadowolony ani poprzestać owego samobadania, przytém siłom swym zawsze nienafający, nie potrafi żyć tak, jak żyją drudzy.

Cóż więc jest szczęście? A jeśli szczęście nie istnieje, cóż jest życie? Nie wiem; kocham cię, kochać nie przestanę, zawsze tak czule i mocno, jak niegdyś te lube przedmioty, których tworzeniem bawiła się moja fantazyja, jak te sny, w których ty sam polowę szczęścia umieszczasz. Istotnie, nie dane jest niczemu jeno wyobraźni dostarczać człowiekowi jedynego rodzaju szczęścia, którego jest zdolny. Jest to istotna mądrość, szukać szczęścia, jak ty czynisz, w ideale. Co do mnie, żałuję czasu, kiedy mi było dozwolone szukać go tamże; spostrzegam też z przestrachem, że wyobraźnia moja jałowiej i odmawia mi dawniej używanego pośilkku.

— Ten list już za długi. Rozkosz rozmawiania z tobą o tym przedmiocie, o którym wyrażasz się z taką słusnością i głębokością, sprawia, że zapominam o tój części twego listu, w której pytasz mię o najlepszych naszych pisarzy filozoficznych. Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie kiedyindziej. Co się tyczy teologów, nie wiem nawet, czy ich posiadamy, a mniéj jeszcze, czy posiadamy znakomitych. Co więcéj, jestem nieświadom, czy może istnieć znakomitość w tym rodzaju...

Zdrowie mi służy. Żyję tu jak w pustyni: książki i samotne przechadzki zapełniają wszystek mój czas. Życie moje jednostajniejsze, niż ruchy gwiazd, jałowsze i bezmyślniejsze, niż libretta naszej opery. Do widzenia.

5. (464). Do swoich toskańskich przyjaciół.

Florenca, 15 grudnia 1830 r.

Przyjaciele moi drodzy, wam niech będzie poświęcona ta książka ¹⁾; chciałem nią, co poezyi uczynić dano, — uszyć moje

¹⁾ Pieśni hrabiego J. Leopardi'ego. Florenca 1831. List niniejszy jest dykacją i przedmową.

bolesć i pożegnać (Izy mi się do ócz cisną) literaturę i studia. Miałem nadzieję, że te drogie studia podtrzymają moją starość, i wierzyłem, że straciwszy wszystkie uciechy, wszystkie dobra dziecięctwa i młodości, zdobyłem jedno, którego żadne nieszczęście, żadna siła mi nie wydrze. Ale dożyłem ledwie dwudziestu lat, kiedy ta niemoc nerwów i wnętrzości, która pozbawiając mnie życia, nie daje nadziei śmierci, zmniejszyła dobro owo mniej niż do połowy, a potem dwa lata przed skończeniem lat 30 wydarła je zupełnie i, jak sądzę, nazawsze. Wiecie, że kart tych sam przejrzyć nie mogłem i że poprawiając, musiałem posługiwać się okiem i ręką cudzą. Skarżyć się już nie umiem, nie znosi nawet skarg przeświadczenie o méj niedoli. Straciłem wszystko, jestem kłoda, która czuje i cierpi. Szczęście moje, że was pozyskałem; a towarzystwo wasze zastępujące mi studia i uciechy i nadzieje, równoważyloby niedolę, gdyby ta sama niemoc korzystać zeń, ile bym pragnął, nie przeszkadzała i gdybym nie oczekiwał, że los wnet i tego mię pozbawi, zmuszając spędzić resztę życia w opuszczeniu od wszystkich pociech cywilizacyi, w miejscu, gdzie raczej umarłym, niż żywym mieszkać-by przystało. Przecież pozostanie mi przyjaźń wasza i przetrwa może dłużej, niż to ciało, które już nie żyje, w proch się rozpadnie. Addio. Wasz Leopardi.

6. (506). Do Ludwika Sinnera w Paryżu.

(W oryginale po francusku).

Florenca, 24 maja 1832 r.

Otrzymałem numerą Hesperusa i serdeczne za nie składam dzięki. Słusznie powiadasz pan, że nedorzecznoscia jest dopatrywać w pismach moich tendencyi religijnej. Jakiebądź są moje nieszczęścia, które wyjawiać uważano za stosowne i może przesadzono nieco w tym dzienniku, miałem zawsze tyle odwagi, że nie starałem się zmniejszyć ich ciężaru błahemi nadziejami przypuszczalnej przyszłej a nieznanéj szczęśliwości, tém mniej niską rezygnacyą. Moje uczucia wobec przeznaczenia były i są zawsze te same, jakie wyraziłem w *Brutusie Młodszym*. Dowodem było tój saméj odwagi, że doszedłszy w badaniach do rozpacznej filozofii nie wahałem się objąć ją całą; z drugiej strony dowód to tchórzliwości ludzi, którzy potrzebuja być przekonani o wartości egzysten-

cyi, że chcą uważać moje filozoficzne opinie za wynik osobistych cierpień i upierają się w przypisywaniu mym stosunkom materialnym tego, co z rozumu jedynie się wysnuło. Nim umrę, muszę zaprotestować przeciw podobnym odkryciom słabości i pospolitości i prosić moich czytelników, aby szukali fałszu raczej w mych obserwacyach i dowodzeniach, niż oskarżali moje choroby.

7. (509). Do swego ojca w Recanati.

Florencya, d. 3 lipca 1832 r.

...Teraz chcę mówić o sprawie szczególniej, którą, jeśli mi wytaczać nie miło, nie milój mi będzie, skoro odezwa moja nie odniesie skutku. Wierzę, że jesteś przekonany, mój drogi ojcze, o wysiłkach, jakie czynilem przez lat siedm, aby zyskać środki utrzymania się własnymi siłami. Wiesz, że ostateczne zniszczenie mego zdrowia nastąpiło z utrudzeń podjętych przed czterema laty, dla wydawnictwa Stelli, w rzeczonym celu. Doprowadzony do stanu, w którym nie mogłem ani czytać, ani pisać, ani myśleć (a przez więcej niż rok nawet mówić), nie traciłem odwagi, a choć nie mogłem już dalej pracować, usiłowałem przecież, za pomocą tego, co już zrobiłem, z poparciem przyjaciół szukać niejakich środków. I może znalazłbym je czy to we Włoszech, czy téż za granicą, gdyby nadzwyczajne kłęski tych lat nie spiknęły się z innymi trudnościami i ostatecznie nie wzięły góry. Literatura w Europie zanikła; księgarze w bankructwie lub zbankrutowani; ten ogranicza się na dziennikarstwie, ów zmuszony porzucić najpopłatniejsze przedsiębiorstwa. We Włoszech śmieszne-by było, przeczuwając, że się żadna książka zaszczytnie nie sprzeda, proponować księgarzom nakłady. Z Francyi, Niemiec, Holandyi, dokąd posłałem wielką ilość manuskryptów filologicznych z pewną nadzieją zysku, dostaję miast pieniędzy jedynie artykuły dziennikarskie, biografie i przekłady. Znajduję się więc, jak pojąć możesz, bez dalszych środków.

Jeżeli kto pożąda śmierci tak szczerze i gorąco, jak ja od dawnego czasu, goręcej już pożądać jój nie może. Wzywam Boga na świadka prawdziwości tych słów moich. Wiesz, jak żarliwie zasylałem doń modły (odprawiając nawet trzydniówki i nowenny), błagając o tę łaskę, jak wobec najlżejszej nadziei bliższego lub

dalszego niebezpieczeństwa drży mi serce z uciechy. Gdyby śmierć była w moich rękach, wzywam znów na świadectwo Boga, że listu-bym tego nie pisał, bo życie *na jakimkolwiek miejscu*, stało mi się wstrętne i pełne męki. Gdy jednak nie podobało się Bogu wysłuchać mnie, wróciłbym do was skończyć dni moje, gdyby pobyt w Recanati, zwłaszcza z obecną niemocą powrócenia do pracy, nie przewyższał gigantycznych sił, jakie posiadam, znosząc cierpienia. Ta prawda, o której sam po ostatniem gorzkim doświadczeniu pewno jesteś przekonany, tak utkwiała w mej duszy, że mimo wielki smutek, jaki mi sprawia oddalenie od ciebie, matki i braci, jestem nieodmiennie zdecydowany nie powracać tam na stały pobyt, chyba trupem. Pragnąłbym gorąco uściskać was, i tylko brak środków może i będzie mógł w stosownej chwili temu przeszkodzić; ale powracać tam bez materyjalnej pewności, że po miesiącu lub dwu, będę mógł się oddalić, jest właśnie tém samém, co mię wyjechać stamtąd zmusiło, mam téż nadzieję, że mi przebaczysz, iż siły moje i odwaga nie starczą na znoszenie życia, które do zniszczenia niepodobne.

Nie wiem, czy stosunki familijne pozwolą Ci wyznaczyć mi małą pensyę 12 skudów miesięcznie. Z 12 skudami nie można żyć po ludzku nawet we Florencyi, jedném z miast włoskich, gdzie życie jest najtańsze. Ale ja po ludzku żyć nie pragnę. Tak się uszczupłę, że według mej rachuby 12 skudów mi wystarczy. Lepsza byłaby śmierć, ale śmierci trzeba czekać od Boga. W wypadku, jeżeli będziesz chciał i mógł to uczynić, raczysz jedynie co dwa miesiące złożyć u kogoś z twoich korespondentów w Rzymie do mojej dyspozycji 24 skudy, wskazawszy mi osobę, u której owę sumę mam podnieść. Byłoby mi pożądané, gdyby przekazy brzmiały na 24 skudów francuskich, co dla Ciebie będzie niewielkiém powiększeniem wydatku, a mnie uczyni wielką różnicę ze względu na kurs skudów rzymskich lub *collonnatów*. A wiesz, że jak u was *colonnati*, tak tu w zwykłym są obiegu skudy francuskie.

Jeżeli stosunki, drogi ojcze, niepozwolą Ci uczynić zadość mej prośbie, proszę z wszelką możliwą szczerością nie doznawać bólu w odrzuceniu jej. Czepię się czego innego, a może powinienem był już czepić się, nie trudząc Cię mojem pisaniem, ale że źródło, o którym mówię, jest tego rodzaju, iż przypuściwszy nawet zdrowie, nie ma prawdopodobieństwa, aby długo mi służyło, obawiałem się, abyś mi nie czynił wyrzutów, że sięgnąłem w nie, wprzód się Tobie nie zwierzywszy. Zresztą doznaję z jednéj strony tak wielkiego bólu, sprawiając Ci przykrość, z drugiéj strony tak zupełnie nie uśmiecha mi się życie zdala od Ciebie, że pragnąłem aż dotąd

i ciągle pragnę, aby odebrana mi została wszelka rodzicielskiej pomocy możebność, i abym wskutek tego, nie mogąc sam się utrzymać, a mniej jeszcze zdecydować się na żebranie, znalazł się w rzeczywistej, stanowczej i nieuchronnej konieczności skończenia śmiercią głodową. Wybacz mi, drogi ojeze, ten zgryźliwy ton, którego używam po raz pierwszy i ostatni w życiu. Czy zechcesz przedłużyć nieco mego istnienia na tej ziemi, czy też prośba moja wyda Ci się przesadna, niewczesna lub niestosowna, niewiele już na tém zależy.

W każdym razie, jeżeli Bóg zechce, abym żył jeszcze, nie przestanę przykładać się jak w przeszłości wszystkimi siłami do zdobycia sobie środków do życia bez uszczerbku rodziny i zrzeknę się posiłków, których obecnie żądam. Pobłogosław mię, drogi ojeze, i prosz za mną Boga; ja ręce twe całuję... etc.

8. (546). Wyjątek z ostatniego listu do ojca w Recanati.

Neapol, 27 maja 1837 r.

Moje cierpienia fizyczne, ciągle i niewyleczalne, doszły takiej gwałtowności, że dalej iść nie mogą; ufam, że pokonawszy narazcie słaby opór, jaki im stawia moje konające ciało, doprowadzą mię na wieczny odpoczynek, którego tak cheiwie pożądam nie z heroizmu, ale dla katuszy rąk, które cierpię.

Dziękuję najczuliej Tobie i matce za dar dziesięciu skudów, całuję ręce obojgu, ściskam braci i proszę wszystkich polecić mi Bogu, aby, skoro was raz jeszcze obaczę, prędką śmierć położyła koniec mym fizycznym męczarniom, które innym sposobem wyleczyć się nie dadzą.

Twój i kochający syn Jakób.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Wstęp	5
Poezye	17
Proza	61
A. Dziełka moralne	63
B. Myśli	162
C. Listy	191



~~WARSZAWSKIE~~
TOWARZYSTWO FILOLOGICZNE



